

*Duszna, niepokojąca i pełna sekretów opowieść.  
Książka, której nie potrafiem odłożyć.*

**WOJCIECH CHMIELARZ**

**KAROLINA  
MACIOS  
CZARNE  
MORZE**

KAROLINA  
MACIOS  
CZARNE  
MORZE



– Oddychaj. Spokojnie, oddychaj – powtarzał cicho kojącym głosem.

Chciała złapać się kurczowo tych słów, zatrzymać je, ale nie potrafiła. Czowała, jak to znów ją wciąga, jak delikatnie odgina zaciśnięte palce jeden po drugim, a kiedy kończą jej się siły i puszcza ramię Michała, jest już za późno. Znowu, pomyślała, stojąc na krawędzi studni. Nie było w niej wody, tylko ciemność. Bulgotała, wzbierała, zaczęła podmywać stopy. Znowu, pomyślała z rezygnacją i poddała się. Spadała powoli, nie czuła pędu powietrza, niczego nie czuła, żadnych kolorów, zapachów ani dźwięków. Czarna, lepka wata. Kiedy to się skończy? Nagle coś musnęło jej policzek. Krzyknęła i nie usłyszała swojego głosu. Zadarła głowę. Coś tam było, spadało razem z nią, mokre, czarne, zbliżało się. Zacisnęła powieki, czekała, aż to minie, aż wszystko się skończy, ale tym razem trwało to dłużej.

Z ciemności wyrastały śliskie pędy i jak wodorosty zaplatały się wokół jej kostek. Pękały bezszelestnie, poddając się ciężarowi jej ciała, a ona wciąż spadała i była coraz bliżej. Czowała to, zaraz wpadnie i...

Otworzyła oczy. Zobaczyła nad sobą wykrzywioną twarz. Wrzasnęła ze strachu.

– Aśka, Asia, już dobrze, oddychaj – usłyszała i odetchnęła z ulgą. Skończyło się, cokolwiek to było, skończyło się.

– Miałaś tylko mały atak. Przyniosę ci leki, dobrze? Zostawię cię na chwilę i zaraz wracam. Wytrzymasz?

Pokiwała głową i patrzyła, jak Michał idzie do kuchni.

– Myszko, już wszystko dobrze. Mama źle się poczuła, ale niedługo będzie jak nowa – usłyszała za ścianą stłumiony głos, a po chwili Mila zajrzała do pokoju. Przyglądała jej się, stojąc w progu.

Jak na pięciolatkę zdumiewająco dobrze radzi sobie z walniętą matką, pomyślała Joanna i wyciągnęła do niej rękę.

– Chodź do mnie, szkrabie. Niedługo wezmę tabletki i będę jak nowa – powtórzyła machinalnie za Michałem i Mila uśmiechnęła się z ulgą.

To chyba dlatego postanowiła iść z nimi na ten spacer, chociaż babcia miała zabrać ją na plac zabaw do galerii handlowej.

– Myszo, przecież nie dasz rady. Będziemy szli plażą od Sopotu aż do Gdyni, to spory kawałek jak na twoje krótkie nóżki. – Michał przekonywał, by nie zrezygnowała z placu zabaw, ale Milena była niezwykle upartym dzieckiem.

– Naprawdę nie chcesz pobawić się z innymi dziećmi? Tam są zjeżdżalnie i można się wspinać, skakać i pływać w basenie z kulkami. No chodź, będzie fajnie. – Babcia też nie odpuszczała. Pewnie umówiła się w kawiarni ze znajomymi i chciała pochwalić się wnuczką. Zobaczcie, jaka ładna i mądra, zupełnie niepodobna do swojej matki, pomyślała z ironią Joanna.

– Dajcie jej spokój – powiedziała cicho, gładząc córkę po dłoni. – Zrobi, co będzie chciała.

Śnieg skrzypiał pod butami, kiedy wspinali się pod górę. Na wybrzeżu rzadko sypało o tej porze, a jeśli już, to wszystko topniało, zanim zdążyło się zostawić ślady na zaśnieżonej plaży. Joanna uwielbiała to robić jako dziecko – wychodziła do szkoły dużo za wcześnie i najpierw biegła nad morze. Wokół rozciągała się wielka plama bieli, nienaruszona, czysta. Czasem tylko pojawiały się ślady mewich łap. Lubiła tę pustkę, tam przynajmniej nic się nie działo. Cokolwiek budziło się razem z nią o świcie, patrzyło ponuro, jak pakuje plecak, stało za plecami, gdy jadła śniadanie w kuchni, i zbiegało po schodach jako pierwsze, nie oglądając się, czy na pewno ona idzie za nim, cokolwiek to było – nad morzem odpuszczało. Przez chwilę czuła się wolna. Tego dnia, kiedy wspinali się na klif, też odpuściło. Cokolwiek czekało na nią w tamtej studni, dało jej odejść. Oddychała głęboko i ciągnęła za rękę córkę, która posapywała przez nos. Trochę zmarzła na długim spacerze. Skostniały jej paluszki.

– Dawajcie, dziewczyny! Jeszcze tylko kilka metrów i będziemy na szczycie! – zawołał Michał, odwracając się do nich. Kiedy otworzył usta, wokół niego zawirował obłoczek pary. Przez chwilę bała się, że znowu zaczyna to widzieć, ale nie – to był zwyczajny ciepły oddech w zimnym powietrzu. Michał pomachał małej, poprawił plecak na ramionach i ruszył. Od kiedy trener polecił mu popracować nad wizerunkiem pewnego siebie szefa i chodzić na siłownię i basen, miał doskonałą kondycję. Dlatego teraz rwał pod górę i nawet się nie spocił.

– Mamo, ale kiedy już tam wejdziemy, to wracamy do domu, tak? Bo nóżki mnie bolą. I chce mi się siku. – Milena wyglądała na zmęczoną. Zresztą niezbyt dobrze się tu czuła. Lubiła wizyty u babci, ale tym razem było inaczej. Marudziła przez całą drogę do Gdyni, nie chciała spakować swoich dwóch ulubionych lalek, Mani i Frani, bez których nie ruszała się nawet do przedszkola, a potem, w samochodzie, urządziła niezłą scenę, nalegając, by wrócili po lalki. To było gdzieś w połowie trasy, mijali właśnie Warszawę. A kiedy dziś powiedziała im, że idzie z nimi, Joanna poczuła ten znany skurcz w gardle. Wiedziała, że coś będzie nie tak, że coś się wydarzy.

– Ależ tu jest pięknie! – krzyknął Michał, który jako pierwszy wdrapał się na górę. – I wieje, uważajcie!

Joanna odruchowo mocniej chwyciła dłoń malej, ale dziewczynka syknęła z bólu, wyrwała rękę i natychmiast podbiegła do ojca.

– Mila! Milena! Nie za blisko urwiska! – zawołała przerażona Joanna, ale Michał w porę się obejrzał i złapał dziecko.

Odetchnęła. Niepokój wciąż ścisnął jej gardło i nie puszczał. Powinni stąd jak najszybciej wyjechać. Najlepiej będzie, jeśli spakują się i jeszcze dzisiaj ruszą w drogę do domu. Matka będzie marudzić, że ledwo przyjechali, a już wyjeżdżają, ale trudno. W końcu przywiozła jej wnuczkę i odwiedziła ojca na cmentarzu. Odfajkowane. Następnym razem zjawi się tu zapewne latem, kiedy mała będzie miała wakacje. Tak, wyjadą jeszcze dziś. Powie, że to przez ten atak, że źle się czuje.

Uspokojona tą myślą, odetchnęła głęboko. Mroźne powietrze pachniało morzem, wodorostami i palonym drewnem. Pewnie ktoś na dole na plaży palił niedawno ognisko. Wszyscy wiedzieli, że to zabronione, ale kto by się tym przejmował? Straż miejska raczej nie zapuszczała się w te rejony, a nie ma nic lepszego na plaży, niż znaleźć miejsce osłonięte przed wiatrem, przytargać kilka większych gałęzi z drzew, które kiedyś osunęły się z klifu, i rozpalić ogień. Kiedyś spędziła tu noc z chłopakiem, na długo zanim poznała Michała. Latem przyszli ze śpiworami, z dwoma zniczami i tanim czerwonym winem. Smakowało okropnie, a zapach płynący z odkorkowanej z trudem butelki tworzył dziwną mieszankę z wonią niemilosiernie kopających zniczy. Zwykła świeczka i tak od razu by zgasła, ale te cmentarne miały idealną osłonę przed wiatrem.

Od tamtej pory zawsze, kiedy jest na cmentarzu, czuje na języku cierpki smak wina, chociaż nie pamięta nawet, jak miał na imię chłopak, z którym je wtedy piła. To z nim straciła dziewictwo, ale nie tamtej nocy na plaży – komary żarły tak, że woleli nie ruszać się ze śpiworów. Kochali się później, w lesie, kilka kroków stąd. Tyle osób mogło ich zobaczyć, mogli nawet wpaść na jego matkę spacerującą tu z psami, co trochę paraliżowało chłopaka, ale nie Joannę. Czowała, jak coś spala ją od środka, jak język gorącego płomienia oblizuje jej gardło, brzuch, muska pochwę, uda i sięga aż do zagłębienia pod kolanami. Zdjęła wtedy z siebie ubranie i stanęła naga przed chłopakiem, a potem powoli, nie spuszczając z niego wzroku, usiadła na pniu drzewa i rozchyliła nogi. Wtedy przestał się bać czegokolwiek, a ona... Ona doskonale wiedziała, jak się poruszać, jak dotykać jego ciała, jak pokazywać mu, czego sama chce, choć nie do końca wiedziała, czego chce, a przynajmniej nie potrafiła tego

nazwać. To było jak jedno z jej widzeń, przejaw tej przedziwnej siły, która czasem ją obezwładniała. Przychodziła niczym fala nagrzanej od słońca wody i obmywała, zalewała, aż Joannie brakowało tchu. Krztusiła się i walczyła, ale to było ponad jej siły. Razem z falą przychodził mrok, a z mroku wyłaniały się przeróżne rzeczy.

Wzdrygnęła się. Teraz wołała o tym nie myśleć. Była nad morzem, stała na klifie, pod stopami miała urwisko, a daleko w dole, na plaży, widziała ślady po ognisku. Gdzieś od strony molo w Orłowie dobiegało szczekanie psa. Mewy unosiły się jak białe strzępki puchu, z szeroko rozwiniętymi skrzydłami, nieruchome utrzymywały się na wietrze. Woda pod nimi falowała, pluskała o brzeg, wyrzucała brudną, błotnistą pianę, która osiadała na piasku i znikwała, nim kolejna fala docierała w to miejsce.

– Mamo, siku! – Mila podbiegła do niej i podskakując niecierpliwie, dodała: – Nie wytrzymam do domu. Chcę siusiu!

Joanna obejrzała się za siebie. Może jeśli schowają się gdzieś między drzewami, gdzie nie wieje aż tak bardzo, to mała nie dostanie zapalenia pęcherza.

– Chodź, poszukamy odpowiedniego miejsca.

Odeszły kilka metrów od klifu i wreszcie znalazły kępkę krzaków schowanych za sporą jodłą. Pień był na tyle szeroki, że zatrzymywał napór wiatru. Kiedy pomagała małej opuścić spodnie i szukała w kieszeni chusteczek, wydawało jej się, że usłyszała śmiech Michała, a potem urwany krzyk. Wyjrzała zza drzewa, ale niewiele stąd widziała. Coś mignęło jej przed oczami i szybko je zamknęła. Nie, teraz nie może sobie pozwolić na żadne zakłócenia, żadne obrazy, żadne powidoki... Potrząsnęła głową i potarła powieki. Uchyliła je ostrożnie. Nic się nie działo. Może się przesłyszała?

– Mamusiu, zobacz, są mróweczki! Biedne, pewnie im zimno. Nasikałam na nie. Chyba nie umrą od tego, co?

Mila od pewnego czasu co chwilę wracała do tematu śmierci. Masowo umierały jej lalki i misie, a przedszkolanki coraz częściej zgłaszały, że opowiada o grobach, cmentarzach i śmierci babci, chociaż obie babki czuły się całkiem dobrze. Joanna uśmiechała się niepewnie, rozmawiając z zaniepokojonymi ciociami, mówiła im, że to tylko taka faza i niebawem minie. Nie wiedziała, co o tym sądzić. Może miało to coś wspólnego z jej stanem? Starła się ukrywać przed Milą swoją chorobę, ale im córka była starsza, tym okazywało się to trudniejsze.

– Nie, koteczku, nie umrą – zapewniła ją odruchowo i poprawiła jej kurtkę.

Opatuliła się szalikiem, naciągnęła małej czapkę na uszy i zaczęły się przedzierać z powrotem. Weszły na klif i ze zdumieniem zobaczyła, jak Michał klęczy tuż przed urwiskiem. Jego plecy wygięły się w łuk, wyglądał, jakby się modlił albo... płakał? Nie, ani jedno, ani drugie nie wchodziło w grę, nie w przypadku Michała.

– Poczekaj na mnie i zobacz, czy przypadkiem mróweczki nie przyszły tu za tobą – powiedziała do Mili, a sama ruszyła w stronę męża. Tuż obok niego na ziemi leżał plecak i coś jeszcze, co wyglądało jak dziecięca rękawiczka.

– Michał? Michał, wszystko w porządku? – zapytała cicho, zbyt cicho, by jej głos mógł przedrzeć się przez wiatr i dotrzeć do niego, ale on usłyszał. Zerwał się gwałtownie, chwycił plecak i podbiegł do niej.

– Chodźmy stąd! Jest lodowato, zamarzęm!

Chwycił ją za rękę i pociągnął szybko w stronę małej, która kucała, wypatrując czegoś między kamykami. Joanna poszła za nim bez oporu, ale kiedy usłyszała przenikliwy krzyk mewy, odwróciła się na chwilę. Tuż nad klifem unosił się ptak i nie spuszczał z niej wzroku. Jakby cała reszta odleciała, a ta jedna mewa nie zamierzała jej stąd wypuścić. Patrzyła prosto na nią. Nagle machnęła mocno skrzydłami, przecinając lodowate powietrze. Leciwała w stronę oniemiałej Joanny. Michał szarpnął ją za rękaw.

– Aśka, idziemy! Mała trzęsie się z zimna. Prawda, myszko?! To co, ścigamy się? Biegniemy do samochodu! Kto pamięta drogę? – krzyknął wesoło, choć Joanna wyczuła w jego śmiechu coś ostrego.

Milena zbiegła ścieżką pomiędzy drzewami, piszcząc przy tym i roztrzucając obsypane białym puchem gałęzie. Joanna raz jeszcze obejrzała się za siebie, ale mewy już nie było. Naciągnęła kaptur na głowę i popędziła za córką i mężem.

Tak jak przypuszczała, matka nie była zadowolona, gdy usłyszała, że chcą wyjechać. Michał natomiast jeszcze na leśnej ścieżce stwierdził, że ma już dość tego lodowatego wiatru i wolałby wrócić do domu. Najlepiej już dziś – na co Milena aż podskoczyła z radości i zaklaskała, bo od czasu awantury w samochodzie ciągle mówiła o Mani i Frani i o tym, jak bardzo za nimi tęskni.

– Za mną tak nie tęsknisz, kiedy wyjeżdżam w delegację – rzucił Michał znad kierownicy, kiedy przed dwoma dniami jechali do Gdyni. Posłał przy tym żonie porozumiewawcze spojrzenie. Minęli już wtedy Warszawę i wrzaski dziecka wreszcie ucichły, zamieniając się stopniowo w szloch, a potem obrażoną ciszę.



– Nie – odparła rzeczowo Mila z tylnego siedzenia, gdzie próbowała właśnie odpiąć pasy bezpieczeństwa i sięgnąć po kredkę. A kiedy Joanna palcem nakazała córce zostać w foteliku i sięgnęła po zgubę, dziewczynka dodała: – Zawsze ciebie nie ma.

– Nigdy, kochanie. Nigdy ciebie nie ma – poprawiła ją odruchowo, a Michał westchnął i sarknął pod nosem: – Jakbym słyszał twoją mamę.

– Co?

– Nic, myszko. Przecież wiesz, że taką mam pracę. Ktoś musi...

Urwał, ale nie dość szybko. Joanna zacisnęła dłonie na kolanach i spojrzała za okno. Nie po raz pierwszy odbywali tę rozmowę, a raczej przeróżne jej odmiany. Na samym początku, kiedy poznał młodą projektantkę wewnątrz, był zachwycony jej pracą, a właściwie to najpierw zachwycił się nią samą, praca była poniekąd w pakiecie. Joanna prowadziła swoją działalność, odpowiadała tylko przed sobą i przed klientami, dlatego kiedy siedziała nad projektem, pracowała dzień i noc, a gdy czekała na kolejne zlecenie, nie robiła absolutnie nic. Przynajmniej według niego. Co prawda zaczęło mu to przeszkadzać dopiero wtedy, gdy urodziła się Mila, bo odtąd dość często musiał brać zwolnienie na dziecko.

– Mam projekt do skończenia, a nie zrobię tego, siedząc z małą cały dzień w domu. Musisz mnie odciążyć – mówiła spokojnie, kiedy wracał z pracy przed dziesiętnastą.

Odciążał więc – odwoził chorą dziewczynkę do swojej matki. Joannie niezbyt się to podobało, wołała, by mała spędzała więcej czasu w domu, a nie u dziadków, ale nie bardzo widziała wyjście z tej sytuacji. Nie chciała zatrudniać opiekunki, bo Mila i tak zawsze dobijała się do jej gabinetu, który sąsiadował z ich sypialnią. Na szczęście odkąd skończyła cztery lata, przestała łapać każdego wirusa dziesiątkującego przedszkole i problem rozwiązał się sam. Wszyscy byli szczęśliwi, a najbardziej chyba dziadkowie. Naturalnie kochali wnuczkę, świetnie dogadywali się z synową i w ogóle wszystko było w porządku, a już na pewno znacznie lepiej niż w jej domu rodzinnym, ale nie bardzo potrafili spędzać czas z kilkulatką. Teściowa, profesor psychiatrii, wołała rozmawiać, niż siedzieć w piaskownicy, a teść, znany wrocławski architekt, uwielbiał stawiać budowle z klocków, jednak znacznie gorzej radził sobie z lalkami. Mila nie miała nic przeciwko wyjazdom do dziadków, bo prędyż czy później kończyło się to jedzeniem słodyczy przed telewizorem. Joanna wiele razy próbowała o tym rozmawiać z teściową, ale mimo szczerych chęci nie potrafiła wyjść z roli pacjentki. Pani Helmanowa – oto, kim była dla niej jej druga matka: lekarką. Kiedy Joanna przeprowadziła się do Wrocławia, ciotka Ania znalazła jej tę psychiatrę.

– Asiu, musisz być stale pod opieką lekarza. Dawkowanie leków trzeba kontrolować, o czym dobrze wiesz, a ja nie zrobię tego na odległość – dodawała jakby z wyrzutem, że jej siostrzenica i wieloletnia pacjentka wyjeżdża niemal na drugi koniec kraju.

Tak Joanna trafiła do gabinetu pani Helmanowej i tak właśnie poznała jej syna Michała – gdzieś w holu pomiędzy pokojem psychiatry a drzwiami wyjściowymi.

Na początku lekarka nie była zbyt zadowolona z wyboru swojego jedynaka.

– Synku, chcesz powiedzieć, że zamierzasz związać się z dziewczyną, której brakuje piątej klepki i która jest na lekach psychotropowych? – zapytała, wykrzywiając się, aż cienka linia między wargami zamieniła się w łuk i zobaczył ślad czerwonej pomadki na włoskach okalających usta. Kobieta przekreśliła nerwowo bransoletę na lewej dłoni i zastukała paznokciem palca wskazującego o filiżankę herbaty. – A jeśli to dziedziczne? – odezwała się po długiej chwili ciszy, kiedy Michał śledził wzrokiem przesuwające się wskazówki starego zegara w jadalni rodziców. – Jeśli wasze dziecko... twoje dziecko – poprawiła się z grymasem – też będzie stuknięte?

Prychnął wtedy, bo w wieku trzydziestu lat nie myślał jeszcze o byciu ojcem. Wysłuchał do końca długiej tyrady matki tylko dlatego, że w pewnym momencie się wyłączył i zaczął myśleć o strategii rozwoju swojego działu, za którą od niedawna był odpowiedzialny. Kiedy herbata w jego filiżance ostygła, cmoknął mamę w dłoń i pojechał prosto do swojej dziewczyny, której brak piątej klepki uważał za wyjątkowo pociągającą cechę.

Opowiedział jej tę scenę znacznie później, kiedy stało się jasne, że obie kobiety jego życia całkowicie się akceptują. Wcześniej wolał nie ryzykować. Joanna wyczuwała pewien dystans ze strony lekarki i matki swojego chłopaka, ale z czasem zaczął zanikać, poza tym wolała skupić się na Michale. Jeszcze nikt nigdy nie okazywał jej aż tyle zainteresowania. Jasne, bywała w różnych związkach, mniej lub bardziej wygodnych, lecz nigdy dotąd nie zakochała się aż tak. Michał zafascynował się nieprzewidywalną i zmienną w nastrojach Joanną – to, co odstraszało w niej innych mężczyzn, na niego działało jak magnes. Ona nigdy nie była letnia: albo parzyła, albo lodowaciały mu od niej palce. Zachwycało go to.

Pierwszy raz przeraził się jej stanem, gdy zaszła w ciążę i musiała odstawić wszystkie lekarstwa. Matka ostrzegała ich przed możliwymi skutkami, włącznie z tym, że organizm po wielu latach przyjmowania psychotropów może teraz wywinąć kozła. Dokładnie tak się wyraziła, co było dość zdumiewające w jej ustach, dzięki czemu Michał, który niewiele z tego wszystkiego rozumiał, domyślił się jednego – że

ma w domu bombę zegarową. Nic się jednak nie działo. Joanna była tylko trochę bardziej pobudzona, co w łóżku bardzo mu odpowiadało. Właściwie gdyby nie te dręczące ją koszmary, uznaliby, że wszystko jest w porządku. Kiedyś opowiedziała mu jeden z tych snów i przez cały dzień spoglądał na nią przestraszonym wzrokiem. Więcej już tego nie zrobiła. Gdy urodziła się Milena, Joanna dostała depresji poporodowej. Na jakiś czas przyjechała do nich jej matka, a potem wkroczyła teściowa. To też nie było zbyt dobre rozwiązanie, ale nie mieli innego wyjścia. Mała przeszła na mleko z butelki, Joanna znów zaczęła brać leki i sytuacja wróciła do normy. Przynajmniej tak mu się wydawało.

W drodze powrotnej do Wrocławia trzymał pewnie dłonie na kierownicy i od czasu do czasu zerkał w lusterko wsteczne. Sprawiał wrażenie trochę nerwowego, wiercił się na fotelu, co chwilę zmieniał stacje radiowe, przecierał szybę albo szukał czegoś w schowku. Joanna przyglądała mu się przez chwilę w milczeniu, a potem spojrzała na Milenę. Dziewczynka spokojnie rysowała coś w notesie i kiwała głową, gdy w radiu leciała znana jej piosenka. W ogóle się nie zmartwiła, kiedy Michał zaproponował, by jeszcze dziś wracali do Wrocławia, zamiast tego podskoczyła z radości i zawołała coś o Mani i Frani. Joanna nie słyszała co, bo ciągle nie dawało jej spokoju dziwne zachowanie męża. Miała wrażenie, że coś się tam wydarzyło, i cokolwiek to było, podcięło mu kolana, jakby doznał objawienia, ale Bóg wcale nie okazał się miłym starszym panem, tylko tym, którego ona poznała. Głuchym pomrukiem, czerwoną strugą w gęstym mroku, śwadem palonych włosów... Odruchowo wbiła paznokcie w dłoń. Zabolało i oderwała się od tego obrazu.

„Nie teraz, nie w samochodzie, nie z córką na tylnym siedzeniu” – szeptała do siebie bezgłośnie. Powtarzała to jak mantrę, nie poruszając wargami, pilnując, by oddech nie stał się zbyt spokojny, bo wtedy między wdechem a wydechem coś mogłoby się prześliznąć. Czasem była to scenka, przebłysk, czasem zapach albo dźwięk, nie kontrolowała tego. Przychodziło samo, choć w dzieciństwie ciotka próbowała nauczyć ją nad tym panować. Sprawdzały się tylko leki, ale te z kolei otepiały – Joanna stawiała się ociężała, mówiła wolniej, chodziła wolniej i oddychała wolniej, jakby powietrze stawiało opór. Ale przynajmniej nie miała wtedy jazd.

Zapatrzyła się w gęstniejący za oknem mrok. Ciemne chmury zagarniały coraz większą część nieba, nadchodziły z tyłu, jakby próbowały ich przegonić. Zmieni się pogoda, pomyślała, żeby zagłuszyć to przedziwne wrażenie, które nie opuszczało jej, odkąd wsiedli do samochodu. Że chmury i wiatr to tylko przykrywka dla czegoś, co nadciąga wraz z nimi. Zacisnęła palce na przegubie lewej ręki, mocno, aż przeszył ją

ból. Pomogło. Trochę przytomniej spojrzała na Michała postukującego w kierownicę w rytm jakiejś durnej, skocznej piosenki. Położyła mu dłoń na kolanie, a on podskoczył tak gwałtownie, że szarpnęło samochodem i niebezpiecznie zjechał w stronę pobocza. Wrócił na swój pas. Dopiero po chwili powoli wypuścił powietrze z płuc.

– Jezu, kobieto, ale mnie przestraszyłaś. Nie rób tego więcej, bo jeszcze wylądujemy w rowie. A wtedy będziemy musieli udać się do domu pieszo. Zobacz, królowna nam zasnęła. Ściszę trochę, zanim się ocknie i przypomni sobie, że nie ma z nią Mani i Frani.

Milena rzeczywiście spała. Kartka z niedokończonym rysunkiem zsunęła jej się z kolan i wylądowała na dywaniku. Joanna dojrzała tylko granatowe morze, żółty piasek i trzy postacie trzymające się za ręce. Pomiędzy dwiema dużymi stała mała istota w sukience i z rozpuszczonymi włosami, a nad nią unosiła się mewa. Wyglądała jak leżąca grzbietem do góry trójka lub dziecięcy szlaczek, ale im dłużej Joanna się jej przyglądała, tym wyraźniej widziała ostry, zakrzywiony dziób i czarne oczy.

Miała wrażenie, że wpatruje się w ten obrazek zdecydowanie za długo, bo nagle zauważyła, że wokół zapadł już zmrok. Podniosła głowę. Ciemność pędząca za nimi od Gdyni już ich dogoniła, wchłonęła miękko i bezgłośnie. Płynęli razem z nią, a jedyne, czego Joanna teraz była pewna, to światła ich samochodu. Nikt ich nie mijał, nikt nie wyprzedzał, poza cichym mruzeniem silnika i uspokajającym głosem spikera radiowego niczego nie było słychać. Nawet ich oddechy utonęły w tej ciszy. Matka prosiła, by poczekali do świtu i dopiero wtedy wyruszyli do domu. Pewnie w końcu by się zgodziła, gdyby nie Michał. Uśmiechnął się tylko do teściowej i poszedł pakować torbę, a Miła kręciła się jak fryga po kuchni. Matka siedziała przy stole i wodziła za nimi wzrokiem. Wyczerpała już cały arsenał argumentów i pytań, które i tak nie doczekały się odpowiedzi. „Dlaczego już jedziecie? Skąd ta nagła decyzja? Stało się coś? A byłeś w ogóle na grobie ojca? I do babci też pewnie nie zajedziesz, co?”. W dwóch ostatnich pytaniach kryło się więcej złości niż zawodu, pewnie dlatego tak zabolowały. Oczywiście, że pojechała na grób taty – pierwszego dnia, kiedy tak wściekle sypało. Zużyła prawie całe pudełko zapalek, zanim udało jej się zapalić znicz. Miła ulepiła na nagrobku maciupeńskiego bałwanka – „Dla dziadziusia, żeby mu nie było smutno tak samemu w tym grobie”. Michał został wtedy w domu, odsypiał kilka godzin spędzonych za kółkiem. A babcia? To był drażliwy temat i wołała go nie poruszać z matką. Kiedy jeszcze żył ojciec, często z nim o tym rozmawiała. Czuła się

winna, bo zaraz po maturze wyjechała z Gdyni: wpierw do Torunia, potem do Warszawy, a na końcu do Wrocławia. Lepiej czuła się w ruchu, zresztą przyzwyczaiła się do zmiany miejsca co rok, czasem co dwa lata. Tak właśnie spędziła całe dzieciństwo – musieli stale się przeprowadzać, dopóki nie dorosła na tyle, by nauczyć się ukrywać przed innymi swój „dar”, jak mawiała matka lekko drżącym głosem, albo „przekleństwo”, jak twierdził ojciec, pocierając ze skrępowaniem czoło, czy „zaburzenia”, jak uspokajająco powtarzała ciotka podczas każdej rozmowy na temat siostrzenicy. Jak zwał, tak zwał, Joanna zostawiła już za sobą ten etap i nie zamierzała do niego wracać. Wystarczyły jej w zupełności te powracające ataki, wypadkowa dawnych zaburzeń i leków, które przyjmowała od dzieciństwa.

– Śpisz? – Cichy głos Michała wyrwał ją z płytkiej drzemki. Popatrzyła na niego sennym wzrokiem i już miała zamknąć z powrotem oczy, gdy usłyszała huk. Samochodem szarpnęło, a ułamek sekundy później uderzyła głową w boczne okno. I zapadła ciemność.

Próbowała poruszyć rękami, ale nie udało jej się nawet podnieść palca. Powoli opadała na dno, a woda nad nią zamykała się bezgłośnie. Widziała tylko niewielkie bąble powietrza uciekające do góry. Pod stopami zachęcająco otwierała się mulista otchłań, miła i miękka w dotyku. Nie walczyła z nią, chciała poddać się jej i zatonać, póki nie usłyszała dochodzącego gdzieś z oddali słabego płaczu. Płaczu dziecka. Próbowała obrócić głowę choć o milimetr, rozejrzeć się, ale nie potrafiła. Patrzyła z przerażeniem prosto przed siebie, w mętną wodę i wirujące płatki sadzy. Zlepiły się, powoli tworzyły kulę, a z niej formowała się jakaś postać. Postać dziewczynki... Milena! Joanna drgnęła gwałtownie i nagle powróciła jej władza w rękach i nogach. Odbiła się od dna i pomknęła ku górze. Wyskoczyła na powierzchnię, próbując złapać oddech, ale powietrze nad wodą zgęstniało w lepłą breję. Otwierała usta coraz szerzej, chciała krzyknąć, jednak z gardła wydobył się tylko ochryply, niski dźwięk. Podniosła głowę. Nad nią spokojnie unosił się rybołów o czarnych postrzępionych skrzydłach, których końcówki zanurzone w szkarłatnej farbie zostawiały na niebie krwawy ślad. Zataczał kręgi, aż wreszcie bez ostrzeżenia złożył skrzydła i runął prosto na nią. Nie, to nie była farba. Zamknęła oczy, a kiedy znów je otworzyła, stał nad nią Michał i walił w drzwi otwartą dłonią. Była czerwona, cała we krwi.

Joanna poderwała się błyskawicznie, odpięła pasy i odwróciła do Mileny. Dziewczynka siedziała w foteliku i przyglądała jej się uważnie. Żadnego zadrapania ani zaczerwienienia. Chyba nic jej się nie stało.

– Uderzyłaś się? Coś cię boli? – zapytała szybko.

Mała zaprzeczyła tylko ruchem głowy.

– Przestraszyłaś się?

Tym razem pokiwała twierdząco.

– Mieliśmy mały wypadek, ale już wszystko jest w porządku. Wszystko w porządku – uspokajała córkę, choć sama bardziej potrzebowała czegoś na uspokojenie.

Milena przez chwilę jeszcze patrzyła na nią, a potem skierowała wzrok na przednią szybę. W światłach samochodu zobaczyły, jak Michał się schyla, a potem skulony idzie tyłem w stronę pobocza, ciągnąc coś za sobą. Joanna wychyliła się i wtedy w błysku światła mignęły wielkie martwe oczy sarny. Sączył się z nich mrok. Zakręciło jej się w głowie i znowu zatonęła.

Obrazy spadły na nią jak ulewa, istne oberwanie chmury. Siedziała w aucie, pasy wrzynały się w ciało. Zaczynało brakować jej tchu. Siłowała się z nimi, próbowała je poluzować, ale tylko syknęła z bólu. Na dłoniach pojawiły się czerwone szramy, a brzegi ran odchyłały się, odsłaniając czarne mięso. I coś jeszcze, co błyskało spod gęstego ciemnego śluzu. Ostrożnie odciągnęła skórę wewnątrz lewej dłoni. Coś tam w środku się poruszyło. Śluz skapnął na rękaw i spodnie, ale nie zwracała na to uwagi. Włożyła do rany palec i delikatnie nacisnęła, a kiedy go zabrała, zobaczyła w niej oko. Było nabrzmięte krwią, źrenica zwężała się i rozszerzała, drgała w jakimś nerwowym skurczu. Joanna po chwili wahania podniosła dłoń na wysokość oczu i spojrzała przez nią. Ujrzała ogromnego kruka. Leżał na boku na brzegu jeziora, woda podmywała mu pióra i podkurczone łapy. Nie żył, nie mógł żyć, zastygłe oko zmatowiało, a jednak drżał. Spomiędzy piór na brzuchu wyłonił się szary tłusty robak, a tuż po nim pojawiła się cała ich lawina. Płynęły nieskończonym strumieniem: najpierw otoczyły ptaka, potem zarośla, trzciny i wreszcie zajęły całe jezioro. Spojrzała w górę. Nad nią kołował rybołów. Nagle złożył skrzydła i runął w dół. Przeciął taflę szarych robaków i zniknął. Czekala, aż się wynurzy, ale przepadł. Może go zjadły, pomyślała. I dokładnie w tej samej chwili wyskoczył i wzbił się w powietrze ze zdobyczą w dziobie. Rozpoznała ją dopiero, kiedy nawrócił. To była dziecięca czerwona rękawiczka z jednym palcem. Już ją kiedyś widziała. Czy Milena nie nosiła podobnych? Rybołów zbliżał się do niej. Zacisnęła powieki, a gdy znów je podniosła, leciała wraz z nim. Musiała mrużyć oczy przed wiatrem. Pędzili nad wodą, która znów miała chłodny zielonkawy odcień. Pachniało morzem, na piórach rybołowa osiadła słona mgielka. Zbliżali się do postrzępionego brzegu. Linia klifu biegła nieregularnie, wyraźnie odcinała las od plaży. Znała to miejsce. Na dole, przez wąski

kamienisty przesmyk, biegła właśnie jakaś kobieta. Rozglądała się z niepokojem, nawoływała. Nad klifem na wietrze unosiła się mewa. Nie zwróciła na nich uwagi, patrzyła na coś, co kryło się między drzewami. Joanna krzyknęła, żeby ptak odwrócił głowę i spojrzał na nią. Musiał to zrobić. Nie wiedziała dlaczego, ale to było ważne, jeśli nie najważniejsze w tym wszystkim. W tej mewie kryło się rozwiązanie. Wystarczyło tylko, by spojrzały sobie w oczy. Wszystko się wyjaśni, wszystko... Nagle powietrze przeciął krzyk. Przerażliwy krzyk. Spojrzała w dół, na plażę, ale wtedy oślepiło ją słońce. Zasłoniła twarz rękami. Biały, ostry blask wdierał się przez szpary między palcami i podłużną ranę w dłoni. Zamknęła oczy.

– Joanno? Słyszysz mnie pani? Niepotrzebnie wiozł ją pan w takim stanie. Trzeba było od razu dzwonić po pogotowie... Tak, przyjmujemy na oddział... Proszę wypełnić kartę. Lekarstwa? Co dokładnie? Jak długo?

Bezlitosne światło wyszarpywało jej ciało, wwierało się w czaszkę, chociaż próbowała się przed nim osłonić. Ktoś potrząsał ją za rękę i siłą podniósł jej lewą powiekę. Bolało. Przerażliwie bolało.

– Pani Joanno? Poczujecie pani lekki ucisk, a potem...

Potem nie czuła już niczego. Płynęła. Powoli rozgarniała wodę ramionami i schodziła coraz głębiej, gdzie panowały przyjemny chłód i półmrok. Nad nią gdzieś wysoko świeciło słońce, próbowało przebić się przez wodę, zanurkować, dosięgnąć jej, ale tylko odbijało się od powierzchni. Pod nią wszystko niknęło w ciemnościach. Toń, toń jeziora, to takie miękkie słowo, pomyślała bezwiednie, zanim uświadomiła sobie, że tonie, i coś ostrego wbiło się w jej dłoń.

– Przepraszam, wcześniej źle osadziłam wenflon i wysunął się w nocy – odezwał się cichy głos i Joanna otworzyła oczy.

Pokój lekko wirował, jakby uginał się pod jej ciężarem. Okno rozmywało się, traciło kontury i dopiero gdy ktoś w nim stanął, zorientowała się, że to drzwi. Drzwi prowadzące na jasno oświetlony korytarz, na którym stał Michał. To musiał być on, tego wysokiego i dobrze zbudowanego mężczyznę trudno było z kimkolwiek pomylić. Nie musiała widzieć jego twarzy, wystarczył sam zarys ramion i linia pleców. Kiedy się prostował i podnosił głowę, od razu przejmował kontrolę nad otoczeniem. Tego triku nauczył go coach, którego zatrudnili przełożeni dla najlepiej zapowiadających się menedżerów, a on zapowiadał się naprawdę świetnie. W firmie odpowiadał za wszystko i wszystkich, więc musiał wiedzieć wszystko o wszystkich, nawet to, czego oni sami o sobie nie wiedzieli. I jakimś cudem tak właśnie było. Poza tym – do czego nie chciał się przyznać, ale z czego Joanna świetnie zdawała sobie sprawę – lubił to.

Wiedza dawała mu poczucie kontroli nad całym światem. I gdy tylko ją tracił, od razu się garbił. Prawie niezauważalnie, ale jednak. Nawet sam nie był tego świadomy. Ciekawe, czy ktoś to wyłapał? – pomyślała. Może powinnam mu o tym powiedzieć?

– Już poprawiłam. Teraz będzie dobrze. – Pochylona nad łóżkiem dziewczyna uśmiechnęła się i poklepała ją po dłoni. Zabolało. – Ojej, przepraszam. – Wyglądała na lekko przestraszoną. Była młoda, dużo młodsza od niej, pewnie jeszcze niezbyt doświadczona. – Pani doktor zaraz do pani podejdzie – dodała szybko i wyszła z pokoju, kiwając lekko głową stojącej w korytarzu kobiecie w białym rozpiętym fartuchu.

Czyli Michał rozmawiał z lekarką. Coś musiało się stać. Pewnie znowu miała jakiś niekontrolowany atak, ale przecież wzięła wszystkie leki, więc dlaczego... Wzięła? Na pewno? Mieli gdzieś jechać, a ona zawsze zabierała ze sobą cały zapas, na wypadek gdyby coś się zgubiło albo Mila znów postanowiła ułożyć z tabletek mamusi wzorek na piasku. Chryste, Mila! Gdzie jest Mila?! Co się właściwie...

– Obudziłaś się, to dobrze! – zawołał z ulgą Michał z korytarza i wszedł do środka. – Jak się czujesz, kochanie? Wszystko w porządku? Podobno miałaś lekkie wstrząśnienie mózgu i stąd to całe... zawirowanie – dokończył po chwili z uspokajającym uśmiechem. – Napędziłaś nam niezłego stracha.

Gdzie jest Mila? – chciała zapytać, właściwie to zapytała. Była tego pewna, tylko że jej usta wcale się nie poruszyły. Próbowwała je zmusić, żeby choć drgnęły, żeby wreszcie...

– Mila? – Jedyne, co udało jej się wydobyć, to chrapliwy szept. Aż przeszedł ją dreszcz, gdy go usłyszała.

– Mila jest bezpieczna. Nic jej się nie stało – powiedział powoli Michał, patrząc na nią z niepokojem. – Nie pamiętasz? Przecież wczoraj ustaliliśmy, że dopóki nie wydobrzejesz, zajmą się nią moi... Nie przypominasz sobie? – W jego głosie brzmiała panika. Przygarbił się tak, że nawet z tej pozycji widziała łuk jego pleców, kiedy odwrócił się do kobiety w białym fartuchu i zapytał: – Dlaczego ona tego nie pamięta?

Przypominał teraz chłopca ze zdjęcia w salonie Helmanów. Ile mógł mieć wtedy lat? Dwanaście, może trzynaście. Słońce rozjaśniało mu jasne włosy, zamieniając je w aureolę. Stał na pomoście, pod nim kołysała się łódka, a w niej ojciec wyciągał dumnie do obiektywu rękę ze złowioną rybą. Jeszcze się ruszała, bo z odchylonego ogona poleciały kropelki wody, które zastygły na zdjęciu pomiędzy twarzą roześmianego Wacława a srebrnym ciałem wijącym się w agonii. Tę fotografię



musiała zrobić matka Michała. Joanna co prawda nigdy o to nie pytała, po prostu założyła, że tak właśnie było. Wakacyjne zdjęcie znad jeziora, popołudniowe słońce odbijające się w wodzie, nieruchome sitowie i pomost z lekko zgarbionym chłopcem, który wpatrywał się w rybę z przerażeniem. Chyba znalazł się tam przypadkiem, bo nie pasował do tego kadru. A jednak oprawione w elegancką drewnianą ramkę zawisło na ścianie pośród kilkunastu innych zdjęć. Ścianie rodzinnej, jak mawiał o niej Wacław.

Joanna chciała złapać Michała za rękę, ścisnąć ją i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, naprawdę, niech się tylko tak nie przejmuj, ale palce zacisnęły się na kołdrze. Dlaczego ciało jej nie słucha?

– To jeden z objawów wstrząśnienia mózgu, niegroźny. – Doktorka podeszła do łóżka. – Proszę się nie stresować, to przejdzie. Po prostu potrzebuje pani jeszcze kilku dni, by do siebie dojść. Stopniowo wrócą do pani wspomnienia, my tymczasem będziemy nad panią czuwać. – Poklepała ją lekko po dłoni, którą zmięła poszewkę, i posłuszne palce Joanny natychmiast się wyprostowały.

– A z panem – kobieta odwróciła się do Michała – muszę jeszcze porozmawiać o tych wynikach.

Pokazała kartę i postukała w nią długopisem.

– Wspominał pan o neorelium, ale coś mi się tu nie zgadza. Wyjdźmy może lepiej na korytarz – dodała z wahaniem, rzucając szybkie spojrzenie na Joannę. – Pana żona musi odpocząć.

Mówiła coś jeszcze, jednak stukot obcasów zagłuszył słowa. Pokój znów pograżył się w ciszy, jakby ktoś owinął go grubą folią, i wreszcie przestał wirować. Joanna poczuła ostry szpitalny zapach – tę mieszaninę woni lateksowych rękawiczek, środków czystości i apteczki z lekami. Już dawno powinna się do tego przyzwyczaić, w końcu nim przesiąkła, ale jakoś nie potrafiła. Nie chciała. Skupiła się na swoich palcach i znów spróbowała je zacisnąć. Udało się, pomyślała z ulgą. Wszystko wraca do normy. Odwróciła głowę i spojrzała w stronę korytarza. Cienki pasek na ścianie oddzielający kolor seledynowy od białego znajdował się dokładnie na wysokości jej wzroku i choć widziała zaledwie niewielki odcinek, była pewna, że ciągnie się przez cały szpital. Gdyby zamknęła oczy i dotknęła palcem tego wybrzuszonego się paska, doprowadziłby ją po całym budynku, pewnie nawet dotarłaby do piwnicy z tymi wszystkimi agregatami, chłodniami i zwłokami czekającymi na transport do kostnicy. A potem pokazałby jej wyjście.

Michał poruszył się. Joanna z mrużyła oczy i w ostrym świetle jarzeniówek dostrzegła, że pochyła się nad kartą i pokazuje palcem na jakiś zapisek. Z przekonaniem pokiwał głową, wyjął z kieszeni telefon i odczytał coś z ekranu, a potem uśmiechnął się blado i skinął ręką w stronę pokoju. Dokładnie w tej chwili, zupełnie jakby dał znak, pokój wypełnił się dźwiękami. Joanna usłyszała czyjeś wołanie zza ściany, wysoki, przenikliwy śmiech w głębi korytarza, pisk wózka na małych kółkach, które bezlitośnie cięły linoleum, i brzęk odkładanych na tackę narzędzi. Zrobiło się tak głośno, że z chęcią zatkałaby sobie uszy albo schowała głowę pod poduszkę. Nagle przez cały ten hałas przedarł się stukot obcasów. I coś jeszcze. Coś, co zabrzmiało jak westchnienie.

– Hej, kochanie – odezwał się miękko Michał i przysunął sobie krzesło do łóżka. – Zaraz mnie pewnie stąd wyrzucą, bo jest już późno, chociaż może uda mi się ubłagać pielęgniarkę oddziałową. Dopóki nikogo jeszcze nie położyli na twojej sali i dopóki działa urok bukietu róż, który jej zaniósłem... – Uśmiechnął się i wziął ją za rękę.

Uścisnęła lekko jego dłoń i rozejrzała się po pokoju. Dwa puste łóżka oddzielone stolikami stały bliżej okna, jej znajdowało się tuż przy drzwiach, naprzeciwko małej umywalki z kapiącym kranem. Irytująco płaski dźwięk kropel roztrzaskujących się o dno nie pozwalał się skupić. Joanna spojrzała na męża, ale jej wzrok szybko uciekł w stronę kranu. Michał domyślił się, o co chodzi. Wstał i dokręcił kurki z wodą, a kropla – ta, która nie zdążyła spłynąć – zatrzymała się, jakby przyciągała ją do kranu jakaś magiczna siła. Właśnie taki był Michał: zawsze czujny, skoncentrowany na niej, skłonny usuwać przeszkody z jej życia, zanim w ogóle się pojawiły. Rozczulał ją tym od samego początku. Jego troska, oddanie były bardziej pociągające niż sama miłość, chociaż może tego właśnie Asia potrzebowała w związku. Wszystkie jej poprzednie relacje prędzej czy później okazywały się porażką. Jej psychoterapeutka twierdziła, że jest to powiązane z przewodzkami. „Do tego stopnia przywykła pani do częstych zmian miejsca zamieszkania, że podświadomie nie spodziewa się pani stabilizacji, a raczej... – tu zawieszła głos, jakby brała udział w próbie kółka teatralnego, i nachylała się nieco nad niskim stolikiem kawowym, który zajmował w gabinecie centralne miejsce – ...boi się stabilizacji emocjonalnej i od niej ucieka. Dopóki pani tego nie przepracuje, radziłabym nie wiązać się z nikim nowym”. Joanna była jednak na tyle przekorna, a może na tyle świadoma swojej ucieczki przed stabilizacją, że jeszcze w tym samym tygodniu umówiła się z synem swojej psychiatry. Zdecydowanie wolała Helmanową niż psychoterapeutkę: nie pieprzyła głupot, nie kazała rozgrzebywać wspomnień z dzieciństwa i zastanawiać się nad relacjami

z matką, tylko pytała, jak się czuje, a potem wypisywała recepty na leki, które działały. Zresztą tamta wizyta w gabinecie z kawowym stolikiem była ostatnia – Asia miała co prawda umówione spotkanie tydzień później, ale nie poszła na nie. Nie zdążyła go nawet odwołać – jej uwagę skutecznie odwrócił ciemny blondyn wyższy od niej o dobre dwadzieścia centymetrów, który zjawił się w jej mieszkaniu z kilkoma kondomami w kieszeni. Liczył na to, że tego popołudnia przyda mu się choć jeden, i nie rozczarował się. Ona też. Seks zalał jej mózg endorfinami, które na dobrą sprawę zastąpiłyby również leki, ale wołała ich nie odstawiać. Zbyt dobrze czuła się z Michałem, by narazić ten nowy, kształtujący się dopiero związek na „zdrowo pierdolniętą Joannę”, jak zwykła mówić o tamtym etapie swojego życia. Po jakimś czasie, kiedy już oboje wiedzieli, czego od siebie chcą, powiedziała mu wszystko. No, prawie wszystko. Ocenzowana historia dzieciństwa brzmiała znacznie lepiej, była mniej chropawa i przechodziła gładko przez gardło, jak galaretka truskawkowa, a on przecież lubił truskawki. Mimo wszystko trochę się obawiała, choć przecież od początku wiedział, że zaciągnął do łóżka pacjentkę swojej matki, i jakoś nie miał z tym problemów. Ale co innego wiedzieć o receptach, a co innego usłyszeć detale. Przekonała się o tym sama – pierwszy koleś, któremu zwierzyła się ze swoich doświadczeń, przechodził właśnie do kolejnej fazy ich znajomości. Leżeli w jej pokoju, na łóżku, twarzami do siebie. Za plecami miała stół z lustrem, w którym chłopak próbował dojrzeć zapięcie stanika. Niezbyt dobrze mu szło, więc nieopatrznie zapytał, czemu tyle razy się przeprowadzała. Chciał odwrócić jej uwagę od swoich niewprawnych jeszcze palców, a ona poczuła się na tyle pewnie, że opowiedziała mu o swoich widzeniach. Odwróciła się do niego, by szybciej uporał się ze stanikiem, i zorientowała się, że popełniła błąd – oddech chłopaka niepokojąco się wydłużył, a jego ręce zastygły w bezruchu. Potem lekko skrzypnęło uwolnione od jego ciężaru łóżko, a w lustrze Asia zobaczyła jeszcze, że niedoszły kochanek zbiera swoje rzeczy i wychodzi z pokoju. Więcej nie popełniła tego błędu, przynajmniej dopóki nie poznała Michała.

– Kochanie? Jesteś tu ze mną? – zapytał cicho, zerkając szybko na umywalkę. Zawieszona kropla trzymała się kranu, choć Joanna – tego był pewien – wciąż mu się wyslizgiwała. Kiedy już sądził, że przykuł jej uwagę, że zaczyna całkiem trzeźwo odpowiadać na jego pytania i podtrzymuje rozmowę, Asia nagle odpływała.

Kiedy to się skończy? – pomyślał. Najpierw tamto, a teraz...

– Jestem – mruknęła uspokajająco. – Pewnie już mówiłeś mi to setki razy, ale zamiast głowy mam dziurę. – Liczyła, że Michał chociaż się uśmiechnie, blado, bo

blado, ale zawsze. On jednak posłał jej tylko tak zrozpaczone spojrzenie, że niemal się rozpląkała.

– Nie przejmuj się, to minie – zapewnił w końcu. – To tylko efekt wypadku. Uderzyłaś głową w okno i... Przestraszyłem się, wiesz? – Nachylił się do niej i pocałował ją w policzek. – Straciłaś przytomność. Zupełnie urwał ci się film, jakbyś... Jakbyś... – Nie dokończył. Te słowa w ogóle nie chciały przejść mu przez gardło. – Potem, kiedy się ocknęłaś, zaczęłaś mówić dziwne rzeczy. Nawet nie umiem ich powtórzyć. Milla trochę się bała i w kółko powtarzała: „Mamusi, to ja. Mamusi, to ja”. Przywieźliśmy cię na najbliższy SOR. Małą też obejrzeli, nie martw się – dodał szybko, widząc jej rozszerzone ze strachu oczy. – Wszystko w porządku. Żadnego zadraśnięcia.

Joanna odwróciła głowę w stronę drzwi, ale na krześle na korytarzu nie było córki. Na stoliku koło łóżka nie zobaczyła żadnych kredek ani kartek, najmniejszego śladu Mili.

– Jest już u moich rodziców. Zawiozłem ją w nocy, kiedy upewniłem się, że nic ci nie jest. Nie chciała jechać, płakała w samochodzie, zanim wreszcie usnęła, ale rano była już spokojna.

Joanna popatrzyła na niego ze zdziwieniem i potrząsnęła głową.

– Dlaczego ją tam zabrałeś? Nic mi nie jest, zaraz mnie wypuszczą i...

– Asia, przecież to był twój pomysł. Podczas badania znowu straciłaś przytomność, a kiedy się ocknęłaś, sama zaproponowałaś, by Milla pojechała na kilka dni do dziadków. Dopóki całkiem nie wydobrzejesz. Nie pamiętasz?

Nie, nie pamiętała. Jak przez mgłę widziała poszczególne obrazy, słyszała jakieś skrawki słów, ale nie wiedziała, czy działo się to wczoraj, czy tydzień temu. Czas się rozciągnął i wszystko się zacierało.

– Rano zostawiłem ją u rodziców, potem pojechałem do domu po rzeczy na zmianę. Przywiozłem ci twoje kapcie. I zapas leków, bo wczoraj nie chcieli mi powiedzieć, jak długo potrzymają cię na obserwacji. Minimum trzy dni. Narodowy Fundusz Zdrowia, sama wiesz – dodał i ziewnął szeroko. Był zmęczony. Widziała to po nim. Powinien się wyspać. – A potem zabiorę cię do domu. Odpoczniesz, dojdiesz do siebie i pojedziemy razem po małą, dobrze?

Pokiwała niepewnie głową. Tak, miał rację, musiała do siebie dojść. Nie chciała, by Milla widziała ją w takim stanie.

– Pamiętasz w ogóle coś z wypadku? – zapytał ostrożnie.

Zamknęła na chwilę oczy i próbowała przypomnieć sobie huk, gwałtowne hamowanie i ból, ale w głowie miała pustkę. Wielką czarną dziurę, która wywoływała niepokój.

– Nic – odpowiedziała cicho. – Opowiesz mi?

Michał zaczął opowiadać o trasie, o szybko zapadającym zmierzchu i o sarnie tuż przed maską.

– Sarna? – zdziwiła się. – W środku Wrocławia?

– Przecież... – Urwał. – Wracaliśmy od twojej matki. To się stało mniej więcej w połowie trasy, było już ciemno, a droga była słabo oświetlona. Właściwie zobaczyłem tylko czerwone oczy za szybą, a potem w coś walnęliśmy i trochę nas zarzuciło – opowiadał szybko, niemal połykając słowa, jakby nie chciał, by skupiała się na samym wypadku. – O Jezu, jeszcze nie dzwoniłem do twojej matki. – Westchnął ciężko i pochylił głowę.

Poczuła na twarzy ciepły oddech.

– Zadzwonisz później – powiedziała, przytulając go. – Teraz możesz na chwilę położyć się obok i zdrzemnąć. Po prostu zgaś światło i przymknij drzwi. Może nas nie nakryją. – Uśmiechnęła się, a on resztką sił podniósł się z krzesła. Był przeraźliwie blady i miał sińce pod oczami, ledwo trzymał się na nogach. Wyłączył światło, popchnął lekko drzwi, które skrzypnęły, posłusznie się przymykając, i położył się z westchnieniem ulgi.

– Wygodnie ci? – szepnął po chwili, a ona zamruczała coś uspokajająco. – Asia, a zapamiętałaś w ogóle coś z naszej wyprawy? W Gdyni padał śnieg, pamiętasz?

Nie odpowiedziała. Zapadła w głęboki sen.

Sypało już czwarty dzień. Na parapetach osiadło tyle śniegu, że pierwsze, co zobaczyła po przebudzeniu, to biały puch.

– Mamo! Zobacz, jak pięknie! – zawołała zachwycona, gdy matka weszła do pokoju z kubkiem gorącego mleka. Znad kubka w wielkie czerwone maki unosiła się para. Asia schowała się głębiej pod pierzynę. Nie chciało jej się wychodzić spod kołdry, szukać kapci, które jak zawsze leżały nie tam gdzie trzeba, i biec pędem do łazienki. Ale musiała to zrobić. Wskoczyła z łóżka i wybiegła do przedpokoju.

– Aśka! Gdzie tak na bosy? Znowu mi się rozchorujesz! – krzyknęła za nią mama, jednak ona już nie słyszała. Nacisnęła kłamekę, kiedy drzwi się otworzyły, a ze środka buchnął kłęb pary.

– Wskakuj, kruszyno, zanim zamienisz się w kostkę lodu. – Tata wycierał energicznie rękami twarz zaczerwienioną po goleniu. Wokół umywalki leżały białe placki pianki, a lustro było upstrzone kropkami. – Zaraz zetrę – mruknął ojciec i puścił do niej oko. – No dobra, już wychodzę, a ty rób siku i zmykaj pod pierzynę. Dopiero co rozpałem w piecu, jeszcze nie zdążyło się nagrzać.

Kiedy otulona kołdrą, z kubkiem w ręku rozglądała się po pokoju, pomyślała, że wreszcie polubiła ten dom, chociaż na początku wydawał jej się straszny. Wprowadzili się tutaj w połowie września, bo w okolicznej szkole potrzebowali nauczycielki nauczania początkowego. Poprzednia zjawiała się na rozpoczęciu roku szkolnego z zaokrąglonym brzuchem, zaświeciła dyrektorce obrączką i tyle ją widzieli. Mama dowiedziała się o tej posadzie w pierwszym tygodniu szkoły. Dopiero zaczęła poznawać rozwydrzone pierwszaki, które nie potrafiły usiedzieć w ławkach i darły się, jakby ktoś je odzierał ze skóry. Przywykłe do pracy na roli, palącego słońca i ciężkiej ojcowskiej ręki szkołę traktowały jak więzienie. Mama Joanny przechodziła to za każdym razem – co trzy lata, jak w zegarku. Z żalem wypuszczała trzecią klasę, nie chciała się rozstawać ze „swoimi dzieciaczkami” – właśnie między innymi za to matki tych „dzieciaczków” tak ją uwielbiały. Poza tym była dobrą nauczycielką, cierpliwą i wyrozumiałą, choć nigdy nie pozwalała sobie wchodzić na głowę. W tej ostatniej szkole udało jej się nawet przepracować sześć lat, a to dlatego, że z każdej kolejnej miejscowości, do której się przeprowadzali, miała doskonałe połączenie autobusowe. No i ludzie ją rozpoznawali, często więc proponowali podwózkę.

Nie było tak źle, ale wszystko się kiedyś kończy. W Szklanej Górze skończyło się znacznie szybciej, niż zakładali. Pod koniec tamtego lata Asia zaprzyjaźniła się ze swoją rówieśniczką Mirką. Jedenastolatka miała grube blond warkocze, plotła najpiękniejsze wianki i znała wszystkie tajemnice Szklanej Góry, którymi chętnie dzieliła się z nową koleżanką. Na początku odnosiła się do niej nieufnie. Asia pojawiła się z rodzicami pewnego majowego popołudnia przed pustą chałupą Wićkowskich. Kiedy za rozklekotaną niebieską mazdą na drodze zamajaczyła duża furgonetka z napisem PRZEPROWADZKI, zazdrostki we wszystkich kuchennych oknach rozchyliły się ciekawie. Miejscowe kobiety lustrowały nową rodzinę: on niczego sobie, wysoki, barczysty i całkiem już siwy, choć nie miał pewnie jeszcze czterdziestki, ona zdecydowana i pewna siebie, choć jakby trochę nerwowa. Co rusz zakładała ciemne włosy za ucho, a te co rusz wysuwały się i zasłaniały twarz. W końcu sięgnęła do kieszeni dzinsów po gumkę i niedbałym ruchem spięła włosy w koński ogon. Wyglądała znacznie młodziej niż mąż, przynajmniej dopóki nie przytuliła do siebie

córki – drobnej dziewczynki o długich, równie ciemnych włosach. Wtedy postarzała się nagle na twarzy, a bojowa postawa zniknęła w mgnieniu oka. Kobiety patrzyły w milczeniu na steraną życiem, starą kobietę i kiwały głowami. Tak rodzina Lesiów po raz kolejny została przyjęta jako swoja. Najstarszy syn Wićkowskich przyjechał kwadrans później, chociaż mieszkał zaledwie trzy minuty drogi stąd. Wyjął klucze, wpuścił nowych do środka, o jedną chwilę za długo gapiąc się na tyłek Lesiowej, i cała czwórka zniknęła w domu. W tym samym momencie w Szklanej Górze rozdzwoniły się telefony, a do kolacji powstała już jedna spójna wersja opowieści o nowych:

– To nauczycielka, podobno w szkole w Przywidzu uczy. On jest elektrykiem, Andrzej zna, ale to taka złota rączka raczej, bo na wszystkim chyba chłop się zna. Samochód dzisiaj nawet Smolarczykom naprawił. Ten stary pijok znowu wczoraj do rowu wjechał i auto im się rozkraczyło. A ten przyszedł, postął, zajrzał pod maskę i cudencko jak nowe pod dom zajechało. A ich córka to chyba choruje na coś. W rękawiczkach stale chodzi. Takie ma długie, prawie do łokcia. Biedna, pewnie jej gorąco. Za ile kupili? Nie, nie kupili, wynajmują chałupę od Wićkowskich. Chyba długo miejsca tu nie zagrzeją, chociaż kto ich tam wie.

Mirka była bardzo nieśmiałą dziewczynką, dlatego aż do sierpnia trzymała się z dala od nowej. Coś ją wyraźnie do niej ciągnęło – w najbliższej okolicy nie miała żadnych koleżanek w swoim wieku, a ta Asia wyglądała na całkiem fajną, tylko jakoś nigdy się tak nie składało, żeby podejść i zagadać. Rzadko kiedy wychodziła sama z domu, bo rano pakowała się do mazdy, wrzucała plecak na tylne siedzenie i siadała obok mamy. Mazda rzeziła przy odpalaniu, ale w końcu ruszała i wracała dopiero po południu. Kiedyś, gdy tylko opadł niebieskawy dym i ucichł ryk silnika, zaciekawiona Mirka zajrzała do Lesiów przez okno. Chciała zobaczyć, jak nowi mieszkają, a przede wszystkim – jak wygląda pokój Asi. Ich dom, a właściwie chałupa starych Wićkowskich, miał solidną podmurówkę, więc dziewczynka musiała wspiąć się na palce, żeby dosięgnąć parapetu. Podsunęła sobie żółte wiaderko, które stało pod płotem, i postawiła na nim jedną stopę. Zachybotła się, ale nie straciła równowagi. Zajrzała ostrożnie i niemal wrzasnęła. Za oknem w pokoju zobaczyła wielkie łóżko, a w nim gołego ojca Asi, który szarpał swoim penisem, jakby chciał go urwać. Wstrząśnięta tym widokiem uciekła do siebie, a potem podejrzliwie patrzyła na swojego ojca, zastanawiając się, czy i on robi takie obrzydlistwa co rano. Nie zamierzała go o to pytać, o nie, na to była zbyt mądra. Za wiele razy dostała od niego pasem, by wyskakiwać z takimi kwestiami. To wszystko – swojego masturbującego się tatę, piekące pręgi na plecach Mirki i unoszącą się pięść jej ojca – Asia ujrzała pod

koniec lata, gdy pod okiem nowej koleżanki uczyła się pleść wianki. Dziewczynki wpadły wreszcie na siebie w połowie sierpnia, kiedy obie postanowiły w tym samym czasie wybrać się nad jezioro. Warkocze Mirki leżały spokojnie na jej ramionach, gdy szła miarowym krokiem, podczas gdy koński ogon Asi nieustannie podskakiwał, tak zresztą jak ona sama. Przez kilka minut szły obok siebie w milczeniu, przyglądając się ukradkiem ręcznikom przerzuconym przez szyje i paskom od kostiumów wystających spod bluzek.

– Idziesz się wykąpać? – Pierwsza odważyła się przemówić Asia, a kiedy dziewczynka pokiwała głową, dodała: – To fajnie, bo ja też. Jestem Aśka.

Zanim dotarły nad jezioro, zdążyły ponarzekać na swoje klasy, letnią nudę dzieciaków uwięzionych na pustkowiu i wymieniły uwagi na temat chłopców z New Kids on the Block. Mirka kochała się na zabój w Jordanie Knighcie, a Asia po kryjomu wzdychała do Donniego Wahlberga – po kryjomu, bo w szkole pojawiły się głosy, że to zespół dla małych dzieciaków, nie to co Depeche Mode albo Jon Bon Jovi. Dlatego w rozmowach ze szkolnymi koleżankami uważała, by nie zdradzić się ze swoją prawdziwą miłością, i dlatego tak dobrze poczuła się z Mirką, chociaż dopiero co ją poznała. Potem już parszkając i piszcząc, dobiegły do maleńkiej plaży, zrzuciły w pośpiechu bluzki oraz spódnice i wskoczyły do wody. Po godzinie zostały najlepszymi przyjaciółkami, takimi na śmierć i życie, co obiecały sobie uroczystie, płotąc wianki z kwiatów. Mirce szło to znacznie lepiej. Siedziała na pomoście i suszyła rozpuszczone włosy, a chabry migotały między jej palcami, kiedy splatała je dla koleżanki. Asia przyglądała jej się z zafascynowaniem, mrużąc oczy, bo blask słońca odbijającego się od tafli wody niemal ją oślepił. Było parno, powietrze stało w miejscu, od czasu do czasu w trzcinach odezwała się jakaś samotna żaba, nawet rybom nie chciało się pluskać. Na deskach, obok złożonej w kostkę spódniczki oraz sandałów, leżały długie cienkie rękawiczki w jasnym kolorze. Były lekko przybrudzone na palcach. Mirka spojrzała na nie, a potem ukradkiem zerknęła na dłoń przyjaciółki.

– Czemu je nosisz? – zapytała po prostu, podając jej ukończony wianek, a Asia bezwiednie wyciągnęła po niego ręce i ich palce na jedną krótką chwilę się zetknęły. To wystarczyło. Tata w łóżku, jego przyspieszony oddech, zaczerwieniona twarz, żółte wiaderko, ona sama obok mamy w samochodzie, kleks z atramentu w zeszyście do polskiego, pasek w spodniach ojca Mirki, piekący ból przy zdejmowaniu bluzki, zapach krwi i...

– Hej, nic ci nie jest? – Twarz Mirki zawisła tuż nad nią pod dziwnym kątem i Asia



ze zdziwieniem odkryła, że leży na plecach. – Może masz udar? Niedobrze ci? Boli cię głowa? Bo wiesz, ja kiedyś za długo leżałam na słońcu i potem rzygałam całą noc – dodała z dumą. – Ale w sumie nie było to fajne. To co, będziesz rzygać?

Asia potrząsnęła przecząco głową i powoli usiadła. Zastanawiała się, czy może zdradzić nowej koleżance, co się zdarzy, kiedy tylko wrócą do domu. Z jednej strony nie chciała tak szybko kończyć dopiero co zadzierzgniętej przyjaźni, z drugiej nie mogła dopuścić, by znów do tego doszło, bo tym razem nie skończy się to najlepiej. Najpierw Mirka rozwiesi na sznurku w ogrodzie wilgotny wciąż ręcznik, potem wejdzie do środka i zamiast od razu schować się w swoim pokoju, w ostatniej chwili zdecyduje, że pójdzie do kuchni napić się czegoś zimnego. A kiedy z rozmachem otworzy lodówkę, potrąci butelkę stojącą obok na blacie. Szkło zabrzęczy na podłodze i spienione piwo wyleje się na bose stopy ojca, który nie zdąży nawet zakląć, tylko chwyci tę butelkę i... Nie. Nie mogła do tego dopuścić.

– Słuchaj, musisz mi coś obiecać – powiedziała poważnie. – Jak tylko wrócimy, pójdziesz od razu do swojego pokoju. Nie zajrzysz do kuchni i nie otworzysz lodówki.

– Zwariowałaś? – Mirka parsknęła śmiechem. – Ej, a może ty rzeczywiście masz udar, co?

– Jeśli mi obiecasz, że nie wejdiesz do kuchni, to... – Zawahała się na chwilę. – Powiem ci, po co noszę te rękawiczki.

Oczy Mirki robiły się coraz większe, kiedy zaczęła słuchać. Pierwsze słowa brzmiały chropawo, Asia zmuszała się, by w ogóle je wypowiedzieć. Jakby nie pasowały ani do kształtu jej ust, ani do siedzącej obok dziewczyny. Jednak stopniowo same zaczęły się z niej wylewać, nie potrafiła ich już zatrzymać. Przez tyle lat nosiła je w sobie, upychała, składała, a one pęczniały w ciszy, rozdymały się i wypełniły ją tak szczelnie, że gdy tylko puściło pierwsze, wszystkie historie, obrazy, przypadki, sytuacje po prostu z niej wytrysnęły. Tak samo jak ta o spienionym piwie i butelce rozbitej na głowie jedenastolatki – ta, która jeszcze się nie wydarzyła i której jeszcze można było zapobiec.

Mirka wzięła głęboki oddech i głośno wypuściła powietrze.

– Ja pierdolę – powiedziała grubym głosem, zupełnie niepasującym do dziewczynki z rozpuszczonymi blond włosami i w chabrowym wianku. – I masz tak od zawsze? No wiesz, te wizje i w ogóle?

Asia pokiwała głową. Tak, miała je od zawsze. Po prostu taka się urodziła i nic nie mogła na to poradzić. No właśnie, ja pierdolę. Nigdy wcześniej nie przyszło jej to do

głowy, ale teraz te słowa były jak wybawienie. Obracała je ostrożnie na języku, badając każdą krawędź, każdy ostry kant, który tak przyjemnie ciął dziąsła i uwierał w podniebienie. Ja pierdołę, powtórzyła w myślach i od razu poczuła się lepiej. Przecież to nie jej wina, że widzi te wszystkie rzeczy, kiedy tylko kogoś dotknie. Czy oni naprawdę myślą, że to takie fajne oglądać trupy tych wszystkich ciotek, mężów i dzieci, o których słuch zaginął? Zazwyczaj leżeli w rowie, potrąceni przez pijanych kierowców, albo na dnie jeziora, mieli wyżarte oczy i napuchnięte ciała. Ona naprawdę nie chciała na nich patrzeć, a prędzej czy później zawsze trafiał do niej ktoś ze zdjęciem, kosmykiem włosów, swetrem albo misiem, wystawał przed drzwiami, błagał, zanosił się płaczem, aż w końcu zrezygnowana mama siadała obok niej na łóżku i patrzyła prosząco. Asia wołała już te historie o zapodzianych przedmiotach, tajemniczych dolegliwościach i rodzinnych tajemnicach. Te ostatnie bywały nawet zabawne. Kiedyś przyszła do nich kobieta, która dostała dom w spadku po bogatej ciotce. Twierdziła, że gdzieś na terenie gospodarstwa jest ukryty skarb, bo ciotka nie ufała bankom i wszystko trzymała u siebie. Kobieta przekopowała cały ogród, rozebrała i tak już zdemolowaną oborę, przetrząsnęła każdy kąt, zajrzała pod łóżka i odgięła wszystkie obluźowane deski w podłodze. I niczego nie znalazła. „W tobie cała moja nadzieja” – powiedziała tak poważnym głosem, jakby chodziło o kwestię życia i śmierci. Dziewczynce coś jednak się w niej nie podobało. Nie była pewna co dokładnie, bo nie chciała dotykać jej dłoni. Oczywiście, że wiedziała, gdzie są pieniądze. Pod krzakiem chryzantem tuż koło schodów prowadzących na ganek – na tyle głęboko, by nie wykopał ich żaden pies. Asia trzymała w rękach stary drewniany przybornik do szycia podany skwapliwie przez kobietę, a potem go oddała, wzruszając ramionami. Kobieta zacisnęła mocno wargi. Podobno sprzedała później ten dom jakiejś rodzinie i Asia zastanawiała się, czy nie powiedzieć im o skarbie zakopanym koło schodków, ale wtedy rodzice znowu zdecydowali o przeprowadzce, bo pod ich drzwiami codziennie ustawiała się długa kolejka interesantów. Przyjeżdżali nawet z odległych miejsc, koczowali w ogrodzie, spali w samochodach i domagali się pomocy od małej dziewczynki w długich rękawiczkach.

Mirka słuchała uważnie. Wianek przekrzywił jej się na głowie i lada chwila mógł wpaść do wody, jednak w ogóle nie zwracała na to uwagi. Chłoneła każde słowo. To było straszne, niewiarygodne i znacznie lepsze niż to, co dotąd oferowała jej ta dziura z kilkoma domami i jednym sklepem. To dopiero było życie!

– A pamiętasz swoją pierwszą wizję? – zapytała, kiedy Asia zamilkła i wyprostowała nogi, a potem zanurzyła je w wodzie. Siedziała na brzegu pomostu, pluskając stopami

i płosząc małe pomarańczowe rybki. Mirka przysunęła się bliżej i wianek wylądował w jeziorze. Przez chwilę dryfował koło na wprost zatopionej łódki starego Smolarczyka, po czym utknął w szuwarach.

– Yhm – mruknęła Asia i lekko się wzdrygnęła.

Tej historii naprawdę nie lubiła. Upchnęła ją na samym dnie pamięci, tak głęboko, by nigdy do niej nie sięgnąć, ale teraz ta zatopiona pięciolatka sama wypłynęła na powierzchnię. – To znaczy pewnie nie była pierwsza, ale tak okropna, że ją zapamiętałam. Nie wiem, ile miałam wtedy lat. Chyba sześć, bo chodziłam do zerówki. Mama kupiła mi takie czerwone buty zapinane na zatrzask, obłędne. – Uśmiechnęła się na wspomnienie półbutów na małym obcasie, z którego była bardzo dumna. Stukała zawzięcie, chodząc w nich z pokoju do pokoju, i nie zdejmowała bucików nawet do spania. Tak mama przekupiła córkę, by w ogóle poszła do zerówki, bo dziewczynka uparcie twierdziła, że nigdzie się nie wybiera. Dobrze jej w domu i koniec. Nie chciała tam iść, bała się nowego miejsca i nowych dzieci, normalnych dzieci, które nie widywały tego, co ona. – Wychodziliśmy z grupą ze stołówki – ciągnęła Asia. – Na korytarzu ganiały się starsze dzieciaki i wpadały na siebie z rozpędu. I ktoś wleciał na mnie. Uderzyłam o ścianę, płakałam, miałam rozbitą wargę. Nic się nie stało, ale pielęgniarka i tak zabrała mnie do gabinetu. Kazała mi usiąść na krześle, a potem podała gazik nasączony czymś śmierdzącym i powiedziała, że bym przytknęła go do rozcięcia. Szczypało, więc go odłożyłam, a wtedy ona chwyciła mnie za rękę i podniosła gazik z powrotem do ust. I wtedy zamiast niej zobaczyłam dziewczynkę. Leżała na plecach, miała taki zielonkawy kolor, a wokół jej nóg wiły się oślizgłe wodorosty. Włosy unosiły się i falowały, co chwilę zasłaniając twarz. Nie miałam pojęcia, co ona robi w gabinecie pielęgniarki i czemu tak dziwnie wygląda. Tak, no wiesz, strasznie, jakby nie żyła. Nie widziałam wcześniej żadnego trupa, ale skądś wiedziałam, że ona jest martwa. To się... czuło – dodała po chwili. – I te jej oczy. Okropne. – Wzdrygnęła się znów, a na jej ramionach pojawiła się gęsia skórka. Mirka nerwowo przełknęła ślinę. – Otwarte i puste. A potem pielęgniarka puściła moją rękę i dziewczynka zniknęła. Tak po prostu. Jakby nigdy jej tam nie było. Zapytałam o nią, a ta kobieta patrzyła na mnie bardzo długo takim samym pustym spojrzeniem jak to dziecko. To była jej córka, wiesz? – Spojrzała na Mirkę, a ta pokiwała szybko głową. – Następnego dnia pielęgniarka znowu wzięła mnie do gabinetu i posadziła na krześle. Potem chwyciła mnie za rękę i cichutko zapytała, czy wciąż widzę tę dziewczynkę i czy wiem, gdzie ona dokładnie jest. I znowu musiałam to oglądać, ale tym razem nie patrzyłam na nią, tylko dookoła niej. Zobaczyłam wbite

w dno deski pomostu, dużą oponę, mnóstwo butelek i oślizgłą czarną łódkę z wielką dziurą, przez którą przepływały ryby. I haczyk z linką. Ktoś siedział na tym pomoście i łowił, dokładnie w tym miejscu, gdzie ona leżała. Byłam w wodzie obok niej i pomyślałam, że jak wypłynę na powierzchnię, to zobaczę to miejsce. Ale nie potrafiłam tego zrobić. Nie mogłam się ruszyć. To było dziwne uczucie. Jakbym zamarzła. – Zdjęła z głowy wianek i obracała go w dłoniach, muskając kwiaty palcami. – Jest piękny – powiedziała i zamilkła na chwilę. Mirka poruszyła się niecierpliwie, więc Asia westchnęła i opowiadała dalej: – Okazało się, że to wystarczyło. Szukali potem takiego pomostu, gdzie za dnia często przesiadują wędkarze, a nocami chłopaki chleją piwo i rzucają butelkami. I przy trzecim ją znaleźli. Pielęgniarka przyszła do mojej mamy i wszystko jej opowiedziała. Płakała, mówiła, że to cud, że mam dar i że powinnam pomagać ludziom. Mama prosiła, by nikomu nic nie mówiła, ale wiesz, jak jest. Takie rzeczy szybko się rozchodzą. – Poglądziła znów wianek, schyliła się i położyła go ostrożnie na wodzie. Po chwili odpłynął, minął na w pół zatopioną łódkę i wianek Mirki, który utknął w sitowiu. Dziewczynki patrzyły za nim długo, dopóki nie wypłynął na środek jeziora i nie zniknął im z oczu.

– I co było dalej? – zapytała Mirka.

– Wszystko się zmieniło. Ta utopiona pięciolatka śniła mi się co noc. Krzyczałam przez sen, mama mnie budziła, uspokajała, ja zasypiałam i znów to samo. No i zaczęli zjawiać się ludzie, którym zginęło coś lub ktoś, więc wyprowadziliśmy się stamtąd.

– Ale twoje... widzenia nie znikły?

Asia pokazała tylko na rękawiczki leżące obok niej.

– Ciocia wpadła na ten pomysł. Wiesz, ona jest szychą w szpitalu dla czubków w Gdańsku. To siostra mojej mamy. Wciąż miałam te koszmary, więc wzięła mnie do siebie na kilka dni. Nie, nie do czubków. – Roześmiała się na widok miny Mirki. – Do domu. Chciała, żebym odpoczęła, zmieniła otoczenie, zapomniała. No wiesz. Pojechałyśmy z mamą do Gdańska. Było fajnie, chodziłyśmy na plażę. One siedziały na kocu i dużo ze sobą rozmawiały ściszone głosami, a ja skakałam przez fale. Zjadłam wtedy chyba z kilogram lodów. Po piasku łąził taki facet z dużym kartonem przewieszonym przez szyję. W środku trzymał turystyczną lodówkę. Krzyczał donośnym głosem: „Lody dla ochłody!” i uśmiechał się szeroko do dzieci, ale tak naprawdę był bardzo smutny. Jego żona właśnie go zostawiła i zabrała ze sobą synka. Okropnie za nimi tęsknił. Wiem, bo dotknęłam jego dłoni, kiedy podawał mi lody. Wtedy właśnie ciocia pomyślała o rękawiczkach. I sprawdziły się. Dlatego ciągle w nich chodzę. I pomyślała też o przeprowadzce. Że musimy zamieszkać tam, gdzie

nikt nas jeszcze nie zna i gdzie dadzą mi spokój. To też się sprawdziło, ale na krótko. Potem stale się przeprowadzaliśmy. Mama chciała mnie z tego wyleczyć, prosiła ciocię o jakieś leki, bo skoro pomagają czubkom, to pomogą też mnie. Ale ona zaprotestowała. Byłam zbyt mała i nie wiedzieli, co ze mną jest nie tak. A właściwie: czemu ze mną jest coś nie tak. Jak wyjeżdżałyśmy z Gdańska, mówiła, że z tego wyrosnę, że na pewno mi przejdzie. No ale nie przeszło. Dlatego – Asia obróciła twarz w stronę Mirki i ostrożnie dotknęła jej dłoni, po czym szybko cofnęła rękę – dlatego musisz mi obiecać, że nie wejdiesz dziś do kuchni. Choćby nie wiem co.

W drodze powrotnej milcząco ustaliły, że nie będą już poruszać tego tematu. Śpiewały *Step by Step* New Kidsów i rozmawiały o tym, jak byłoby fajnie, gdyby zespół dał kiedyś koncert w Trójmieście. Pojechałyby tam razem, a potem może nawet chłopcy wybraliby się nad jezioro do Przywidza. Mogłyby im pokazać okolice. Pożegnały się przed domem Mirki. Asia stała tam jeszcze, kiedy koleżanka powiesiła swój ręcznik na sznurku w ogrodzie, a potem pomachała wesoło i zniknęła w środku. Wtedy na drodze pojawiła się mazda, która skręciła pod dom Lesiów, omal nie potracając żółtego wiaderka. Z samochodu wyszła mama i zapytała, czy Asia pojedzie z nią po zakupy.

– Za chwilę, mamo – odparła spokojnie i coś w jej głosie sprawiło, że matkę przeszedł dreszcz. Jej jedenastoletnia córka ciągle jeszcze zachowywała się jak rozkapryszone dziecko, wciąż lubiła się do niej przytulać i czesać jej włosy, ale coraz częściej wychodziła z niej nastolatka ze wszystkimi fochami, dąsami i histeriami. Jakby wciąż tliło się w niej dzieciństwo, ale już coraz słabiej.

Powinam z nią porozmawiać o menstruacji, najwyższy czas, pomyślała matka. Przecież lada chwila dostanie okres, zacznie wzdychać do chłopaków i dopiero się zacznie.

Długo z tym zwlekała. Nie chciała tracić swojej małej córeczki, torować drogi tej rozbuchanej kobiecości, która zaleje jej dziecko hormonami, przeczołga je, zdusi w nim resztki dzieciństwa i bezpowrotnie zerwie ich więź.

Asia nie spuszczała z oczu drzwi do domu Mirki. Nic się jednak nie działo. W ciszy spowijającej całe gospodarstwo słychać było tylko cykadę i tęskne muczenie krowy.

– Teraz możemy jechać, mamo. Jestem gotowa – powiedziała w pewnym momencie, podchodząc do samochodu. Matka przyjrzała jej się uważnie – coś się w niej zmieniło, tylko nie wiedziała co.

Kiedy Mirka weszła do domu, w środku panował lekki chłód. Teraz, latem, miało to swoje plusy, człowiek oddychał w czterech ścianach z ulgą, ale zimą bywało trudno. Zwłaszcza kiedy ojciec był zbyt pijany, by napalić w piecu. W przedpokoju rzuciła na szafkę torbę, zdjęła sandały i stanęła boso na zimnej podłodze. Przechodząc korytarzem, zerknęła w stronę dużego pokoju. Telewizor był włączony, ale śnieżył, jak zawsze o tej porze, co złościło ojca, który uwielbiał powtórki programu *Tydzień na działce*. Rzuciła okiem na fotel – pusty. Kanapa również. Zdziwiło to ją, a raczej zaniepokoiło. Spodziewała się go tutaj. Najpierw miał pójść do kuchni, otworzyć butelkę, upić dwa łyki i postawić ją na blacie. Potem wrócić tu z gazetą, ale bez piwa. Dopiero kiedy ona otworzy lodówkę i potrąci butelkę, ojciec sobie o niej przypomni i wkurzy się tak, że... A może Aśka robiła sobie z niej jaja? Przecież nie znają się za dobrze. Naopowiadała jej bajeczek, a teraz pewnie śmieje się z idiotki, która we wszystko uwierzyła.

Jak mogłam być taką kretynką? – pomyślała ze złością i na przekór poszła prosto do kuchni. Wcale nie chciało jej się pić, ale zamierzała otworzyć z rozmachem lodówkę i... I wtedy na blacie zobaczyła dopiero co napoczętą butelkę piwa. Dokładnie tak jak w opowieści Aśki. Mirka zacisnęła dłonie w pięści, obróciła się na pięcie i wbiegła na palcach na piętro. Nie chciała, by ją usłyszał. Siedział w kiblu.

– Mirka? – odezwał się zza drzwi, szeleszcząc gazetą. – To ty?

Nie odpowiedziała. Weszła do swojego pokoju i nasłuchiwała. Serce waliło jej jak oszalałe, kiedy stała oparta o parapet twarzą do drzwi. Po dziesięciu minutach trzasnęły drzwi wejściowe. Mama zawołała: „To ja!” i weszła z zakupami do kuchni. Ojciec wyszedł z łazienki i poszedł za nią. Mirka usłyszała, jak z charakterystycznym jękiem otwierają się drzwi lodówki, potem rozległ się brzęk, soczyste „kurrrrwa” w ustach ojca i głucho uderzenie. A potem ktoś zawył. Zbiegła po schodach i zanim jeszcze wparowała do środka, zobaczyła czerwone cętki na ścianie. Nie mogła oddychać. Kręciło jej się w głowie, gdy zrobiła krok do przodu, w gęstą brunatną kałużę. Na podłodze klęczał ojciec, zanosił się od płaczu i kiwał się w przód i w tył, gładząc włosy matki, spomiędzy których wypływała strużka ciemnej krwi. Mirka spojrzała na roztrzaskaną butelkę tuż przy uchu mamy. Na ojca, który z całych sił zaciskał oczy, jakby nie mógł na to patrzeć, a potem wybiegła z domu. U Lesiów nie było nikogo, szarpała za klamkę, ale nikt nie otwierał. Smolarczykowa wyjrzała przez kuchenne okno, rzuciła okiem na zakrwawione bose stopy dziewczyny i przeżegnała się szybko.

Karetką przyjechała pół godziny później. Do tego czasu sąsiadce udało się

zatomować krwotok i odciągnąć zanoszącego się histerycznym płaczem pijaka. Kiedy Asia wróciła z mamą z zakupów, na schodkach przed ich domem zobaczyła skuloną przyjaciółkę. Obejmowała rękami nogi i patrzyła w ziemię. Nawet nie podniosła głowy, kiedy wysiadły z auta.

– Coś się stało? – zapytała Ewa Leś, przyglądając się dziewczynce.

Tej nocy Mirka spała w pokoju Asi, na trzech śpiworach rozłożonych na podłodze. Zanim zasnęła, wyciągnęła niepewnie rękę w stronę koleżanki i wyszeptała:

– Czy mama z tego wyjdzie?

Asia dotknęła jej dłoni i potwierdziła skinieniem głowy.

\*

Trzy dni później matkę Mirki wypuścili ze szpitala. Przywiózł ją Andrzej. Kobieta przez całą drogę nie odezwała się ani słowem. Podziękowała sucho, kiedy zajechał pod dom, i szybko weszła do środka. Po chwili w oknie w pokoju drgnęła firanka. Asia poczuła na sobie przestraszone spojrzenie sąsiadki i chociaż przez kolejny miesiąc niemal codziennie bawiła się z Mirką, kobieta wyraźnie jej unikała. Wszystko powoli ucichło, mąż pił jakby trochę mniej i z większym respektem traktował rodziców Asi, mama jeździła często na zebrania do szkoły, na których tuż przed rozpoczęciem roku szkolnego ustalano plan lekcji, a tata znalazł pracę w ekipie remontowej. Asia zdążyła już uwierzyć, że zyskała nie tylko przyjaciółkę, ale i nowe życie. Aż pewnego ranka obudziło ją natarczywe pukanie. Zaspana wyszła z pokoju i ze zdziwieniem zobaczyła w kuchni oboje rodziców. Stali przy oknie i zza firanki patrzyli na schody prowadzące do drzwi. Asia podeszła bliżej i zobaczyła nieznaną kobietę ściskającą w ręku jakieś zdjęcie. Za nią stało starsze małżeństwo, ona z różańcem wystającym z torebki, on w niedzielnym garniturze. Spierali się o coś po cichu. On potrząsał głową, ona z uporem celowała palcem w kawałek papieru, chyba list. Wyglądali na zdeterminowanych.

Mama położyła dłoń na ramieniu córki i przytuliła ją do siebie.

– Zaczęło się – powiedziała głuchym głosem. – Znowu się zaczęło.

\*

Michała wyrzucono tuż przed dwudziestą drugą. Pielęgniarka weszła do pokoju i bezceremonialnie włączyła światło, a ostry blask jarzeńówek zalał cały pokój i wyłuskał ze snu Joannę.

– Co pan tu ro... – zaczęła pielęgniarka, ale nie skończyła. Spojrzała na pacjentkę i pozwoliła jej potrząsnąć nieprzytomnym Michałem, który dopiero teraz obudził się z głębokiego snu i mrużył oczy, osłaniając je przed światłem.

– Przepraszam – mruknął na widok młodej kobiety w białym uniformie. – Musiałem zasnąć. Już się stąd zabieram.

Wstał pospiesznie, przykrywając Joannę i całując ją w czoło.

– Lepiej się czujesz? – zapytał jeszcze, z trudem powstrzymując ziewanie. – Widziałem tu w okolicy jakiś hotel, wezmę pokój i przyjdę do ciebie rano, w porządku?



– W porządku – odpowiedziała, marząc już tylko o tym, żeby poszedł, a ta cholerna pielęgniarka wyłączyła wreszcie to cholerne światło i pozwoliła jej spać. Chciała znowu zamknąć oczy i wrócić do snu o Mirce, do tamtego świata sprzed katastrofy, kiedy wciąż jeszcze czuła, że ma na coś wpływ, że może zmieniać bieg wydarzeń, że może cokolwiek.

Pielęgniarka pokręciła się jeszcze chwilę, sprawdziła stan kroplówki i przejrzała kartę, jakby chciała wyrobić dwieście procent normy i przekonać pacjenta, że służba zdrowia to prawdziwa służba w pocie czoła i znoju. Coś musiało przykuć jej uwagę w zapiskach, bo przerwała czytanie i posłała Joannie szybkie spojrzenie pełne – czego? Joanna nie była pewna: zdumienia, litości, pogardy? Właściwie wszystkie te emocje oraz wrażenia odbiły się w jej oczach, nim pielęgniarka odłożyła kartę.

– Gdyby coś się działo, proszę wcisnąć tamten przycisk – powiedziała, wskazując małe białe ustrojstwo wiszące tuż obok wezglowia. – Tylko gdyby naprawdę coś się działo – dodała, kładąc nacisk na „naprawdę”. Być może ludzie zbyt często traktowali to miejsce jak sanatorium, być może miała za dużo pracy albo po prostu miała to w dupie. Tego Joanna też nie była pewna. Chciała już tylko zasnąć i wrócić w tamto miejsce, w tamten czas.

Gdy światło litościwie znów zgasło, pokój wypełnił się półmrokiem. Latarnie zza okna rzuciły pomarańczową łunę na sufit, a jarzeniówki z korytarza wdzierały się długą smugą przez szparę w drzwiach. Ktoś za ścianą przekręcił się na łóżku i westchnął ciężko.

Brakuje jeszcze tylko kilku potężnych fikusów, rzucających dziwaczne, poskręcane cienie, i błyszczących, pociągniętych lakierem meblościanek i byłoby zupełnie jak u ciotki w szpitalu dla chubków, pomyślała Joanna i zamknęła oczy. Sen nie chciał jednak wrócić. Długo leżała, uspokajając oddech i przywołując obrazy z przeszłości: rzęzącą mazdę, blond warkocze Mirki, przestraszone nieufne spojrzenie jej matki – na próżno. Im bardziej chciała zasnąć, tym większy opór stawiał jej umysł. Strzępki myśli wciąż krążyły w głowie, kręciły się oszalałe jak tornado i nie miała żadnego punktu oparcia, żadnej ściany, za którą mogłaby się schować. W dodatku zaczęła ją swędzieć skóra na dłoni wokół wenflonu. Joanna przesunęła palcem po plastrze, ale niewiele to pomogło. Podważyła go paznokciem i spróbowała podrapać. Przyniosło ulgę na chwilę, jak drapanie bąbla po komarze, a potem swędzenie wróciło ze zdwojoną siłą. Joanna zapaliła małą lampkę i ostrożnie odkleiła plaster – skóra pod nim była zaczerwieniona i sucha, pełna maleńkich kropek, które w świetle żarówki przypominały kraterzyki budzącego się z wolna wulkanu. Miała uczulenie na ten

cholerny plaster, dokładnie tak jak kiedyś, gdy ciotka wzięła ją na kilkudniową obserwację na oddział. To musiało się wydarzyć, zanim jeszcze ostatecznie porzucili te wszystkie kaszubskie pipidowy i przeprowadzili się do Gdyni. Tak, chodziła wtedy wciąż do podstawówki. Do dziś pamięta piątą klasę – po wyprowadzce ze Szklanej Góry zmieniła też szkołę. Poszła oczywiście tam, gdzie od połowy września zaczęła uczyć matka. Nie żeby odpowiadało jej takie rozwiązanie – nie lubiła być dzieckiem nauczycielki, to było gorsze niż naszywka wzorowego ucznia, którą wciąż kazali im nosić. Dobrze, że przynajmniej odpuścili z tymi idiotycznymi fartuszkami. Nawet gdyby Asia odważyła się zaprotestować, i tak nie miałyby wyjścia – w okolicy zawsze była tylko jedna szkoła i musiała ją dzielić z matką. Na szczęście odkąd skończyła trzecią klasę, szansa na to, że będzie ją uczyła Ewa Leś, spadła do zera. Nauczyciel w najbliższej rodzinie to było przekleństwo – bo choć w domu mama zachowywała się jeszcze w miarę normalnie, to gdy tylko wsiadały do mazdy albo do autobusu jadącego do szkoły, natychmiast zmieniała się w ciało pedagogiczne. W połowie września, kiedy weszły razem do budynku, Asia z ulgą skręciła na piętro, gdzie odbywały się lekcje starszych klas. Gdyby tylko wiedziała, jak skończy się ten kolejny etap w jej życiu, pewnie od razu zawróciłaby na pięcie i związała. Ale nie wiedziała. Mogła dotykać dłoni rodziców i swoich w nieskończoność – nie pojawiały się żadne wizje, żadne obrazy ani choćby nawet przeczucia. Życie innych nie stanowiło dla niej tajemnicy, za to jej własne miało ją zaskakiwać do końca.

Tego dnia piąta C zaczynała od lekcji polskiego z wychowawczynią, zasuszoną anorektyczką o wydatnych kościach policzkowych, nazywaną przez uczniów Tyczką. Jeśli nauczanie było jej powołaniem, to los okrutnie z niej zakpił. Nie radziła sobie z buzującymi od hormonów nastolatkami, siódme i ósme klasy budziły w niej przerażenie, więc ubłagała dyrektorkę o prowadzenie lekcji wyłącznie w młodszych klasach. Program czwartej, piątej i od biedy szóstej potrafiła jeszcze wbić w te tępe głowy, bo nie stawiały aż takiego oporu jak pryszczate, aroganckie i cuchnące młodziki. Tych nie znosiła najbardziej – czuła od nich zapach przetłuszczonych włosów, niezmiętej bielizny i spermy, co doprowadzało ją do torsji. Przyglądała im się czasem z odrazą, kiedy pochyleni nad ławkami skrobali w zeszytach wypociny na temat Mickiewicza, nie rozumiejąc ani słowa z tego, co piszą. Patrzyła na ich obgryzione paznokcie, palce, które na przerwie obejmowały sztywne penisy i szarpały nimi pospiesznie, żeby zdążyć przed dzwonkiem, poplamione koszule, połyskujące pierścionki na dłoniach głupiutkich pustych dziewcząt, które marzyły wyłącznie o tym, by pozwolono im w szkole na makijaż. Nie, to nie były ani dzieci, ani dorośli,

tylko poczwarki i dopóki nie musiała za często ich oglądać, potrafiła sobie z nimi radzić. Najgorsze jednak, że w poprzednim roku dyrektorka wezwała ją do siebie i nie dopuszczając do głosu, oznajmiła, że powierza jej wychowawstwo. Zacznie oczywiście od klasy czwartej i – tu dyrektorka wlepiła w nią twarde spojrzenie – doprowadzi ją aż do końca szkoły. Tyczka była tak wstrząśnięta, że nie usłyszała już nic więcej. Pokiwała tylko głową i wyszła z gabinetu jak skazaniec idący na szubienicę. Mogło być gorzej, mogłaby dostać klasy ósme albo trafić na zastępstwo do siódmej A, której wychowawca poszedł na zwolnienie, bo nieznani sprawcy napadli go, gdy wracał wieczorem do domu. Nieznani, jasne. Wszyscy wiedzieli, kto to zrobił – jego sąsiadka zdążyła dojrzeć grupkę wyrostków w kominiarkach kopiających leżącego mężczyznę. To ona wezwała policję. Siódma A była najgorsza z całego rocznika, właściwie to najgorsza spośród wszystkich klas w historii całej szkoły.

Tak, mogło być gorzej, pomyślała, stojąc w pustej sali i wyglądając przez okno na szkolne podwórko. Za dwie minuty miała poprowadzić lekcję w piątej C. Ta nowa jeszcze nie zaczęła chodzić do szkoły, a już się spóźniała.

W tym samym momencie rozległo się głośnie pukanie i ktoś nacisnął klamkę, drzwi były jednak zamknięte. Polonistka potrzebowała chwili spokoju i na każdej przerwie wyrzucała uczniów z sali, po czym zamykała drzwi. Należało jej się. Podeszła teraz powoli i przekręciła kluczyk w zamku, wpuszczając do środka uczennicę. To musiała być ta nowa, Joanna Leś. Kto to widział, żeby w połowie września zmieniać szkołę? No tak, to córka nauczycielki, zapomniała. Wyglądała całkiem przeciętnie, miała ciemne włosy spięte w niski kucyk, nie nosiła żadnej biżuterii i w odróżnieniu od rówieśniczek nie malowała sobie paznokci mazakami.

– Dzień dobry. – Dziewczyna dygnęła grzecznie, wywołując tym blady uśmiech na twarzy Tyczki. – Jestem Joanna Leś, nowa uczennica. Miałam być wcześniej, ale zrobili objazd i...

– Nie musisz się tłumaczyć – przerwała, przyglądając jej się uważnie. Sztruksy, flanelowa koszula wyłożona na spodnie i zapięta pod samą szyję. Mogło być lepiej, ale przynajmniej nie wyróżniała się z tłumu dzieciaków. Tylko po co te rękawiczki? Nauczycielka lekko zmarszczyła brwi i Asia podążyła za jej spojrzeniem.

– A, to – powiedziała, jakby chodziło o coś tak oczywistego jak oddychanie. – Mam egzemę, straszne rany na dłoniach. Lekarz kazał mi nosić rękawiczki, to taki rodzaj opatrunku – wyjaśniła, wzruszając ramionami.

Egzema. Oby tylko nic zaraźliwego, pomyślała nauczycielka i mimo woli się wzdrygnęła.

– Zaraz po dzwonku przedstawię cię klasie – powiedziała szybko. – Usiądziesz w czwartej ławce pod ścianą, obok Beatki. To dobra i grzeczna uczennica, mam nadzieję, że i ty taka będziesz.

Jesteś, chciała powiedzieć: jesteś. Co się z nią dzieje? No naprawdę, to dopiero połowa września, a ona już się czuje, jakby z trudem dobrnęła do maja.

– Dobrze, proszę pani. – Dziewczyna znów dygnęła i posłusznie podeszła do wskazanej ławki.

Przynajmniej jest dobrze wychowana, westchnęła z ulgą polonistka. Nie to co tamci.

„Tamci” tuż po dzwonku wpadli do sali jak tabun rozbrykanych koni, tratujących wszystko, co stanie im na drodze. I oczywiście od razu ją zauważyli.

– Ty, zobacz, nowa. – Chłopak w rozciągniętym T-shircie po starszym bracie albo ojcu szturchnął łokciem kolegę w dzinsowej kamizelce, spod której sterczały poszarpane nitki białego podkoszulka.

– Cześć, nowa. – Niebieska dekatyzowana kamizelka podeszła do niej i usiadła na ławce. – Jestem Bartek.

– Cześć. Aśka – odparła z lekkim uśmiechem.

– Uuu, jaka stylówka – zawył z przesadnym entuzjazmem, dotykając rękawiczki. – Skąd je masz?

Asia natychmiast cofnęła rękę. Nie chciała, by ktokolwiek jej dotykał.

– Spokojnie, nic ci nie zrobię – zaśmiał się chłopak. – Chciałem się tylko przedstawić. Jestem gospodarzem klasy i... – zeskoczył z ławki i dodał, zniżając lekko głos: – ...mogę załatwić różne rzeczy. Jak będziesz chciała poprawić ocenę w dzienniku, to wal prosto do mnie. Dogadamy się. – Wyszczrzył się do niej w uśmiechu, jakby wyuczył się tego od kogoś znacznie starszego. W ogóle nie wyglądał na swój wiek, raczej na siódmoklasistę, ale jakim cudem ktoś, kto dwa razy powtarza rok, mógłby zostać gospodarzem klasy?

– To moje miejsce. Co ty tu robisz? Nie znam cię – odezwał się nagle ktoś nad nią piskliwym głosem.

Asia podniosła głowę. Stała przed nią dziewczyna w białej bluzce z kołnierzykiem i dwoma mysimi ogonkami sterczącymi na boki.

– Nauczycielka kazała mi tu usiąść. Ty pewnie jesteś Beata? – Asia uśmiechnęła się przyjaźnie, chociaż wcale nie miała na to ochoty. No tak, mogła się tego spodziewać.

Jeśli wychowawczyni mówi o kimś, że jest grzeczną i dobrą uczennicą, to na pewno musi to być dysfunkcyjny okaz. Jak to było? Osobnik społecznie niedostosowany. Parsknęła cicho, przypominając sobie słowa ciotki o jednym z jej podopiecznych, i zaraz odkaszlnęła, udając przed Beatą, która przyglądała jej się podejrzliwie, że to tylko chrypka.

Kiedy wszyscy zajęli już swoje miejsca i w sali zapanowało coś, co przy odrobinie dobrej woli można było uznać za pełną skupienia ciszę, Tyczka wstała zza biurka.

– Od dzisiaj mamy w klasie nową koleżankę, Joannę – powiedziała i skinęła na Asię, wzywając ją do siebie.

Dziewczyna podniosła się niechętnie i podeszła do wychowawczyni.

– Może powiesz nam coś o sobie?

– Cześć, jestem Aśka – wykrztusiła, wbijając wzrok w podłogę. Wystarczyło, że czuła na sobie spojrzenia trzydziściorga dzieciaków, nie musiała w dodatku ich widzieć. Kiedy wracała do ławki, usłyszała chichoty i szept. A potem ktoś pociągnął ją lekko za koszulę.

– Głowa do góry, nowa. Nie damy cię zjeść. W końcu jesteś nasza, co? – powiedział półgłosem chłopak w kamizelce, a jego kolega zaśmiał się cicho.

To prawda, była ich, tylko jeszcze o tym nie wiedziała.

Pierwszy dzień upłynął bez większych problemów. Trzymała się na uboczu – wolała najpierw dokładnie ich sobie obejrzeć, zanim wejdzie w jakiegokolwiek interakcje. Do tej pory bez względu na przeprowadzki chodziła do tej samej klasy, znała innych od małego, wiedziała, czego się po nich spodziewać, kogo unikać, a z kim warto się trzymać, ale tutaj po raz pierwszy znalazła się w sytuacji, gdy trafiła do nowego towarzystwa. To znaczy towarzystwo było stare i zgrane, tylko ona była „nowa”. Na lekcjach nie wychylała się zbyt, pozwalała brylować swojej koleżance, której wyciągnięty w górę palec doprowadzał ją do szewskiej pasji. Inni zdawali się nie zwracać na nią uwagi, chociaż Beatka stanowiła jedyny okaz kujona w całej piątej C. Asia szybko zorientowała się dlaczego – Beatka była córką dyrektorki. Tylko ktoś nad wyraz nierozsądny mógł w ogóle pomyśleć o tym, by narazić się takiej koleżance. Mogli ją lekceważyć, omijać spojrzeniem, jakby była niewidzialna, albo ograniczać się do cichej akceptacji jej istnienia, ale nic poza tym. Obie strony wyglądały na zadowolone z takiego obrotu spraw.

Mniej więcej tydzień zajęło Asi przystosowanie się do nowych warunków. Pewnie potrwałoby to znacznie dłużej, gdyby nie Bartek, najbardziej wyszczekany, ale

i najbardziej przyjazny z całej klasy. Kiedy siedziała na przerwie na korytarzu z nosem w książce albo słuchała muzyki z walkmana, odrywał się nagle od grupy stojącej pod oknami i podchodził do niej.

– Znowu czytasz? – mówił zazwyczaj z uśmiechem politowania albo stukał palcem w słuchawkę, krzycząc na całe gardło: – Czego tam słuchasz? Chyba nie Pauli Abdul, co?

W tej szkole wszyscy mieli polewkę z Pauli Abdul. I dobrze, nigdy za nią nie przepadała. Oczywiście wciąż słuchała New Kidsów, ale gdyby to się wydało, miałyby przesrane, więc szybko wyłączała walkmana i chowała do plecaka.

– Nie bój się, nie ukradnę ci. – Bartek prychał z udawanym oburzeniem, a potem mówił: – Chodź do nas. Grzesiek opowiada kawały, jest fajnie.

Szła więc i słuchała dowcipów, uśmiechała się nawet półgębkiem, chociaż niespecjalnie ją śmieszyły. Koledzy wypytywali ją o różne rzeczy: skąd się przeprowadziła, jaką miała przedtem klasę, kogo najbardziej lubi w tej i – jakżeby inaczej – po co ciągle nosi te rękawiczki. Najwyraźniej ich fascynowały. Sprzedała im tę samą historyjkę co nauczycielce. Po tylu latach nawet sama zaczynała w to wierzyć i po powrocie do domu nieraz łapała się na tym, że ze zdziwieniem przygląda się swoim gładkim, pozbawionym ran dłoniom. Nie zdejmowała rękawiczek nawet na WF-ie – po pierwsze wolała nie ryzykować, po drugie historia z egzemą przylaby jak bańka mydlana. A tak wystarczyło tylko pismo od lekarza i nikt nie wnikał, że podpisała je psychiatra, a nie dermatolog. Problemy miały jedynie dziewczyny, które zaczęły ją naśladować. Kilka z nich przyszło do szkoły w długich koronkowych rękawiczkach, pewnie znalezionych w ciucholandzie albo zakurzonych kufrach babek. Szybko dostały ochrzan i groźbę obniżenia oceny z zachowania na koniec roku, więc moda na rękawiczki błyskawicznie przeminęła, w przeciwieństwie do fascynacji Asią. Nie przeszkadzało jej to. Właściwie to polubiła ten stan – dziewczyny wciąż pytały ją o zdanie w kwestii ubrań i fryzur, a chłopaki liczyły się z jej opinią, co było dość dziwne jak na dwunastolatków, ale zarazem dość przyjemne. No i jeszcze Bartek. Lubiała przebywać w jego towarzystwie, chociaż nie tak dawno temu, bo zaledwie w czwartej klasie, prędej umarłaby z żenady, niż pogadała z jakimś chłopakiem. Teraz jednak wszystko wyglądało inaczej, widocznie i ją zmieniła przeprowadzka do nowej miejscowości i nowej szkoły.

Poprzedniego wieczora strasznie pokłóciła się z matką. Ostatnio naprawdę ją wkurzała. Jak nakręcona gadała w kółko o tym samym. „Tylko uważaj w szkole, nie zdejmuj rękawiczek, nie mów nikomu”, jakby Aśka sama o tym nie wiedziała. Matka

traktowała ją jak swoją ośmioletnią uczennicę, której trzeba przypominać najbardziej podstawowe rzeczy. Asia słuchała, zaciskała zęby i potakiwała głową – przynajmniej do poprzedniego wieczoru, kiedy spojrzała jej prosto w oczy i z ironią, na jaką stać początkującą nastolatkę, rzuciła:

– Taa, jasne. Coś jeszcze?

Matkę zamurowało. Na chwilę oniemiała, ale szybko odzyskała rezon. Nawrzeszczała na nią za to, że lekceważy swój „dar” (Asia skrzywiła się) i ją samą (Asia znów posłała jej wyzywające spojrzenie), i że takim tonem to może zwracać się do swoich koleżanek i kolegów, ale nie do niej, nie do matki. W odpowiedzi dziewczyna trzasnęła drzwiami do swojego pokoju. Usłyszała jeszcze, jak mama wstaje z kanapy i kieruje się do niej, a tata uspokajającym głosem mówi coś w stylu: „Zostaw ją, przejdzie jej, zobaczysz”. Następnego ranka jechały do szkoły w całkowitej ciszy.

Tamtego dnia spadł pierwszy śnieg. Płatki z wolna wirowały w powietrzu i osiadały na gałęziach, pod którymi stała razem z kilkoma osobami. Ktoś, chyba Grzesiek, wyjął z kieszeni paczkę fajek ukradzionych ojcu i wyciągnął w ich stronę. Gośka i Patrycja wzięły jednego na spółkę i czekały na krążące między chłopakami pudełko zapalek. Tomek zaciągnął się gwałtownie i zakaszłał, aż Bartek musiał go walnąć w plecy.

– A macie miętówki? – zapytał. – Za pięć minut zaczyna się wychowawcza. Kto jak kto, ale Tyczka od razu wyczuje.

Sam nie palił, więc Asia, choć trochę ją korciło, nie poczęstowała się papierosem. Być może dlatego, kiedy reszta zgasła już niedopałki i wcisnęła je pod zbutwiałe liście, przysunął się do niej i wyszeptał jej do ucha:

– Przejdziemy się gdzieś po lekcjach?

– Pewnie – odparła, zastanawiając się, czy nie robi tego za szybko.

Wychowawcza ciągnęła się w nieskończoność. Bartek od czasu do czasu zerkał na Asię i uśmiechał się do niej, co nie uszło uwadze Beatki, która nie musiała się koncentrować na zgłaszaniu się do odpowiedzi, więc całą uwagę poświęciła koleżance.

– A temu co się stało? – mruknęła nagle, wyrrywając ją z zamyślenia.

– Co? – Asia spojrzała na nią niezbyt przytomnie.

– Gapi się tu na okrągło – wyjaśniła Beata. – Palant – dodała pogardliwie. – Myśli, że jak jest gospodarzem klasy, to wszystko mu wolno.

Dziewczyna siedząca obok niej od trzech miesięcy spojrzała na nią zimnym

wzrokiem.

– Zamknij się lepiej, Beata – odparła cicho. – Nikt cię tu nie lubi, wiesz? Tolerują cię, bo jesteś córeczką dyrektorki, ale tak naprawdę uważają cię za beznadziejną kretynkę, która wszystko zakuwa na pamięć, bo jest zbyt tępa, by pomyśleć sama.

Oczy Beaty zrobiły się wielkie, a potem napęły się łzami i Asia poczuła coś na kształt satysfakcji. Wreszcie nie ona jest tą dziwną, niepasującą laską, od której wszyscy trzymają się z daleka. Nie z niej się śmieją, bo ona jest z nimi, jest ich, jak na początku powiedział Bartek, a teraz będzie jego. Lubią ją, czuje się przy nich fajna – nie to co ta głupia dziewczyna, która zalewa się teraz łzami, bo ktoś wreszcie powiedział jej prawdę. Dobrze jej tak.

Popatrzyła na Bartka. Skinął głową w stronę Beaty z pytającym spojrzeniem, a Asia tylko wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. Tego popołudnia, zaraz po godzinie wychowawczej, wsunął swoją dłoń w jej, a ona po raz pierwszy pożałowała, że ma na sobie rękawiczki.

Nazajutrz na przerwie już oficjalnie trzymali się za ręce, co cała paczka przyjęła z wyraźnym zadowoleniem. Byli pierwszą parą w klasie i widocznie przetarli szlaki innym, bo nim zaczęła się przerwa świąteczna, Grzesiek chodził już z Patrycją, a Gośka z Mateuszem. Wychowawczynie przyglądała się temu z lekkim niepokojem, zastanawiając się, czy powinna porozmawiać z ich rodzicami. W końcu to jeszcze dzieci, mają dopiero po dwanaście lat, pomyślała i wtedy uświadomiła sobie, że za pół roku czeka ją wychowawstwo w szóstej klasie. Od razu minęła jej ochota na umoralniające pogawędki.

Asia przestała kłócić się z matką. Po prostu nie zwracała na nią uwagi. Cały wolny czas spędzała z Bartkiem, myślała o nim, siedząc z rodzicami przy wigilijnym stole i marząc podczas pasterki. Nie mogła się już doczekać dyskoteki, która miała się odbyć w szkole zaraz po Nowym Roku. Najlepsze w tym wszystkim było to, że nie będzie tam matki – jako nauczycielka najmłodszych klas nie musiała pilnować uczniów podczas dyskotek. I całe szczęście. Bartek obiecał, że razem z tatą odwieżą Asię autem do domu.

Do szkoły pojechała w sukience, bo nie zamierzała wracać po lekcjach do domu tylko po to, by się przebrać, po czym drałować z powrotem na imprezę. Bartek nie mógł oderwać od niej oczu: czarne aksamitne rękawiczki, które dostała od mamy pod choinkę, idealnie pasowały do bordowej sukienki i opaski na włosach. Wyglądała fantastycznie i tak właśnie się czuła. Cała paczka została po lekcjach, by pomóc w przygotowaniach do imprezy. Nie chciało im się wracać do domu, a trzeba było



posprzątać salę gimnastyczną, zanieść do kantorka materace i piłki, zawiesić ozdoby z bibuły. Przynajmniej mieli trochę czasu dla siebie i mogli niezauważenie wymknąć się za szkołę, żeby zapalić papierosy, które Grzesiek znowu zwinął ojcu. Tym razem Aśka postanowiła spróbować – zaciągnęła się lekko i natychmiast tego pożałowała, gdy płuca napełniły się gryzącym dymem. Zaczęła kaszleć, oczy zasły jej łzami, a w ustach poczuła okropny posmak. Nikt się jednak z niej nie śmiał, poklepywali ją tylko z uznaniem po ramieniu, bo sztachnęła się po raz drugi, zanim oddała komuś papierosa i wróciła do szkoły. W szatni trochę kręciło jej się w głowie, dlatego nie od razu się zorientowała, co jest nie tak. Wieszala właśnie kurtkę, kiedy cała listwa z haczykami bez ostrzeżenia runęła na ziemię i odskoczył jeden z metalowych prętów. Wszystko wydarzyło się błyskawicznie. Kątem oka zarejestrowała tylko nagły ruch i przenikliwy ból. Z podłużnego rozdarcia w rękawiczkę sączyła się strużka krwi.

– Nic ci nie jest? – zapytał Bartek, wchodząc do szatni. Kiedy spojrzał na jej rękę, krzyknął coś, nie słyszała dokładnie co, bo gorączkowo zastanawiała się, co teraz zrobić. Pręt wciąż tkwił w dłoni, zaklinował się, a ją martwiło tylko to, co się stanie, gdy będzie musiała zdjąć rękawiczkę.

Do szatni weszła zaalarmowana krzykiem Bartka woźna, która zbladła na widok Asi i pobiegła po pomoc, roztrącając pchających się do drzwi i wciąż cuchnących dymem papierosowym uczniów.

– Co się... – zaczęła Gośka i natychmiast zamilkła na widok stojącej sztywno koleżanki. Gdzieś w pobliżu kapłała woda. Powolne „kap, kap” brzmiało w tej ciszy jak wystrzał. Dopiero po chwili zorientowała się, że to skapująca z ręki krew. Obok stał blady jak ściana Bartek i podtrzymywał Aśkę, jakby bał się, że dziewczyna upadnie.

Gośka wiedziała, co robić. Jej mama pracowała na pogotowiu. Obróciła się na pięcie i pospieszyła do gabinetu pielęgniarki. Na szczęście kobieta nie zdążyła jeszcze wyjść z pracy. Chwyciła apteczkę i zbiegła po schodach za Gosią. W szatni kazała Grześkowi zdjąć z szyi szalik i zawiadomić nauczycieli, by zadzwonili po karetkę. Potem podeszła do Asi i delikatnie położyła dłoń na jej ramieniu.

– Spokojnie, zaraz to zabierzemy. Tylko najpierw muszę ucisnąć ci rękę nad raną, w porządku?

Zdrętwiała Aśka pokiwała szybko głową. Kobieta ostrożnie podwinęła rękaw sukienki i zsunęła rękawiczkę, a potem tuż nad nadgarstkiem zawiązała szalik i zacisnęła go z całej siły. Kiedy Grzesiek wrócił w towarzystwie nauczyciela fizyki, w szatni zrobiło się gęsto od ciekawskich uczniów. Pielęgniarka ostrożnie rozcięła nasiąkłą krwią rękawiczkę. Czarny materiał spadł na podłogę, prosto w czerwoną

plamę, opryskując buty stojących wokół dzieciaków.

– Odsuńcie się – powiedziała ostro. – Zróbcie trochę miejsca, żeby miała czym oddychać.

Ale nikt się nie ruszył. Patrzyli jak zahipnotyzowani na odsłoniętą rękę Aśki. Końcówka pręta przebiła skórę i zatrzymała się tuż koło pulsującej krwią żyły, jednak nie to przyciągało ich wzrok. Dłoń, dotąd schowana pod rękawiczką, była zupełnie normalna – żadnych czerwonych plam, złażającej skóry i podrażnień. A gdzie ta cała egzema? Gdzie rany? I to miał być ten sekret? Ta jedna wielka ściema?

Pielęgniarka nie zauważyła ich spojrzeń, dotknęła delikatnie ręki Asi i poczuła, jak dziewczyna sztywnieje.

– Trzymajcie ją, zaraz zemdleje! – zawołała i wszyscy wyciągnęli do niej ręce.

Aśka chciała wrzasnąć, żeby je zabrali. Krzyczeć z całej siły, żeby nikt jej nie dotykał, ale w głowie miała już tylko obrazy z życia tej kobiety, która pochylała się nad nią troskliwie. Czuła dziwną rozkosz, przechodzącą przez całe ciało, gdy tego ranka pielęgniarka stała pod prysznicem, szykując się do pracy, i smak fusów zgromadzonych na dnie filiżanki kawy, i... Nie zdążyła złapać tego ostatniego. W jego miejsce pojawił się nagle cały kalejdoskop obcych obrazów przesuwających się w zawrotnym tempie, uczuć, myśli, zapachów, smaków, wspomnień. Wszystko to wirowało, kiedy dziesiątki palców, setki, tysiące dotykały ją, trzymały, szarpały, podnosiły. Ktoś ściągnął drugą rękawiczkę. Nie zaprotestowała, nie miała siły. Czyjeś palce zacisnęły się na nagiej, bezbronnej ręce i Aśka przestała być, zniknęła, rozpadła się na drobne kawałki. Nie czuła już ziemi pod stopami, w ogóle niczego nie czuła. Gdzieś z oddali słyszała tylko pojedynczy krzyk. Wysoki, przenikliwy, pełen bólu. Pomyślała jeszcze, że jeśli zaraz nie umilknie, pękną jej bębunki. Albo serce.

Nie wiedziała, że to ona tak krzyczy.

Obudził ją krzyk. Podniosła się gwałtownie i otworzyła oczy. Wciąż była w szpitalu, w tej samej sali, tylko teraz ktoś leżał na łóżku obok. Starsza kobieta oddychała ciężko i pojękiwała cicho, jakby skarżyła się na swój los. Gdy spostrzegła, że śpiąca dotąd towarzyszka obudziła się, jęknęła głośniejsze, odważniejsze. Joanna skinęła jej głową. Zastanawiała się, czy tę kobietę położyli tu jeszcze poprzedniego wieczora, kiedy zasnęła, czy dopiero rano. Nie pamiętała. W głowie, zamiast wspomnień z ostatnich godzin i dni, miała watę cukrową. Lekka, lepiała się do palców i języka, a po chwili nic z niej nie zostawało. Nic.

– No widzi pani, nawet pospać się nie da – wyjęczała sąsiadka. – Boli, wszystko boli, a leków żadnych nie podadzą, tylko każą się człowiekowi męczyć. Serca nie mają – wyrzuciła na jednym oddechu i gwałtownie zaczerpnęła powietrza. – Wody by chociaż przynieśli, toż pić się chce jak psu, a nie ma nawet kto szklanki podać.

W jej głosie wyraźnie zabrzmiał teraz wyrzut. Asia spojrzała na swój stolik, na którym stała butelka wody i dwa plastikowe kubeczki. Pewnie Michał wczoraj je tu zostawił. Wstała ostrożnie i podeszła z nimi do umywalki. Pokój trochę wirował, ale kiedy przytrzymała się chłodnego kranu, poczuła się lepiej. Opłukała kubki, nalała wody i zaniosiła kobiecie.

– Proszę – powiedziała. – Też się chętnie napiję. Sucho tu jest, chyba za bardzo grzeją.

Starsza kobieta przyglądała się przez chwilę podejrzliwie kubeczkowi. Odczekała, aż Joanna pierwsza upije łyk, i dopiero potem powąchała swoją wodę, zanim zamoczyła usta.

– A pani co jest? – zapytała.

– Nic – odparła Joanna odruchowo, a potem przypomniała sobie, co mówił jej Michał, i uśmiechnęła się przepaszająco. – To znaczy miałam wypadek.

– Wypadek? – Kobieta gapiała się na nią bezceremonialnie, jakby właśnie zobaczyła rzadki okaz ssaka lądowego i żałowała, że nie może zrobić zdjęcia. – Moja sąsiadka z piętra wyżej też miała wypadek. Nałykała się różnych takich tabletek i skoczyła z balkonu. Siedzę ja na stołku, wygrzewam się na słońcu, kot mi na kolanach leży, cisza i spokój, nawet te buldożery z placu budowy przestały hałasować, a wie pani, plac budowy to mamy przed oknami, basen nam stawiają – prychnęła z pogardą. – Na co komu ten basen, ja się pytam. No na co komu? Młodzi teraz nie pływają, bo siedzą w pracy od rana do nocy, a starzy to przecież nie będą się wygłupiać i w gaciach samych latać. Albo te stare baby w kostiumach jak młódki jakie. Brzuchy takie rozdęte, cycki im wylazą, to co, pływać będą? – rzuciła wyzywająco w stronę Joanny, choć wcale nie czekała na odpowiedź. – No ale stawiają, chyba tylko po to, żeby nam życie uprzykrzyć. I wie pani, jak poszli ci budowlańcy zjeść obiad, zresztą jaki tam obiad, chleją pewnie, wszystkie chłopcy takie same, i taka cisza piękna, i słonko, to wyszłam ja ze stołkiem, żeby kości trochę ogrzać, a tu nagle coś leci z góry. Przeżegnałam się, bo licho jakie czy coś, a to ona była. Ta, wie pani. – Narzuciła palcem kółko na czole. – Jakżem już wyjrzała za balkon, to leżała. Nic z niej nie zostało, świeć, Panie, nad jej duszą. No ale żeby tak na czyichś oczach? Wstydu trzeba nie mieć.

Nagle zamilkła, jakby straciła oddech. Ale nie, po prostu patrzyła badawczo na Joannę, jakby oczekiwała podobnej historii od niej samej albo po prostu zapewnienia, że ona miała inny wypadek.

– Cześć, kochanie! – rozległo się od progu. – O, dzień dobry. – Michał uklonił się starszej kobiecie i podszedł do stolika Asi. – Przyniosłem nam śniadanie. Pomyślałem, że zjemy razem. Nie wiem jak tobie, ale mnie jedzenie szpitalne nie kojarzy się najlepiej. – Postawił dwa tekturowe kubki z napisem „Uwaga, gorące” i zaczął wyjmować z torby bułki, serki, pomidorki koktajlowe, banany i winogrona. – Nie byłem pewny, czy wolno ci pić kawę, więc wziąłem herbatę. Czarną, taką, jak lubisz.

Gadał jak nakręcony. Dopiero gdy uśmiechnęła się do niego i wzięła go za rękę, uspokoił się trochę i usiadł obok niej.

– Jak się czujesz? – zapytał po chwili, ścisząc głos, bo kątem oka dostrzegł, jak sąsiadka wychyla się z łóżka w ich stronę. Nie chciała uronić ani słowa.

– Lepiej – odparła Asia. – Znacznie lepiej.

– A przypomniałaś sobie coś z...

– Z wypadku? – dokończyła za niego i westchnęła z rezygnacją. – Nie, nic.

Pogłaskał ją czule po policzku.

– Wiesz co, może to nawet lepiej – powiedział. – Ja też bym wolał to zapomnieć. Spójrz na to tak: jesteś farciarą, bo zamiast rozpamiętywać coś, co już minęło, możesz skupić się na tym, co jest teraz. I co będzie jutro. I pojutrze.

– Wtedy już będę w domu z tobą i Milą. – Asia chciała sięgnąć po winogrona, więc Michał zerwał się z łóżka, umył owoce i zawahawszy się, podszedł z nimi wpierw do staruszki.

– Może ma pani ochotę? Gdybym wiedział, że żona ma koleżankę w pokoju, przyniosłbym więcej.

Asia patrzyła, jak kobieta kiwa z uznaniem głową i w zamian podsuwa mu talerzyk z pokrojonym w ćwiartki jabłkiem. Michał zawsze wiedział, jak obłaskawiać innych. Największe marudy jadły mu z ręki, jeśli się do nich uśmiechnął. Nawet jego matka. Stara zrzęda – takie właśnie Asia odniosła wrażenie, gdy po raz pierwszy trafiła do jej gabinetu. Miała wtedy dwadzieścia trzy lata, dopiero co przeprowadziła się z Warszawy i po raz kolejny próbowała ogarnąć nowe miasto, oswoić je. W stolicy na początku radziła sobie całkiem nieźle, ale kiedy po rozstaniu z gościem, którego imienia nawet już nie pamiętała, przestała spać, musiała zwiększyć sobie dawki leków. Nie wspominała o tym rodzicom ani tym bardziej ciotce, uważała, że sama

potrafi o siebie zadbać. I rzeczywiście potrafiła. Znowu kładła się do łóżka i zapadała od razu w głęboki sen, znowu spała jak dziecko, tylko coraz trudniej było jej wstawać. Traciła poranne zajęcia, z trudem zwlekała się przed dziewiątą i dochodziła do siebie zazwyczaj dopiero koło południa. Ciotka zorientowała się po trzech miesiącach, kiedy Asia przyjechała na święta do domu. Spędzali je we czwórkę. Anna nigdy nie założyła swojej rodziny, więc cały wolny czas poświęcała siostrze i siostrzenicy. Wakacje, niedzielne obiady, urodziny, imieniny, lepienie pierogów na święta – zawsze we czwórkę. Czasem Asia miała wrażenie, że ojcu nie do końca to się podoba, ale nie miał za wiele do gadania. W końcu to szwagierce zawdzięczał wyprowadzenie córki na prostą, to ona załatwiła miejsce w domu opieki dla jego zwariowanej matki, to dzięki niej wciąż byli razem, bo kiedy Ewa zaczęła myśleć o rozwodzie, Anka szybko wybiła jej to z głowy. Zawsze miała na nią spory wpływ. Kiedy Andrzej jako siedemnastolatek zaczął się umawiać ze śliczną drobną Ewą o apetycznie zaokrąglonych biodrach, dostał w pakiecie jej siostrę. Ich matka przejrzała chłopaka na wylot, wiedziała doskonale, że jak najszybciej chce wskoczyć do majtek młodszej córki, więc przykazała starszej Ani, by nie zostawiała jej samej nawet na pięć minut. Nie na wiele się to zdało. Niecały rok później dziewczyna nagle straciła apetyt i sykała z bólu, kiedy tylko próbował dotknąć jej piersi. Pierwsza domyśliła się matka. Zanim Ewa się zaokrągliła i odzyskała rumieńce, odbył się szybki ślub, a osiemnastoletni Andrzej poszedł do pracy. Aż do narodzin dziecka zachowywali się jak zakochani nastolatki – wreszcie nikt nie zabraniał im całowania, pieszczot i kochania się na różne sposoby, z czego korzystali z pełnym zaangażowaniem, jeśli tylko małe w brzuchu nie kopało zbyt mocno albo nie naciskało na pęcherz. Niecały miesiąc po narodzinach zaczęły się problemy. Ewa jakby zapadła się w sobie, przestała wstawać z łóżka, nie zwracała uwagi na małą, straciła pokarm i całymi dniami i nocami leżała w łóżku. Wtedy Andrzej docenił obecność Ani. Była zaledwie rok starsza od nich, ale wzięła sprawy w swoje ręce. Zajęła się noworodkiem i pogrążoną w depresji siostrą, prała, gotowała, sprzątała i wyciągała Ewę z łóżka. Zmuszała ją do spacerów, pozwalała leżeć długimi godzinami na kocu nad brzegiem jeziora, podczas gdy sama kołysała do snu drącą się wniebogłosy dziewczynkę. Była przy nich i dla nich, aż wreszcie pewnego dnia coś zaczęło się zmieniać. Ewa coraz częściej się uśmiechała, na początku dość blado i niepewnie, ale Andrzej nabrał pewności, że wszystko będzie dobrze. Coraz dłużej potrafiła się skupić na jego opowieściach o pracy, śmiała się cichutko z dowcipów i znów zaczęła karmić małą. Ania przeszła z nimi cały ten proces i niespełna pół roku później wszystko wróciło do normy, a kiedy mała uczyła

się mówić, radośnie nazywała „mama” zarówno Ewę, jak i Anię. Pierwsza z nich była o to trochę zazdrosna, druga uśmiechała się szeroko, by ukryć łzy wzruszenia. Wieczorami w łóżku Andrzej przytulał żonę i szeptał jej do ucha: „Nie ma co się dziwić, że mała was myli, jesteście do siebie bardzo podobne”. Były podobne, to prawda – obie ciemnowłose i ciemnookie, obie szerokie w biodrach, choć Ania przewyższała Ewę o głowę, no i podobnie się śmiały, nisko, ciepło i zaraźliwie. „Ale to ty jesteś matką – dodawał szybko. – Najlepszą matką na świecie”. Ewa wierzyła w to, przynajmniej dopóki Asia nie weszła w wiek dorastania. Pyskująca nastolatka, która każde słowo matki traktuje jako krytykę, odnosiła się do ciotki z uwielbieniem, słuchała jej we wszystkim i przez pewien czas starała się nawet ubierać jak ona. To bolało. I choć Andrzej znów wieczorami szeptał żonie do ucha, że to minie, że ich córka na powrót zacznie się z nią dogadywać, Ewa przestała w to wierzyć i pogodziła się z tym, jak z wszystkim, co ją w życiu spotkało.

Tamte święta wyglądały jak każde inne. Po tygodniu mycia okien, trzepania dywanów i pastowania podłóg Andrzej wymykał się wieczorem z domu i wracał późną nocą niezbyt trzeźwy, Ewa prawie nie wychodziła z kuchni i tylko wciąż pociągała nosem, a Ania jak zawsze mrugała porozumiewawczo do siostrzenicy i szeptała: „A tę znowu wzięło na sentymenty”. Jednak tym razem popatrzyła na Asię baczniej, zwracając uwagę na przekrwione oczy i lekko przytępienie spojrzenie.

– To od ciągłej nauki – utyskiwała Ewa. – Ta dziewczyna za dużo się uczy, wykończy się w tej Warszawie.

Ciotka pokiwała głową ze zrozumieniem, a potem wzięła Asię na stronę.

– Bierzesz leki regularnie? – zapytała surowo. – Nie pomieszałaś niczego?

Joanna zawahała się. I to wystarczyło, by tamte święta wyglądały jednak zupełnie inaczej. Ciotka kazała jej od razu zmniejszyć dawki – stopniowo, bo nagły powrót do poprzednich skończyłby się fatalnie, ale i tak nie obeszło się bez bezsenności, nadmiernego drżenia rąk i całkowitego braku koncentracji. Nawet durne filmy rodzinne z Mikołajem i choinką w tle okazywały się dla niej zbyt skomplikowane. Błada, z podkrążonymi od niewyspania oczami snuła się po mieszkaniu i wytlukła połowę świątecznej zastawy – tak bardzo trzęsły jej się ręce. Kark miała sparaliżowany z powodu skurczów mięśni, poza tym dopadła ją grypa. Nie mogła podnieść się z łóżka, była zbyt słaba i bolały ją kości – tylko że to nie przez grypę, a przez zespół abstynencyjny. Ania wzięła siostrzenicę na kilka dni na oddział, podała jej antidotum i środki łagodzące, dzięki którym objawy odstawienne powoli zaczęły ustępować, choć prawidłowy sen wciąż należał do kategorii rzeczy niemożliwych,

podobnie jak powrót do Warszawy.

– Zapomnij o tym – powiedziała stanowczo mama. – Przeniesiesz się na studia do Gdańska. Albo wrócisz do Torunia. Na pewno coś tu dla siebie znajdziesz.

Kiedy próbowała protestować, mówiła o swojej przyszłości i możliwościach, jakie daje stolica, rodzice uparcie zbijali każdy argument. Wreszcie poddała się, ale nie całkiem – przeniosła się na studia do Wrocławia. Tym razem, mądrzejsza o ostatnie doświadczenia, najpierw poradziła się ciotki.

– Co, nie wytrzymasz tu z nimi? – Ania zmrużyła oczy i przesunęła palcem po krawędzi lampki z czerwonym winem.

Siedziały w knajpce w jednej z uliczek odchodzących od Długiej. Ania wolała co prawda jakieś miejsce bliżej pracy, ale Wrzeszcz oferował wyłącznie studenckie mordownie – brudne, lepiące się od piwa i śmierdzące tanimi fajkami. Ten lokal wyglądał znacznie lepiej, choć długie ciężkie zasłony oddzielające salę od drzwi wejściowych prano zapewne raz na sto lat. Ze szpitala na gdańskim Srebrzysku jechała tu ponad godzinę, najpierw autobusem, a następnie dwoma tramwajami. Zmarzła, zmokła i umierała ze zmęczenia po długim dyżurze – święta w psychiatryku oznaczały dwa razy więcej pracy, ale czego się nie robi dla siostrzenicy. Spojrzała na nią. Po kilku dniach na oddziale i tygodniu w domu Asia wyglądała trochę lepiej. Kontrast między czarnymi włosami a białą niemalże twarzą zmalął, wciąż jednak drżały jej dłonie i miała nieco rozbiegane spojrzenie, na szczęście potrafiła się skoncentrować na czymś dłużej niż pięć minut i na poważnie zastanawiała się nad swoją przyszłością, a to już coś. Dziewczyna siedziała nad filiżanką herbaty i mieszała w niej machinalnie łyżeczką, jakby się zawiesiła. Ania ponownie przetarła palcem swój kieliszek. Mógłby być czystszy, choć samo wino było naprawdę dobre. Jeśli wypije jeszcze jedną lampkę, zacznie gadać głupoty. Niepotrzebnie przyjechała tu z pustym żołądkiem.

– To nie tak... – zaczęła Joanna, ale Ania przerwała z uśmiechem:

– Spokojnie, nie mam ci tego za złe. Właściwie to odradzałabym, gdybyś postanowiła posłuchać matki i zostać z nimi. Jesteś już dorosła, to twoje życie – dodała po chwili i upiła łyk. Tym razem wino miało gorzki smak. Uzmysłowała sobie, że jutro znów czeka ją dzień w szpitalu, jak każdy od ponad dwudziestu lat i jak zapewne każdy kolejny w ciągu następnych dwóch dekad. Ale cóż, była dorosła, sama zdecydowała o tym, że jej życie tak właśnie ma wyglądać: w tym samym miejscu, z tymi samymi ludźmi i z ich problemami. Asia jeszcze może to zmienić. – Jeśli rzeczywiście odpowiada ci Wrocław, to jedź. Twoją matkę biorę na siebie, tylko lepiej

jej nie uprzedzaj. Kiedy zaczynasz semestr? Za tydzień?

Joanna pokiwała głową.

– Odczekaj do piątku i wtedy im powiedz, a na sobotę umów się z koleżanką, idź na cały dzień do kina, cokolwiek – po prostu zniknij z domu. Wpadnę do was bez zapowiedzi i pogadam z moją siostrą, w porządku?

Asia zerwała się od stolika i uściskała ciotkę. Zawsze dobrze się z nią dogadywała, lepiej niż z matką, mówiła jej o wszystkim, co ją gnębiło. Zasada ta zaczęła obowiązywać zaraz po tamtym incydencie w szkole. Oficjalnie spędzała czas w Gdańsku na rehabilitacji ręki po wypadku w szatni – takie zresztą dostała zwolnienie, a dyrektorka gorąco zapewniała, że jeśli Asia potrzebuje więcej wolnego, to żaden problem, nauczyciele dostosują się do jej potrzeb. Po powrocie może zaliczyć cały materiał, poza tym do końca roku szkolnego ma jeszcze mnóstwo czasu – pięć długich miesięcy. Dyrektorka bała się komplikacji – wszyscy w szkole doskonale wiedzieli, że pieniądze, które powinna była przeznaczyć na remont szatni, poszły na wyposażenie gabinetu dyrektorskiego. Gdyby to się rozniosło, kuratorium mogłoby ją wezwać na poważną rozmowę albo nawet oddelegować do innej placówki, a tego wolała uniknąć za wszelką cenę. Dlatego zapewniała Ewę Leś, że ma pełne wsparcie z jej strony, a córka nie musi przejmować się nieobecnościami na lekcjach. Przecież dobro uczennicy jest najważniejsze, prawda?

Ewa była tego samego zdania. Kiedy następnego dnia odebrała Asię ze szpitala, w bagażniku mazdy czekały już spakowane torby. Andrzej chciał jechać z nimi, ale nie mógł zostawić rozgrzebanej roboty. Zabrał się więc z żoną do szpitala, by pożegnać córeczkę, pomachał im na pożegnanie, gdy odjeżdżały w stronę Gdańska, a potem wrócił do skuwania łazienki w sąsiedniej wsi. Ewa przez całą drogę zerkiała z niepokojem na Asię. Błada, niemal przezroczysta dziewczyna sprawiała wrażenie wymęczonej, choć spędziła w szpitalu tylko jedną noc. I wciąż nic nie mówiła. W ogóle się nie odzywała, tak jakby każde słowo kosztowało ją zbyt wiele wysiłku. To najbardziej niepokoiło Ewę. Poprzedniego popołudnia przyjechała tu najszybciej, jak się dało. Zadzwonił do niej nauczyciel fizyki i powiedział o wypadku. Natychmiast wsiedli z Andrzejem do samochodu i pognali do szpitala, łamiąc wszystkie przepisy drogowe. Ewa ze strachem myślała o tym, co się wydarzy, gdy lekarze i pielęgniarki zdejmą jej dziecku rękawiczki. Nie wiedziała, co dokładnie stało się w szkole, za bardzo przerażała ją wizja badania Asi. Na miejscu, gdy już mogła zobaczyć córkę, od razu pomachała papierem od psychiatry poświadczającym, że dla dobra pacjentki nie powinno się dotykać jej rąk. Pod tym widniała obszerna dokumentacja dotycząca



ostrej fobii i stanów lękowych wywołanych dotykaniem. Najeżona medycznymi sformułowaniami zawsze robiła odpowiednie wrażenie i żadnemu lekarzowi nigdy nie przyszło do głowy tego weryfikować. Ale teraz, w takiej sytuacji, w szpitalu daleko od domu, w obcym miejscu z obcymi ludźmi... Ewa aż bała się o tym myśleć. Kiedy zobaczyła córkę, osłupiała. Asia z zabandażowaną ręką leżała na łóżku i zupełnie obojętnie patrzyła w sufit. Nie odzywała się. W ogóle. Lekarz wziął pismo, obejrzał je dokładnie, a potem pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Myśleliśmy, że jest w szoku po tym wypadku, ale teraz już rozumiem.

Tego samego wieczora zadzwoniła do Ani, a siostra kazała jej spakować je obie i jak najszybciej przyjechać do Gdańska. Obiecała zająć się siostrzenicą, a nawet, jeśli będzie taka potrzeba, wziąć ją na obserwację. Podczas tamtej wizyty zapadło sporo ważnych decyzji. Na przykład to, że rodzina Lesiów nieodwołalnie porzuca kaszubskie wiochy i przeprowadza się do Gdyni, bo w większym mieście Asi będzie o wiele łatwiej wtopić się w tłum. Ciotka uznała też, że sprawy zaszły za daleko i same rękawiczki nie wystarczą – postanowiła włączyć leki, które, o czym nikt jeszcze wtedy nie wiedział, Asia miała brać do końca życia.

Jedenaście lat później, gdy siedziały w knajpie niedaleko Długiej, Joanna oznajmiła, że chce przenieść się do Wrocławia – jakieś sześć godzin pociągiem od Gdańska i od swojej lekarki. Do tej pory zawsze mieszkała na tyle blisko, że w każdej chwili mogła przyjechać po recepty, na badania, konsultacje czy po prostu zwykłą rozmowę z ciotką. Odtąd miało to wyglądać inaczej. Dlatego nim zapłaciły za wino i herbatę, Ania spojrzała na siostrzenicę i powiedziała:

– Przekonam twoją matkę, że Wrocław dobrze ci zrobi, ale pod jednym warunkiem. Znajdę ci tam odpowiedniego psychiatrę, a ty będziesz do niego regularnie chodzić.

I tak Asia trafiła do gabinetu doktor Zofii Helmanowej. Spodziewała się drugiej ciotki Anki: spódnicy za kolana, cielistych rajstop i sweterków w serek, zamiast tego drzwi otworzyła jej dystygowana wysoka kobieta z krótką wymodelowaną fryzurą, w wąskich ciemnych spodniach i butach na obcasie. Dopasowana marynarka podkreślała jej figurę, która, choć nieco zmieniła się przez lata, wciąż pozostawała idealna. Wszystko w Zofii Helmanowej było idealne, może oprócz wąskich, zaciśniętych warg.

– Stara zrzęda – powiedziała Aśka przez telefon, kiedy po pierwszej wizycie u wrocławskiej psychiatry zgodnie z obietnicą zadzwoniła do ciotki. – Na pewno marudzi i narzeka na swoich domowników, a pacjenci doprowadzają ją do szału.

A gdzieś w głębi domu ma sekretny pokój, w którym na ścianach wieszają powiększone zdjęcia i rzuca w nie nożami.

Ania roześmiała się.

– Bardzo możliwe. Psychiatra też człowiek, musi jakoś odreagować – odparła. – Ale to naprawdę dobra psychiatra, a ty jej potrzebujesz.

– To naprawdę dobra psychiatra – usłyszała Joanna i odwróciła się od okna. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest. Dopiero kiedy jej spojrzenie padło na puste łóżko, przypomniała sobie o szpitalu. No tak, wypadek. Michał przyniósł śniadanie i... Gdzie jest ta starsza pani, która dopiero co tu była?

– Asia, wszystko w porządku? – Michał podszedł do niej i położył dłoń na jej ramieniu. – Chodź do nas, rozmawiamy z panią doktor o tym, kiedy cię stąd wypuszczą.

Na krześle koło umywalki siedziała kobieta w białym rozpiętym fartuchu narzuconym na sukienkę w czerwone kwiaty. Przyjrzała się uważnie Joannie.

– Wie pani, gdzie się pani znajduje? – zapytała i Aśka skinęła głową. – A jak długo już tu pani leży?

W pierwszej chwili też chciała potwierdzić, ale nagle się zawahała. Miała wrażenie, że trafiła tu dopiero wczoraj, jednak to nie mogła być prawda. Michał miał znacznie dłuższy zarost niż podczas śniadania, ona inną piżamę, na stoliku nocnym stała tylko na wpół opróżniona butelka soku pomarańczowego, a sąsiadka...

– Tamtą pacjentkę wypisaliśmy wczoraj po południu – powiedziała lekarka, widząc, jak wzrok Joanny wędruje w stronę sąsiedniego łóżka. – Wciąż ma pani luki w pamięci, prawda? Proszę się nie martwić, niebawem miną. Poza tym wszystko jest w porządku. Właśnie rozmawiałam z pani mężem o tym, że nie widzę przeszkód, by jeszcze dziś panią wypisać. Wyniki badań są znacznie lepsze, tylko koniecznie musi pani zobaczyć się z psychiatrą. Doktor Kownacka pracuje u nas od kilku lat, to bardzo dobry lekarz i w każdej chwili może się z panią spotkać.

– Mamy już umówioną wizytę u profesor Zofii Helmanowej – wtrącił szybko Michał. – To jej psychiatra, a żona wolałaby nie zmieniać lekarza.

Joanna popatrzyła na niego z wdzięcznością. O wszystkim pomyślał.

– No dobrze. – Lekarka wstała z krzesła i strzepnęła jakiś pyłek z sukienki. Wielki czerwony kwiat wyprężył się nagle na rozprostowanym materiale, tuż na wysokości wzroku Asi. Coś jej przypominał. – Tylko proszę z tym nie zwlekać. Przygotuję wypis,

a pani może już się ubierać.

Kiedy wyszła z pokoju, zostawiając za sobą szeroko otwarte drzwi, Michał zamknął je szybko i wyjął z torby ubrania.

– Nie bardzo wiedziałem, co ci spakować na drogę, więc wziąłem spodnie dresowe i bluzę. Przynajmniej będzie ci wygodnie – powiedział, kładąc je na łóżku. – Pomóc ci się przebrać?

Joanna pokręciła głową z uśmiechem.

– Spokojnie, walnęłam się tylko w głowę i może mam dziury w pamięci, ale ciągle pamiętam, do czego służą spodnie. A jak zapomnę – dodała, sięgając po dresy – i wyjdę stąd z gołym tyłkiem, z pewnością się zorientujesz.

Michał zachichotał nerwowo. Wyglądał, jakby się cieszył, że Joanna wraca do siebie, ale zarazem nie był do końca pewien, czy jej żarty to tylko żarty, czy też...

Wysłała go do szpitalnego sklepiku po coś słodkiego i zaczęła się ubierać. Przyjemnie było znów poczuć na skórze dotyk normalnych ciuchów. Kiedy wkładała przez głowę bluzkę i na moment zapadła ciemność, przestraszyła się. Przez ułamek sekundy zobaczyła czarne burzowe chmury w zastraszającym tempie połykające niebo. I wielki czerwony kwiat na białej kartce. I nagle zrozumiała, że jeśli odwróci głowę, na tylnym siedzeniu samochodu zobaczy rysującą coś zawzięcie córkę. Z czerwoną kredką w rękę. Rysującą kwiat. Czerwony kwiat. Dokładnie taki, jak na kubku z mlekiem, który przyniosła jej do pokoju mama.

– W porządku?

Podniosła głowę. Przed nią stał Michał.

– Mieli tylko to. – Pokazał batonik z orzechami.

– Może być – przytaknęła szybko, odganiając od siebie tamte obrazy. – Potrzebuję cukru, więc zjem cokolwiek. Tobie też by się przydało – dodała znacząco. Był blady i miał podkrążone oczy.

– To z niewyspania. W tym hotelu mają wyjątkowo niewygodne łóżka, za to jak już przyjedziemy do domu, będę spał przez tydzień.

Joanna postawiła na łóżku swoją torebkę i zajrzała do środka. Portfel, dokumenty, chusteczki, kosmetyczka ze szminką i zapasowym tamponem, klucze – wszystko było na miejscu oprócz...

– Czego szukasz?

– Telefonu – mruknęła, wyrzucając zawartość torebki na kołdrę.

– Nie znajdziesz go tam. Rozpadł się na kawałki podczas wypadku. Do niczego już się nie nadawał. Sorry – rzucił, wzruszając ramionami, gdy spojrzała na niego z zaskoczeniem. – Oddałem go we Wrocławiu do serwisu. Za kilka dni będzie jak nowy – dodał uspokajająco – a tobie tych kilka dni przyda się, żeby odpocząć od telefonu.

– To daj mi swój, chcę zadzwonić do Mili.

Michał wyjął z kieszeni komórkę i rzucił w jej stronę. Złapała, zanim aparat spadł na podłogę.

– Punkt za refleks. – Roześmiał się. – A, czekaj. Dziś jest czwartek. Przecież wczoraj moi rodzice zabrali małą na wieś. Nie dodzwonisz się.

Na wsi, jak z przekąsem oboje nazywali wypasiony domek w lesie niedaleko Lipian, nie było zasięgu. To właśnie dlatego przed dwoma laty teściowie kupili tam ziemię i postawili całoroczny dom według projektu Waława – lubili się tam często zaszywać bez telefonów od jej pacjentów i jego klientów. Całkowita cisza i spokój, spacer po lesie, moczenie nóg w okolicznych jeziorkach i sarny podchodzące o świcie pod werandę. Joanna uwielbiała to miejsce, choć zdecydowanie lepiej się tam czuła, gdy przyjeżdżali sami, bez teściów.

– Kiedy wracają? – zapytała z żalem. Teraz jedyne, czego chciała, to usłyszeć głos Mili.

– Mówili, że zaraz po weekendzie. Mała i tak ma katar, więc przedszkole by jej nie przyjęło z takim glutem, a tam przynajmniej wybiega się w lesie. Jak chcesz, sami po nią pojedziemy – dodał miękko. – Tylko najpierw odpocznij i dojdź do siebie. Jeśli Milla zobaczy cię w takim stanie, gdy się... zawieszasz – rzucił po chwili wahania – przestraszy się.

Joanna westchnęła ciężko.

– Wiem. No dobra, to chodźmy po te papiery i wynośmy się stąd. Mam już dość tego szpitala.

Czekanie na wypis trwało wieczność. Michał chodził nerwowo po korytarzu z torbą na ramieniu, jakby się bał, że gdy tylko położy ją na krześle, szpital już nigdy ich nie wypuści. Joanna siedziała pod oknem i gapiała się w ścianę. Miała wrażenie, że wszystkie wspomnienia, obrazy, zapachy, głosy mieszają jej się bezwładnie w głowie jak w bębnie pralki. Nie potrafiła ich usystematyzować, ułożyć, nadać im jakiegoś sensownego ciągu. Nawet teraz, patrząc na Michała, nie była właściwie pewna, na jakim znajdują się etapie. Są ze sobą, jest jej bliski, to wiedziała, ale jak długo się

spotykają? Rok? Nie, zaraz, przecież jest Mila. Co się z nią dzieje? Tak, są małżeństwem, i to od... od kilku lat? Raczej kilkunastu.

Poruszyła się na krześle i westchnęła, a Michał na chwilę przerwał swój monotony marsz i zastygł w bezruchu. Jednak drzwi do gabinetu ordynatora nawet nie drgnęły, więc ponownie zaczął przemierzać korytarz. Asia odwróciła się i wyrzała przez okno. Białe, lekko zamglone światło zalewało cały szpitalny dziedziniec. Ktoś siedział na ławce i palił papierosa. Spod płaszcza wystawał kawałek szlafroka w paski. Pacjent. Skulony, jakby trząsł się z zimna, a jednak nie chciał rezygnować z jedynej przyjemności, jaka mu jeszcze została. Nagle wyprostował się i podniósł głowę. Musiało ich dzielić przynajmniej z trzysta metrów, blade słońce odbijało się w oknie, pewnie go raziło, a jednak patrzył prosto na nią. Przypominał czujnego ptaka siedzącego na gałęzi i wypatrującego zagrożenia. Chociaż nie, nie wyglądał wcale, jakby się bał. Raczej czekał na odpowiedni moment. By zaatakować. Jak rybołów na polowaniu.

– Ej, słuchasz mnie w ogóle?

Przestraszona Joanna niemal podskoczyła. Pacjent zniknął. Tak samo jak dziedziniec. Drzewa wyłaniały się z ciemności oblane światłami samochodów i na powrót ginęły w mroku. A więc już wyruszyli.

– Przepraszam, zamyśliłam się – odparła miękko, wygładzając dłonią dresy. Dziwnie się w nich czuła, jak nie ona. Zaniepokoiło ją to nagle. Sięgnęła szybko do osłony przeciwsłonecznej i opuściła ją. Na szczęście lusterko wciąż tam było. Tak samo jak ona. Odetchnęła z ulgą. To tylko wrażenie. Nic poza tym. – Co mówiłeś? – Odwróciła się do Michała.

Trzymał obie dłonie na kierownicy i wpatrywał się w przednią szybę. Joanna zerknęła na okno. Pracujące wolno wycieraczki wydawały piskliwy, trudny do zniesienia dźwięk.

Przecież nie pada, po co je włączył? – pomyślała i położyła dłoń na jego kolanie. Drgnął, jakby wybudził się z głębokiego snu, i spojrzał na nią. Miał puste oczy. Puste, czarne oczy. Krzyknęła.

– Asia, obudź się! – Potrząsał ją lekko za ramię. – Wiem, że potrzebujesz teraz snu, ale odkąd wyjechaliśmy, śnią ci się same koszmary. Może zatrzymamy się na kawę, co? Widziałem znak, zaraz będzie jakiś zajazd.

Popatrzyła na niego nieprzytomnym wzrokiem, a potem machinalnie pokiwała głową. Wciąż nie była pewna, czy już się obudziła, czy to kolejny sen. Ten ostatni był

zbyt realistyczny. Siedziała bez słowa, wsłuchując się w pomruk silnika i muzykę dobiegającą z radia. Michał zerknął na Asię kątem oka i nieco pogłośnił. Albo zaraz coś się wydarzy, albo to dzieje się naprawdę, pomyślała, kiedy światła wyłuskały z ciemności tablicę z napisem Zajazd Gościnny, a chwilę potem rzęsiście oświetlony budynek. Michał zwolnił, włączył kierunkowskaz i odbili z głównej drogi. Kiedy wysiadła z auta, owiało ją chłodne nocne powietrze. Jednak nie śpię, odetchnęła z ulgą i przeciągnęła się. Z bliska zajazd przypominał zwykłą karczmę z rozcieńczonym piwem i odgrzewanymi w mikrofali golonkami. W świetle ledowych lampek oplatających ściany budynku można było dostrzec tysiące pustych pajęczyn, utkanych jeszcze latem w zagłębieniach pomiędzy drewnianymi balami. O tej porze roku nie latał tu już żaden zbłąkany owad, no może oprócz nocnych kierowców i ich towarzyszek, które sądząc po odgłosach dochodzących z zaparkowanego nieopodal audi, musiały tu pracować.

– Kawa to znakomity pomysł, kochanie – powiedziała Asia i pokazała Michałowi palcem zaparowany samochód, a potem zaśmiała się cicho.

– Jeśli chcesz, zatrzymamy się tu nie tylko na kawę – odparł grubym niskim głosem, przewracając przy tym oczami. – Z pewnością coś się jeszcze znajdzie. W zanadru – dodał ciszej.

– Zwłaszcza w zanadru.

Podeszła do niego bliżej i rozpięła mu kurtkę, wkładając pod nią dłonie. Objęła go i przytuliła. Pachniał perfumami, które kupowała mu zawsze na urodziny. Lubiła ten zapach, delikatny, a zarazem bardzo wyrazisty, jak mieszanka goździków i przyprawy do grzanego wina.

– Kocham cię – szepnęła, a gdy schylił głowę, pocałowała go mocno, zachłannie, tak jak dawniej, na samym początku, kiedy nie mogli oderwać od siebie spojrzeń ani rąk.

– Gdybym wiedział, że wypadki samochodowe tak na ciebie działają, zająłbym się tym wcześniej – zażartował, gdy wreszcie odsunęła się i zapięła mu z powrotem kurtkę. Ugryzł się w język, kiedy tylko zobaczył jej spojrzenie. Niepewne, przestraszone. Znowu zapomniała, a on akurat teraz musiał jej o tym przypomnieć. Szlag by to trafił. – Zimno – dodał szybko. – Wejdzmy do środka, zanim mi tu zamarzniesz.

Wnętrze tonęło w przyjemnym półmroku. Na stołach w szklanych świecznikach paliły się tealighty, a pod sufitem wiła się platanina lampek choinkowych. Sześć osób siedzących przy największym stole spojrzało na wchodzących jak na intruzów,

a potem wróciło do cichej rozmowy. Coś w pełnym przygnębieniu i rezygnacji pochyleniu ich głów i zniżonych głosach, a przede wszystkim nachalna czerń ich strojów od razu uzmysłowiły Joannie, że to rodzina wracająca z pogrzebu. Dorosłe dzieci, każde ze swoimi rodzicami. Od razu było wiadomo, kto jest czyim dzieckiem. Dziewczyna miała tę samą łagodną linię podbródka i szeroko rozstawione oczy co matka. Podobnym ruchem obracała obrączkę na palcu, tylko jej palce pod ławą rozpaczliwie szukały palców męża, podczas gdy dłoń matki leżała nieruchomo na blacie, tuż koło ręki ojca. Dziewczyna, gdy dotknęła przegubu chłopaka, lekko się wyprostowała, jakby przeszedł ją prąd. On odwrócił głowę w stronę drzwi do łazienki, odsłaniając wypukłe kości policzkowe i długi, ostro zakończony nos. Dokładnie taki sam nos miał siwy mężczyzna siedzący po jego prawej stronie i pogrążony w cichej rozmowie z żoną.

Joanna nie protestowała, gdy Michał, obrzuciwszy salę uważnym spojrzeniem, zaproponował miejsce przy oknie, skąd widać było auto. Przeszła obok rodziny, nieznacznie pochylając głowę, jakby chciała uniknąć kontaktu wzrokowego z nimi. Nawet na nią nie spojrzeli. Stojąca za barem starsza kobieta bez słowa skinęła im głową. Wystarczył jej rzut oka, by ocenić, że wysoki, dobrze zbudowany blondyn nie zjawił się w towarzystwie panienci na godziny. Była zbyt niska i zbyt przysadzista, by zwracać na siebie uwagę mężczyzn. I jeszcze te dresy. Żona, uznała w myślach barmanka i wróciła do wycierania blatu.

– Co podać? – zapytała, kiedy Michał podszedł do baru.

– Dwie czarne kawy poproszę.

– Tylko? Mamy spory wybór potraw domowych. Na pewno państwo coś tu znajdą. – Postukała mieniącym się złotem w bordową oprawę menu leżącego na blacie.

– Nie, dziękuję. Spieszmy się do domu – odparł z uśmiechem.

Kobieta wzruszyła ramionami i podstawiła filiżankę pod ekspres. Zaburczał, zasyczał i strzyknął brunatną strugą. W tym samym momencie skrzypnęły drzwi od łazienki i w sali rozległ się cichy śmiech. Dwie osoby natychmiast odwróciły głowę w tamtym kierunku – dziewczyna siedząca przy rodzinnym stole i Joanna. Dzieci. Różowa bluza jednej z dziewczynek zaczepiła się o klamkę i siostra, tak, na pewno to była siostra – obie miały długie jasne włosy i tak samo równo obcięte grzywki – próbowała pomóc, zanosząc się przy tym śmiechem. Ile mogły mieć lat? Pięć? Może sześć? Wyglądały jak koleżanki Mili z przedszkola.

Szkoda, że jej tu nie ma. Mogłyby się razem pobawić, pomyślała Joanna i podniosła

do ust filiżankę. Syknęła.

– Uważaj, gorąca jak cholera – powiedział Michał, siadając obok.

Rozbawione dziewczynki w podskokach ruszyły do stolika i przytuliły się z całej siły do rodziców. Tak jakby się umówiły: ta ciut wyższa przywarła do pleców mamy, a druga do pleców taty. Dopiero teraz Joanna dostrzegła, że kobieta, którą początkowo wzięła za dziewczynę, jest niewiele młodsza od niej samej, a chłopak ma całkiem siwe skronie, niemal srebrne w skąym świetle tealightów. Gdy dzieci znalazły się przy stole, dorośli z powrotem zaczęli udawać wesołych. Albo po prostu przestali udawać smutek, Joanna nie mogła się zdecydować. Byli tak prawdziwi w jednym i drugim, że nie potrafiła odgadnąć, czy pogrzeb rzeczywiście nimi wstrząsnął, czy tylko narzucił im rolę żałobników. A sądziła, że nabrała już w tym wprawy. Po tylu latach spędzonych ze swoimi rodzicami, a potem z rodzicami Michała bezbłędnie rozpoznawała wszystkie role. Umiała określić dokładny moment, w którym Michał przestawał być mężem i znów stawał się synem, dzieckiem. Wpadał do środka, wołając od drzwi: „Już jesteśmy!”, jakby oczekiwał fanfar. Krzywił się nad miską z sałatą, odburkiwał coś na pytania ojca albo użalał się przed matką na swoich pracowników, tych samych, których tak zachwalał przed Asią. Ten proces przejścia odbywał się zawsze na wycieraczce przed domem jego rodziców. Czasem zastanawiała się, czy gdyby usunąć stamtąd tę cholerną wycieraczkę, rytuał wciąż by działał. Bo działał również w jej wypadku, gdy bezwiednie nabierała powietrza i wygładzała dłonią bluzkę, a potem prostowała plecy. Obojczyki ściągnięte, lekko uniesiony podbródek i uśmiech. Od tego uśmiechu bolały ją szczęki, kiedy już wracali do domu, ale przynajmniej była tego świadoma. Kiedyś, na samym początku, próbowała o tym rozmawiać z Michałem, pokazać mu, jak zmienia się jego zachowanie u rodziców, jak człowiek sukcesu, pewny siebie mężczyzna nagle kurczy się do rozmiarów dwunastoletniego Michałka. Patrzył na nią wtedy, mrugając tak intensywnie, jakby zaraz miały mu odpaść powieki. Nie wiedział, o co jej chodzi, nie rozumiał, o co tyle hałasu, przecież jest dzieckiem swoich rodziców i nic tego nie zmieni.

– Nie o to mi chodzi – odpowiadała miękko i próbowała dalej, mówiąc o sobie. O tym, jak wiele ją kosztują podróże do Gdyni. Bo ona też za każdym razem wskakuje w rolę dziecka, małej Asi, cudownej Asi, Asi-wariatki, tyle że to rola kogoś, kogo już nie ma. Za ciasna, niewygodna, która opina jak gorset i nie pozwala oddychać. To rozumiał, podnosił dłoń i delikatnie gładził ją po włosach. Tak jak ten mężczyzna przy stoliku obok. Joanna, wpatrzona w okno, zobaczyła ten ruch ręki w odbiciu w szybie



i zerknęła w stronę rodziny. Chyba zbierali się do wyjścia. Dziewczynki skakały wokół stołu, babcie próbowały je zatrzymać i włożyć im kurtki, a dziadkowie poszli do baru uregulować rachunek. Na miejscu została tylko ta dwójka – ona ocierająca ukradkiem oczy, on zakładający jej włosy za ucho. Mimo wszystko wydawali się szczęśliwi. Wszyscy oni wyglądali na szczęśliwą, zwykłą rodzinę, która potrafi...

– Podać coś jeszcze?

Tuż przed nią wyrosła barmanka z tacą w ręku i spojrzała znacząco na puste filiżanki. Rodzina zniknęła, nie było już po nich śladu. Krzesło Michała też było puste.

– To ja wrócę za chwilę – dodała kobieta, zabierając naczynia.

Asia odetchnęła, kiedy drzwi do łazienki skrzypnęły i pojawił się w nich Michał. Zamówili jeszcze kawę dla niej i czarną herbatę dla niego i siedzieli w milczeniu, dopóki pod zajazd nie podjechał tir. Po chwili do środka wszedł mężczyzna w czapce z daszkiem, zamówił piwo, usiadł przy stoliku w kącie i rzucił czapkę na blat.

– Życie w drodze, co? – mruknęła Asia, bawiąc się papierową tubką z cukrem. – Zawsze się zastanawiałam, co kierowcy tirów robią oprócz wciskania pedału gazu. Kojarzysz sąsiada matki z naprzeciwka? Pan Czesiek od dawna już nie pracuje, ale kiedyś był ciągle w trasie. Wyjeżdżał na tydzień lub dwa i wtedy podlewałam mu kwiatki. Miał ich mnóstwo na parapecie. Same paprotki i aloesy. Twierdził, że pochłaniają dym nikotynowy, bo palił jak smok. Przed wyjazdem zostawiał mi klucze, a potem wracał z ogromnymi tabliczkami czekolady albo egzotycznymi cukierkami. Uważałam, że ma idealne życie. Nawet powiedziałam kiedyś rodzicom, że gdy dorosnę, zrobię sobie prawo jazdy na tiry i będę jeździć jak pan Czesiek. Żałuj, że nie widziałeś ich miny. Bezcenna! – Zaśmiała się i zanurzyła łyżeczkę w kawie, którą barmanka bezszelestnie postawiła na stoliku. – Wyjmij już sobie tego szczura, bo zrobi ci się siekiera i nie zaśniesz potem przez tydzień.

Michał posłusznie wyłowił torebkę i odłożył ją na spodek jej filiżanki. Asia upiła łyk kawy i zapatrzyła się w ciemność pochłaniającą parking przed zajazdem.

– Czemu to zrobiłeś? – zapytała, a on wzruszył ramionami.

– A gdzie miałem odłożyć? Przecież dostałem herbatę w kubku bez...

– Nie o to mi chodzi – przerwała, odwracając wzrok od okna. – Kilka dni temu, kiedy poszliśmy na spacer... – zaczęła i urwała nagle na widok jego twarzy. Odpłynęła z niej cała krew. Jakby ktoś odciął jej źródło i pozbawił go tlenu. Michał zamarł. – Dobrze się czujesz?

Wypuścił głośno powietrze z płuc i przetarł ręką czoło.

– Średnio. Dopadło mnie chyba zmęczenie – odpowiedział po chwili, upijając łyk gorącej herbaty. – To o co dokładnie pytałaś?

– Przepraszam, chyba niepotrzebnie się czepiam. Po prostu nie chce mi wyjść z głowy twoja rozmowa z Miłą o mojej pracy. Powiedziałeś wtedy coś tak lekceważącego, że poczułam się...

Michał wyciągnął dłoń i dotknął koniuszków jej palców.

– Asia, już o tym rozmawialiśmy. Nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało. Przepraszam, jeśli cię uraziłem. Przecież nie lekceważę ani ciebie, ani twoich projektów, wiesz o tym, prawda? – Uśmiechnął się do niej trochę przepraszająco, a trochę czule, i wtedy nagle przypomniała sobie, że rzeczywiście już o tym rozmawiali. Ona płakała, on się tłumaczył, ona chciała się pakować, on przepraszał, ona dała się przeprosić, on obiecał staranniej ważyć słowa. Tylko że to wydarzyło się przed niespełna rokiem. Aśka schowała twarz w dłoniach.

– Wiem – odparła spomiędzy palców. – Po prostu ciągle wszystko mi się miesza. Przed chwilą wydawało mi się, że...

– Że co?

– Nie, nic – odpowiedziała wymijająco i westchnęła. – Sam widzisz, co się ze mną dzieje. Zachowuję się jak czubek z oddziału ciotki – mruknęła zrezygnowana. – W szpitalu śniły mi się różne rzeczy z dzieciństwa, wiesz, z czasów, kiedy jeszcze chodziłam w rękawiczkach. – Wyprostowała dłonie i położyła je na stoliku, wierzchem do góry. – Szkoda, że nie poznaliśmy się wtedy. Ja, mała zwariowana dziewczynka z głębokiej wsi, i ty, wychuchany miastowy złoty chłopiec. – Przesunęła prawą dłoń do przodu i musnęła wskazującym palcem jego kciuk. – Gdybym cię wtedy dotknęła, wiedziałabym, co się z tobą wydarzy. Wiedziałabym wszystko. – Uśmiechnęła się zamyślona. – A przynajmniej byłam o tym przekonana, dopóki ciocia nie wzięła mnie na badania.

– Naprawdę w to wierzyłaś? – zapytał z ciekawością.

Wiele razy rozmawiali na temat jej przeszłości, ale zazwyczaj trzymała się tego okresu, gdy była już na tabletkach. Krępowало ją mówienie o tym, co działo się wcześniej. Widzenia, głosy i majaki brzmiały bardziej wiarygodnie w uszach syna psychiatry niż jasnowidztwo, czyż nie? I tak znacznie lepiej znosił te historie niż ktokolwiek inny.

– Inni wierzyli. I nie ma w tym nic dziwnego. Ty urodziłeś się i wychowałeś w dużym mieście, zostałeś inaczej ukształtowany, na co innego zwracałeś uwagę,

miałeś więcej rozrywki. Nie, nie krzyw się. – Poglądziła go po policzku, a on na moment przycisnął usta do jej palców. – Po prostu tak jest. W małych miejscowościach plotki zawsze rozchodzą się szybciej, zwłaszcza o dziewczynce, która ma dar widzenia przeszłości oraz przyszłości. Od czasu tamtego ataku w zerówce, kiedy zobaczyłam topielicę, dostałam łatkę cudownego dziecka. Oczywiście istnieje wiarygodne wyjaśnienie – ciągnęła pewnym głosem, którego nauczyła się po tych wszystkich latach. – Musiałam usłyszeć od koleżanek albo od mamy, że zaginęła córka szkolnej pielęgniarki, a w tamtych okolicach zaginionych znajdowano najczęściej na poboczu drogi albo na dnie jeziora, więc nic dziwnego, że wyobraźnia sześciolatki podsunęła taki obraz. Poza tym podobno widziałam już wcześniej utopione dziecko. Nie pamiętam tego, mama mówiła mi o zwłokach, które zaplątały się w sieci. Wystarczy dodać dwa do dwóch. – Wzruszyła ramionami. – Tyle że w tamtych czasach w takiej dziurze z takiego równania wychodził jasnowidz. Czyli ja. – Wyszczrzyła się do niego w szerokim uśmiechu.

– Czemu wcześniej mi o tym nie mówiłaś? – zapytał po chwili, bawiąc się łyżeczką do herbaty. Nie sprawiał wrażenia zaskoczonego, chyba raczej zasmuconego tym, że dowiedział się dopiero teraz, jakby przypadkiem, przy okazji.

Spojrzała na niego. Siedział nieco skulony, osłaniając kubek dłońmi, i wyraźnie unikał jej wzroku. Wyciągnęła rękę i zacisnęła ją na jego przegubie.

– Michał, to nie tak. Wiele razy chciałam ci o tym powiedzieć, ale... Bałam się trochę.

– Czego?

– Że mi nie uwierzysz? Że potraktujesz mnie jak prawdziwą wariatkę, a nie taką z gabinetu twojej matki? – zażartowała, ale na twarzy Michała nie pojawił się nawet cień uśmiechu. Zdusiła w sobie westchnienie i wreszcie uczciwie przyznała: – Że pomyślisz, że naprawdę wierzę w ten mój dar, i zaczniesz traktować mnie inaczej. Że odsuniesz ode mnie Milę, bo będziesz się o nią bał. Że sam również się ode mnie odsuniesz.

Pożałowała tych słów, zanim je wypowiedziała, ale było już za późno, żeby je cofnąć. Zraniła go. Cokolwiek do tej pory zrobiła, cokolwiek wyznała czy wyrzuciła z siebie w gniewie, przestało się już liczyć, bo tak naprawdę zraniła go dopiero teraz. Wiedzieli o tym oboje. Wiedziała nawet barmanka, która podeszła właśnie po filiżanki i natychmiast wróciła do baru z pustą tacą.

Do Wrocławia dotarli przed pierwszą. Ocknęła się dopiero, gdy parkowali pod domem. Ziewnęła, zgarnęła swoją torbę i wysiadła z auta. Stała pod drzewem, wpatrując się w czarne okna mieszkania. Michał zbierał jeszcze rzeczy porozrzucone w bagażniku. Klął pod nosem i świecąc sobie komórką, próbował znaleźć zaginiony portfel.

– Tego szukasz? – Aśka pomachała portfelem. – Dalesz mi go w zajeździe, żeby zapłaciła, a potem schowałam go do siebie. Nie pamiętasz? – Wyszło jej to bardziej ironicznie, niż zamierzała. Czuła się zmęczona i jedyne, czego potrzebowała, to własnego łóżka. I piżamy, która nie będzie śmierdziała szpitalem.

Poczekala, aż Michał znajdzie klucze i otworzy drzwi, a potem weszła do środka, nie zapalając lampy. Światło z korytarza wypełniło długi wąski przedpokój. Dotknęła lewą dłonią ściany i poszła przed siebie. Sześć kroków do przodu, po prawej salon z kuchnią, następnie ich sypialnia, łazienka, skręt w lewo i znów dwa kroki – prosto do Mili. Michał rzucił klucze na szafkę i z ciężkim westchnieniem zdjął buty. Asia otworzyła na oścież drzwi do pokoju córki. Był pusty. Oczy rozszerzyły jej się ze strachu. Cofnęła się.

– Michał? – odezwała się głuchym głosem. – Gdzie jest Mila?

Z trudem powstrzymał jęk zawodu. Wziął głęboki oddech i zacisnął pięści. Jak długo to jeszcze potrwa?

– Mila jest u moich rodziców – powiedział cierpliwie. – Tak postanowiliśmy, gdy byłaś jeszcze w szpitalu. Sama powiedziałaś, że...

– Że lepiej, by nie oglądała mnie w takim stanie – dopowiedziała Joanna. Oparła się o ścianę i rozmasowała sobie skronie. – Boże! – jęknęła. – Czuję się, jakby ktoś wykasował mi kilka ostatnich dni. To jakiś koszmar.

– Spokojnie, to niedługo minie. Wytrzymasz. – Michał podszedł i oparł się o ścianę obok niej. Stali, wpatrując się w zasłane łóżko małej, przed którym na dywanie leżała porzucona szmaciana lalka z pomarańczowymi włosami.

– Mówiłeś, że spakowałeś jej rzeczy i zawiozłeś do rodziców. – Wskazała lalkę. – To jakim cudem zostawiliście Franię?

Michał spojrział na nią mało przytomnym wzrokiem, jakby nie do końca rozumiał, o co jej chodzi, po czym zerknął na dywan.

– A, to – odparł zmieszany. – No wiesz, byłem trochę zakręcony. Mila też – dodał,

wchodząc szybko do pokoju i podnosząc z podłogi lalkę. Przyjrzał się pomarańczowym warkoczom Frani, ostrożnie je pogłaskał i ruszył do salonu, gdzie przy drzwiach stała jego teczka. – Ojciec ma jutro spotkanie z klientem we Wrocławiu koło południa. Wskocz z pracy i mu podrzuć. Schowam od razu, bo inaczej znów zapomnę. – Schylił się i wrzucił lalkę do teczki, po czym zatrzasnął ją. – No dobra, a ty może przebierz się w pizamę i wskocz do łóżka, co?

Kiedy Joanna ruszyła do sypialni, poszedł szybko do drzwi wejściowych i upewnił się, że są zamknięte. Poprawił kurtkę wiszącą na wieszaku i stopą dosunął lewy but, a gdy usłyszał szum odkręcanej wody w łazience, sięgnął ręką za szafkę i dotknął gniazdka telefonu stacjonarnego. Czuł je pod palcami, gdy obejmował wtyczkę. Wahał się tylko przez chwilę.

Tej nocy nic jej się nie śniło, a przynajmniej nic, co byłoby warte zapamiętania. Obudziła się z pustą głową, w pierwszej chwili nie wiedziała nawet, gdzie jest. Ogarnęła ją panika. Dopiero widok znajomych ścian i wielkiej szafy z lustrem, w której trzymali większość ubrań, zapasowe ręczniki i pościel, przyniósł ulgę. Była u siebie. Asia obeszła całe mieszkanie, jakby chciała się upewnić, że przez tę jedną noc nic się nie zmieniło. Wszystko jednak znajdowało się na swoim miejscu. W łazience podniosła mokry ręcznik, który spadł rano Michałowi z grzejnika, i odruchowo przetarła lustro nad umywalką. Przyjrzała się uważnie swojemu odbiciu. Nie wyglądała najlepiej. Z podkrążonymi oczami, opuchnięta od snu i z odcisniętym śladem od poduszki na policzku. Potargała przyklapniętą grzywkę i odkryła całkiem spory siwy odrost. Przecież dopiero co farbowała włosy... Chyba. Właściwie nie pamiętała, kiedy ostatni raz kupiła farbę. Zajrzała do szafki, ale nie zobaczyła kartonika. Postanowiła zrobić zakupy, bo jeśli ma szybko dojść do siebie, powinna zacząć od tego, jak wygląda. To był rytuał jej matki, która chandrę, chorobę czy po prostu przejściowego doła zwalczała wizytą u fryzjera i spotkaniem z przyjaciółkami. Twierdziła, że zawsze pomaga, i wiele razy namawiała córkę, by poszła w jej ślady. Aśka miała swoje sposoby. Tu pół tabletki więcej, tam ćwiartka mniej i po sprawie, a fryzjera ogarniała sama. Farbowała się w domu, odkąd skończyła trzydzieści osiem lat i zaczęła siwieć. Wtedy też zmieniła fryzurę i kolor – z ciemnobrązowymi włosami sięgającymi do ramion i grzywką wyglądała trochę młodziej, a przynajmniej trochę inaczej niż matka w jej wieku. Kiedy Miła była młodsza, na widok rodzinnego zdjęcia sprzed lat zawołała radośnie: „Mama!”.

– Nie, kotku – odpowiedziała rozbawiona Aśka. – To babcia Ewa, to dziadek Andrzej, a ja jestem tutaj. – I pokazała stojącą między sztywno wyprostowanymi

rodzicami siedmiolatkę z długimi, niemal czarnymi włosami, ubraną w sukienkę w zielono-żółtą kratkę. W tle rozmazywały się kolorowe światełka choinkowe i widać było kawałek tapety w kwiaty. Aparat musiała trzymać ciotka Ania, skoro nie znalazła się na fotografii. Milena miała rację – Asia z wiekiem robiła się coraz bardziej podobna do mamy i dlatego następnego dnia zadzwoniła do Marty, swojej fryzjerki.

– Musisz mnie przyjąć – rzuciła błagalnie. – I to szybko. Mam kryzys.

Marta się roześmiała.

– W porządku. Przyjdź jutro, mam wolną godzinę. A co zmieniamy?

– Wszystko – odparła z pełnym przekonaniem. I tak proste ciemne włosy z pierwszymi pasmami siwizny, zaczesywane zazwyczaj do tyłu w koński ogon lub upinane w kok na czubku głowy, zamieniła na ciepły brąz i grzywkę. Skróciła je do ramion i przestała upinać, co Michał przyjął z wyraźnym zadowoleniem. Od tamtej pory farbowała je raz w miesiącu i czasem wręczała mu nożyczki, by ciachnął kilka nadprogramowych centymetrów.

– Może jednak teraz powinnam pójść do fryzjera? – mruknęła, krzywiąc się na widok swojego odbicia. Nie, zacznie od farbowania i zdecyduje później, uznała, wchodząc do kuchni. Na blacie stał kubek po kawie, którą Michał najwyraźniej wypił w pośpiechu, zanim wyszedł do pracy. Zasnął, nie usłyszał budzika. Pół godziny później obudził się gwałtownie z głębokiego snu, zerknął na zegarek, zaklął i zerwał się z łóżka. Kiedy tylko wyszedł z sypialni, Asia z powrotem zasnęła. Poranna krzątania męża zazwyczaj nie pozwalała jej spać, ale nie dzisiaj. Wzięła brudny kubek, żeby go wstawić do zlewu, jednak zamiast tego naląła sobie do niego kawy. Zauważyła to dopiero, gdy doląła mleka. Było zepsute. Zirytowana wstawiła wodę na herbatę i usiadła na taborecie, opierając się plecami o kredens. Znalazła ten mebel tuż po przeprowadzce. Stał przed śmietnikiem – sąsiedzi z klatki obok sprzedawali mieszkanie po babce i opróżniali je ze „starych rupieci”, jak pogardliwie powiedział sąsiad, gdy Aśka zapytała, co zamierzają z tym zrobić. Musiała zadzwonić po dwóch kolegów, żeby wraz z Michałem wnieśli kredens do środka. Był potwornie ciężki i zaniedbany, ale piękny – jak się okazało po delikatnej renowacji. Zostawiła drobne ubytki w drewnie i pękniętą szybę w drzwiczkach, właśnie taki jej się podobał. Stał dokładnie pośrodku, między salonem a otwartą kuchnią, co przekonało Michała do porzucenia marzeń o meblach z Ikei. Znalezienie komody, regałów na książki i stolika trochę trwało, Aśka głównie myszkowała na bazarach ze starociami i zaglądała na podwórka wrocławskich kamienic, ale w końcu się udało. Poszła na kompromis i jedynym nowym meblem w salonie była sofa, oczywiście z Ikei, jednak

wybrała ją sama i zadbała o to, by pasowała do reszty. Lubiła to miejsce. Zaprojektowała tu każdy kąt, każdą wnękę, każdy centymetr tego mieszkania był wypieszczony – stworzyła je tak, by zostać tu na zawsze. Po latach ciągłych przeprowadzek potrzebowała prawdziwego domu, zastawionego książkami i wielkimi donicami, kłęczami roślin pnących się wzdłuż bambusowych kijków i liści łapczywie zwróconych ku światłu, zbyt ciężkimi, by przenosić je z miejsca na miejsce. Nie zamierzała się stąd ruszać, już nigdy. Mieszkali tu od jedenastu lat, a to całkiem sporo jak na jej dotychczasowe doświadczenia. Pierwszy o własnym domu zaczął wspominać Michał. Jako świeżo mianowany kierownik projektu dostał wtedy umowę na czas nieokreślony i podwyżkę. Był bardzo dumny, wierzył, że to początek wielkiej kariery, i widział już siebie na znacznie wyższym stanowisku, chociaż nie przewidział, że zajdzie aż tak wysoko. Stał w przedpokoju ich małego wynajmowanego mieszkania i przeglądał się w lustrze, które kończyło się na wysokości jego ramion.

– I jak? – spytał, okręcając się wokół. Włożył kupiony właśnie garnitur z sieciówki, na którą było go stać. – Może być?

Rękawy były trochę za krótkie, a spodnie ciut za szerokie, ale Asia i tak klasnęła w dłoń i zawołała z zachwytem:

– Rewelacyjnie! Jesteś najprzystojniejszym kierownikiem projektu. Nawet bez tego gajerka – dodała, podchodząc bliżej i rozpinając mu guzik marynarki. Zrobiła to zbyt mocno, a może nitka była zbyt słaba, w każdym razie guzik się urwał i potoczył pod szafkę. Szukali go potem na kłęczkach, co rusz potrącając się ze śmiechem w ciasnym przedpokoju. Nie znaleźli go, więc Michał musiał biec do pasmanterii po nowy komplet guzików, a potem do krawcowej, by przyszyła je w ekspresowym tempie. Następnego dnia miał wystąpienie przed przełożonymi i chciał wywrzeć odpowiednie wrażenie.

– No, jeśli zrobisz na nich takie wrażenie jak na mnie, to zapewniam cię, że powalisz ich na kolana. – Asia mocowała się z zamkiem spódnicy, którą przed chwilą w gorączkowym pośpiechu z siebie zrzuciła. – Pomożesz mi? Rozpinanie świetnie ci idzie, jeszcze musisz poćwiczyć zapinanie.

Michał stanął za nią i pociągnął mocniej suwak zamka. Zaskoczyło.

– Będę ćwiczył do końca życia – odparł miękko. – Ale tylko z tobą. I może w większym mieszkaniu? Naszym mieszkaniu?

Tak wyglądała ich pierwsza rozmowa o przyszłości – w tym przedpokoju ze zbyt

nisko zawieszonym lustrem, by Asia mogła w nim dostrzec odbicie twarzy Michała.

Następnego dnia wrócił z pracy, rzucił na krzesło lekko pomiętą marynarkę i oznajmił, że widział się z doradcą finansowym i że stać go na kredyt. Potrzebowali jedynie wkładu własnego, ale tu pomoc zaoferowali rodzice. Wszystko ustalone, teraz tylko trzeba znaleźć odpowiednie mieszkanie, załatwić papiery i zacząć nowe życie. Postawiła się wtedy. Jeśli mają zacząć wspólne życie, muszą to zrobić razem. I żadnych datków od jego matki.

– Jakich datków? O czym ty mówisz? – zachnął się Michał. – Przecież jestem jej synem.

– A ja jej pacjentką. Jeśli mam zostać synową, to na moich warunkach.

Od czterech lat prowadziła własną działalność, a od dwóch dostawała coraz lepsze zlecenia. Wciąż miała sporo znajomych w stolicy, gdzie jak grzyby po deszczu wyrastały nowe salony kosmetyczne i fryzjerskie, które przemawiały do klientów nie tylko cennikiem, ale i odpowiednim wystrojem. Młoda projektantka wewnątrz z Wrocławia oferowała tańsze usługi niż absolwenci z Warszawy i mogła pochwalić się już współpracą z kilkoma większymi firmami, co zawsze robiło wrażenie na nowych zleceniodawcach, ale co niekoniecznie mogło zrobić wrażenie na bankach. A jednak zrobiło. Wzięli kredyt we dwójkę i na trzydziestkę Asi urządzili parapetówkę w ich nowym mieszkaniu na Dąbiu. Długo nie mogła wierzyć, że we Wrocławiu istnieją takie miejsca. Z balkonu widziała tylko drzewa, które zimą, ogołocone z liści, odsłaniały widok na Odrę, a przy otwartym oknie słychać było piski, pohukiwania i trąbienie dochodzące z zoo, od którego murów dzieliło ich zaledwie kilkaset metrów. Kiedy oglądali mieszkanie po raz pierwszy, usłyszeli nagle ryczenie lwów i wrzaski małp. Asia spojrzała wtedy ze zdziwieniem na oprowadzającą ich dziewczynę z agencji nieruchomości, a ta zerknęła na zegarek i roześmiała się szczerze.

– To pora karmienia. Zaraz powinny dołączyć słonie. Ptaki słychać przez cały rok, co zresztą bardzo przeszkadza dotychczasowym właścicielom. Dlatego zdecydowali się na sprzedaż. Niestety zabierają stąd praktycznie wszystko oprócz kuchenki i lodówki.

Nie wahali się nawet przez chwilę. U notariusza splukali się do reszty, więc nie było ich stać na meble. Spali na materacu, a Asia pracowała na składanym krześle przy pożyczonym biurku, na którym jakieś dziecko wryło kiedyś olówkiem brzydkie wyrazy. Wieczorami leżeli na podłodze i z rozmarzeniem gapili się na puste ściany. Michał widział w wyobraźni komplet mebli z Ikei, nisko zwisającą lampę i puchaty



dywanik, na którym mogliby czasem uprawiać seks. W jej głowie rysował się zupełnie inny obraz, ale milczała, przynajmniej dopóki nie zobaczyła kredensu wystawionego pod śmietnik. Śmiała się potem, że to prezent od losu na trzydziestkę. Kredens idealnie sprawdził się w roli baru w trakcie urządzonej dla znajomych parapetówki. Rodzice Michała też zostali zaproszeni, choć wykazali się rozsądkiem i wpadli na pierwsze pół godziny, przynieśli dwie butelki wina i zestaw kieliszków, wypili po lampce, po czym się pożegnali. I tak nie było na czym siedzieć. Pozostali goście krążyli po mieszkaniu albo zalegali na podłodze, jedyne składane krzesło pozostawiając wolne dla matki Michała. Nie wzbudziło ono jednak zaufania u profesor Helmanowej – wolała na stojąco porozmawiać cicho z ciotką Anią, która zadzwoniła niespodziewanie tego ranka i powiedziała, że wybiera się na kilkudniową konferencję do Poznania.

– Będziesz w Poznaniu? Naprawdę? – ucieszyła się Asia. – To zaledwie trzy godziny od Wrocławia. Przyjedź najpierw do nas! Robimy dziś parapetówkę. Zostaniesz na noc, a rano spokojnie pojedziesz na konferencję.

– E, za stara jestem na takie imprezy. Co taki grzyb jak ja będzie robić na balandze z samymi młodymi ludźmi, hm? – odparła rozbawiona Ania. – Może po prostu wpadnę do was po konferencji, a potem wrócę do domu?

Zmieniła jednak zdanie, gdy usłyszała, że Helmanowie też będą.

– Ciociu, tylko nie mów nic... – Aśka nie dokończyła. Nie musiała.

– No coś ty. I tak by nie przyjechali, ale obie dobrze wiemy, że twoja matka strzeliłaby focha. Wyślij im chociaż kilka zdjęć mieszkania, ucieszą się.

Tak właśnie zamierzała zrobić. Wiedziała, że rodzice przyjadą dopiero, gdy wyjdzie za mąż. Mieszkali w Gdyni od niemal dwudziestu lat, obracali się w zupełnie innym środowisku niż dawniej, ale małomiasteczkowość wciąż wychodziła z nich jak wata z rozprutego pluszowego misia. Matka nie odezwała się nawet słowem, gdy Asia wynajęła mieszkanie z Michałem, nie skomentowała również nowiny o kredycie – czekała na magiczne słowo, które pozwoliłoby jej wreszcie ucieszyć się ze szczęścia córki. Magicznym słowem był ślub, że kościelny, nie musiała dodawać, było to dla niej oczywiste. Nie знаła Helmanów, o Zofii wiedziała tylko tyle, ile opowiedziała jej siostra, a o Waławie nic oprócz tego, że jest architektem. Asia kilka razy zapraszała rodziców do Wrocławia – chciała poznać ich z Helmanami, jednak Ewa zawsze wymyślała jakąś rozsądną wymówkę. „Za zimno, tata jeszcze się przeziebi, a wiesz, jaki ma słaby pęcherz. Za gorąco, w pociągu na pewno nie będzie klimatyzacji. Za daleko, żeby jechać samochodem. I gdzie my tam będziemy spali? Przecież macie za

małe mieszkanie, a nas nie stać na hotel. Nie, nie będziesz bez sensu wydawała na hotel dla nas, to strata pieniędzy!”. Po trzech takich rozmowach odpuściła. Tak było łatwiej. Wiedziała, że gdyby zaprosiła ich na parapetówkę, i tak by nie przyjechali, jednak nie zamierzała zmuszać matki do wymyślania kolejnych wymówek. Za bardzo ją irytowały.

– Chce mnie w ten sposób zmusić do ślubu – stwierdziła, kiedy stały z ciotką w kuchni i kroiliły ogórki na sałatkę. Pojechała po południu po Anię na dworzec, zabrała ją do domu, a potem dolewała jej co chwilę białego wina. Ciotka była zachwycona mieszkaniem, widokiem z okna i bliskim sąsiedztwem zoo – im więcej piła, tym bardziej wszystko jej się podobało.

– Potrzebowałam tego – powiedziała, podsuwając pusty kieliszek siostrzenicy.

– Wina? – Asia się roześmiała.

– Tego też. Ale przede wszystkim wyjazdu z Gdańska, odpoczynku, spotkania z tobą i przekonania się, że jesteś szczęśliwa. I to w odwrotnej kolejności. Twoja mama też tego potrzebuje – dodała po chwili. – I tak, oczywiście wolałaby, żebyście mieli ślub i gromadkę zdrowych dzieci. Wiesz, jakie są matki. – Mrugnęła, a Aśka parsknęła śmiechem. – Jednak nie o to chodzi. Widzisz, dawno nie było cię w domu...

Ostrze zawisło tuż nad ogórkiem. Ania odłożyła nóż i spojrzała na siostrzenicę.

– Andrzej... twój tata – ciągnęła – ma duży problem z alkoholem i dlatego Ewa nie chce tu z nim przyjeżdżać, a boi się zostawiać go samego.

Asia z wrażenia omal nie ucięła sobie palca. Syknęła i ściskając ranę, wyssała krew.

– Z alkoholem? Tata? On po prostu lubi sobie czasem wypić i tyle. To nie tak, żeby...

– To już naprawdę długo trwa. – Ciotka uśmiechnęła się przeprasząco. – Od kiedy zaczęłaś chodzić do szkoły.

– Do liceum?

– Do podstawówki, kochanie.

Asia zamarła. Kropla krwi powoli pęczniała na ranie i wreszcie skapnęła prosto na świeżo pokrojonego ogórka. Ania przemyła go pod bieżącą wodą i dorzuciła do miski z sałatką.

– Ale jak to możliwe? Przecież nigdy nie widziałam go pijanego.

– Zawsze się pilnował. Pił tylko po pracy, wieczorami, a gdy wracał do domu, już spałaś. Rano wypijał na rozruch jedno piwo albo odrobinę czegoś mocniejszego i przez cały dzień normalnie funkcjonował. Aż do wieczora.

Ania mówiła cicho, starannie dobierając słowa, jakby nie chciała zranić ani jej, ani jego, a ona nagle przypomniała sobie te dziwnie pachnące herbaty ojca, zmęczone spojrzenie, jakie rzucał na dzień dobry, kiedy jadła śniadanie w kuchni, zaciśnięte wargi mamy i jej chłodne milczenie, którym witała go co rano. Żałowała taty. Sądziła, że matka znowu się na nim odgrywa, że zatruwa mu życie, że wciąż na coś narzeka, że patrzy na niego tak, jakby już dawno przestała go kochać. A może to wszystko było nieprawdą? Może to on odgrywał się na niej? On zatruwał im życie?

Ciotka przyglądała jej się w milczeniu.

– Nie osądzaj go – powiedziała wreszcie. – Każdy na swój sposób walczy ze swoimi demonami. On wybrał taki.

– Demonami? – prychnęła. – A jakie demony może mieć małomiasteczkowa złota rączka? Żonę nauczycielkę, która chciała od niego odejść, ale zmieniła zdanie? A może córkę wariatkę?

– Asiu. – Ciotka objęła ją ramieniem i przytuliła jak małą dziewczynkę. – Nie jesteś wariatką i nigdy nie byłaś. Co jak co, ale na tym akurat się znam. Andrzej kocha cię najbardziej na świecie i zrobiłby dla ciebie wszystko, przecież dobrze o tym wiesz. Tylko że alkohol jest silniejszy od ciebie, od Ewy i od niego samego. Zwłaszcza teraz, po trzydziestu latach picia. On po prostu utknął. – Odsunęła się od niej i spojrzała jej prosto w oczy, szukając w nich zrozumienia. – I raczej już z tego nie wyjdzie. Nie ma sensu obrażać się na niego czy karać go za to. To się po prostu stało. I ani ty, ani on nic z tym nie zrobicie.

Przestała o tym myśleć, kiedy zaczęli schodzić się pierwsi goście, a nazajutrz rano odwiozła ciotkę na dworzec i zanim wsadziła do pociągu do Poznania, mocno ją uściskała. Chciała w ten sposób pokazać jej, że rozumie, że nie osądza ani nie karze, ale nie zdążyła już powiedzieć tego ojcu. Tydzień później zadzwoniła zapłakana mama. Tata położył się spać wieczorem i już się nie obudził. Nie wstał jak zawsze na śniadanie, nie usiadł przy stole w kuchni i nie oparł głowy na dłoniach. Asia nie była już pewna, czy tak to właśnie wyglądało, czy też o świcie na chodniku pod monopolowym znalazła go policja albo po pijaku spadł ze schodów. Nie zapytała, nie chciała wiedzieć.

Przypomniała sobie tamtą poranną rozmowę z matką przez telefon, kiedy zagwizdał czajnik. Zalała herbatę i podeszła do regału. Na najniższej półce stał stary album rodzinny w brązowej, odłazącej już miejscami oprawie. W środku na czarnych tekturowych kartkach znajdowała się prawie cała historia jej rodziny. Na pierwszej stronie były dwie lekko już wypłowiałe fotografie z gołymi niemowlakami. Na jednym

tata, na drugim mama. Na kolejnych chrzciny, komunie, ślub, a potem nagły przeskok – aż do siedmioletniej dziewczynki z ciemnymi długimi włosami pozującej z rodzicami na tle choinki. To wtedy właśnie mama postanowiła zrobić album. Podczas ostatniej z przeprowadzek zaginął karton ze zdjęciami z kilku lat, czego do dziś nie mogła odzłować. Wracała nawet jeszcze ze dwa razy do poprzedniego domu i przetrząsała wszystkie pokoje. Na próżno. Zniknęła cała dokumentacja pierwszych miesięcy małżeństwa, narodzin dziecka, raczkowania, przesiadywania na kolanach Mikołaja z brodą z waty i pierwszego samodzielnie ulepionego bałwana. Po tamtych świętach mama kupiła album, do którego wkleiła to, co ocalało po przeprowadzce. Po czarno-białych odbitkach z karbowanymi krawędziami przyszedł czas na błyszczące kolorowe zdjęcia. Zmieniały się stroje i fryzury, rodzice się starzeli, ona rosła. Na ostatniej kartce znajdowała się fotografia Asi w zaawansowanej ciąży. Trzymała obie dłonie na wypukłym brzuchu i uśmiechała się do obiektywu. Mama podarowała jej ten album jeszcze przed narodzinami Mili. Powiedziała, że kolejny musi wykonać już sama, i chociaż Asia wiele razy się do tego zabierała, jakoś nie potrafiła zdecydować, które zdjęcie zrobione telefonem i przechowywane w chmurze wydrukować i zaprezentować w albumie. Było ich zbyt dużo. Ponownie przekartkowała album i wróciła do ich pierwszej wspólnej fotografii. Delikatnie dotknęła palcem twarzy siedmioletniej dziewczynki.

Mila jest do mnie bardzo podobna, pomyślała z czułością. Ma krótsze włosy i za nic na świecie nie włożyłaby takiej sukienki, ale poza tym wygląda jak ja. Na szczęście nie jest taka jak ja.

Tego właśnie obawiała się najbardziej, kiedy zaszła w ciążę. Nie skutku odstawienia leków, dręczącego przekonania, że nie sprawdzi się w roli mamy, a dziecko będzie traktowało ją tak, jak ona swoją matkę – to też nie pozwalało jej spać, od kiedy na teście ciążowym zobaczyła niebieską kreskę, ale nie paraliżowało jej aż tak, jak lęk przed dziedziczeniem. Bo co, jeśli przekaże mu swoje zaburzenia: „dar” lub „przekleństwo”? Jak zwał, tak zwał, nie chodziło przecież o nazwę, tylko o całą resztę.

Mila urodziła się zdrowa i zachowywała się jak normalny niemowlak. W dzień dużo spała, a nocami wydzieriała się wniebogłosy i często domagała się jedzenia. Była bardzo ciekawskim dzieckiem. Kiedy zaczęła raczkować, śmigła z pokoju do pokoju, świat nie miał przed nią żadnych tajemnic. Joanna ją obserwowała. Sprawdzała reakcje, kiedy mała chwytła różne przedmioty i wpychała je sobie do ust, kiedy na podwórku łapała za ręce inne dzieci – nic jednak nie wskazywało na to, że będzie

musiała nosić rękawiczki. Mimo to Asia nie traciła czujności. Zwłaszcza że w snach zaczęły do niej wracać tamte staruchy. Najpierw przychodziły do ich domu, błagając o pomoc w odnalezieniu zagubionej książeczki do nabożeństwa albo emerytury, którą po wyjściu listonosza schowały w bezpiecznym miejscu i teraz nie mogły jej znaleźć. Pytały o historie sprzed lat, o dawno niewidzianych krewnych, prosiły o pobłogosławienie dzieci wnukami, wnuków prawnukami, o powodzenie w życiu dla syna, o dobrą żonę dla siostrzeńca. Rodzice na początku wypraszały je grzecznie, ale one cierpliwie wracały, dzień po dniu zasypywały ją tą samą litanią prośb i pytań. Mama zaczęła je wyganiać, nie otwierała im drzwi, na ulicy przechodziła szybko na drugą stronę i zrezygnowała z robienia zakupów w lokalnym sklepie. Kiedy się zorientowały, że nie są mile widziane, przestały je dręczyć. Zamiast tego nazywały małą Asię diabelskim pomiotem, pluły na jej widok na ulicy albo wykonywały ukradkowy znak krzyża, co zdecydowanie przyspieszało decyzję o kolejnej przeprowadzce. Joanna zdążyła o nich zapomnieć na długie lata, ale lęk o dziecko wydobył z niej tamte wspomnienia. Co noc złośliwe staruchy otaczały ją ciasnym kręgiem i wytykały palcami. Ona stała w samym środku i nie miała dokąd uciec. Słyszała ich przekleństwa, czuła oddech przesiąknięty czosnkiem, a one podchodziły coraz bliżej, zwierzały szyki. Widziała ich czarne oczy i otwarte bezzębne usta. Budziła się z tych snów złana potem. Michał pytał, czy chce jakieś lekarstwo na uspokojenie, ale ona potrząsała przecząco głową. Wiedziała, że to nie typowy atak, tylko bagaż z przeszłości, bagaż, którego tak bardzo nie chciałyby przekazać córce. Po raz ostatni wstrzymała oddech, zaprowadzając małą we wrześniu do przedszkola. Nie obeszło się bez łez i rozziewającego krzyku przez cały pierwszy tydzień, generalnie jednak Mila zachowywała się tak jak każde inne dziecko. Przedszkolanki z nieco zażenowanym uśmiechem odpowiadały na pytania o to, czy Mila lubi dotykać innych, czy nie krzywi się, kiedy ktoś złapie ją za rękę, czy nie sztywnieje nagle z jakąś zabawką w dłoni. Patrzyły na Asię i grzecznie kręciły głowami, zapewniając, że wszystko jest w najlepszym porządku, że naprawdę nie ma powodów do zmartwień. Wreszcie Michał kazał jej przestać. I przestała.

Przestała się bać. Przestała obsesyjnie sprawdzać Milę i rozmyślać o tym, co będzie, jeśli pewnego dnia... Po prostu odpuściła.

Kiedy Michał wrócił z pracy, na stoliku w salonie leżał otwarty album, z łazienki dochodził szum włączonej suszarki, a po leżącym na blacie kartoniku po farbie do włosów łatwo było się domyślić, co właśnie robi Asia. Ucieszył się. Trochę się bał, że po

wypadku i amnezji utknie w nawracających wspomnieniach i pogubi się w tym wszystkim. Ostrzegła go przed tym szpitalna lekarka, zresztą matka też wspomniała, że na początku może być różnie. Nie był na to przygotowany, nie czuł się specjalnie na siłach wracać do tamtego okresu po narodzinach Mili. Progesteron, który przez całą ciążę utrzymywał Asię w świetnej formie, łagodził skutki odstawienia leków, ale gdy tylko skończyła karmić, oksytocyna przestała zalewać jej mózg i nagle Michał stracił kontakt ze swoją żoną. Była otępieła, na niczym nie potrafiła się skoncentrować, nic jej nie interesowało, opuchnięta od snu i łez przypominała więźnia skazanego na dożywocie, który nie zdążył pogodzić się z wyrokiem. Mógł całymi dniami powtarzać, że ją kocha, że jest dla niego wszystkim, że to stan przejściowy i zaraz minie, mógł ją bez końca przytulać, całować i trzymać za rękę, a i tak miał wrażenie, że oddziela ich gruba dźwiękoszczelna szyba. Widział Asię, ale nic poza tym. Nie dawał rady. Najpierw przyjechała jej matka. Od niej dowiedział się, że to pewnie dziedziczne, bo ona po porodzie czuła się podobnie. Potem pomogła jego matka – nie tylko z Milą, ale i z Asią, której szybko ustabilizowała leki, i rzeczywiście po dwóch czy trzech tygodniach wszystko zaczęło wracać do normy. Gdyby teraz znów musiał przez to przechodzić... Aż się wzdrygnął.

– Hej, kochany. – Asia stała w drzwiach salonu i poprawiła grzywkę. – Chyba muszę ją podciąć, bo włazi mi do oczu. Jak tam w pracy?

Michał wyszczerzył się w szerokim uśmiechu.

– Jak zawsze. Jestem ich bożkiem sukcesu, więc od rana do wieczora składają mi dary, a dziś ja postanowiłem złożyć dary tobie. – Uprzejmym gestem wskazał wypchaną torbę stojącą na blacie. – Gotuję kolację, moja droga. Specjalność zakładu to kaczka pieczona w... czymś tam. Nie pamiętam już, co kupiłem.

Aśka zaśmiała się, gdy zaszeleścił torbą i zajrzał do środka.

– A tak, z pomarańczami. A do tego wyborne wino bezalkoholowe. Zjeździłem za nim pół miasta i wyobraź sobie, znalazłem je w naszym osiedlowym spożywczaku. Jakies cuda się dzieją. Chyba że już wcześniej o nie pytałaś i zaczęli zamawiać dla ciebie? – rzucił, krzątając się po kuchni. – Nie? Hm, może nasi sąsiedzi postanowili ograniczyć spożycie alkoholu, w co jednak wątpię. W każdym razie jest, a pani zapewniła, że wprowadzili je do stałego asortymentu.

Sąsiedzi z piętra wyżej rzeczywiście dawali się wszystkim we znaki. Teoretycznie mieszkał tam tylko Piotrek, student, któremu bardzo zamożni rodzice postanowili sprezentować mieszkanie na tyle daleko od centrum, by ich jedynak nie musiał oddychać spalinami, i na tyle blisko, by dało się tam dojechać tramwajem w ciągu

kwadransa. Tramwajem, gdyż samochodu nie kupili. Zapewne domyślali się, że chłopak albo w ogóle nie będzie ruszał spod bloku, albo błyskawicznie straci prawko za jazdę po pijanemu. Piotrek wprowadził się niecałe pół roku temu, witał się grzecznie na schodach i wdawał w pogawędki na temat złotej młodzieży, która za dużo pije, wciąga i imprezuje, z politowaniem przy tym kiwając głową nad biedakami marnującymi sobie życie. Jednak poza tym, że pił, wciągał, imprezował i wiecznie przygarniał pod dach znajomych, nie wiedzieli o nim nic, nawet tego, co studiował. Dopóki sąsiedzi z góry nie wydzierali się po nocach i nie rzucali butelkami przez okno, byli tolerowani, choć z coraz większą irytacją. Po ostatnim incydencie Piotrek trochę przycichł, pewnie czekał, aż sytuacja znów się unormuje i będzie mógł wrócić do dawnych zwyczajów. Wolał nie ryzykować kolejnej interwencji policji. Wtedy to Michał po nich zadzwonił, bo grubo po północy Miła przysłała do nich do sypialni i powiedziała: „Tatusiu, jakiś pan zwisa z balkonu nad nami”. Rzeczywiście zwisał, niekompletnie ubrany, za to kompletnie pijany. Cóż, mieszkanie w tak idealnym miejscu musiało mieć jakieś wady.

Asia nałała sobie trochę wina. Smakowało całkiem nieźle, a już na pewno o niebo lepiej niż piwa bezalkoholowe, które sączyła czasem podczas spotkań ze znajomymi. Wszyscy wiedzieli, że nie pije, a im byli starsi, tym mniej ich to intrygowało. Właściwie nie pamiętała już smaku prawdziwego wina. Może to i dobrze? Skoro jej ojciec był alkoholikiem, ona również mogła posiadać skłonności do uzależnień. Benzodiazepiny i tak musiała łykać do końca życia, w odpowiednich dawkach nie stanowiły jednak zagrożenia. Poza tym od tego miała teściową. I ciotkę. I Michała, który troszczył się o nią jak nikt inny.

– Jak się czujesz? – zapytał, wsuwając kaczkę do piekarnika. – Pytam, bo mamy jakieś czterdzieści pięć minut na relaks, zanim podadzą do stołu, i możemy je wykorzystać w przyjemny sposób. Albo jeszcze przyjemniejszy. – Podszedł do niej i wyjął jej lampkę z dłoni. – To zależy tylko od ciebie. – Nachylił się i pocałował ją delikatnie w kark, potem w ucho, a kiedy odchyliła głowę – w usta. Oddała pocałunek, wpijając się w jego wargi.

– To może wezmę szybki prysznic, a ty napij się jeszcze wina – zaproponował i sięgnął do guzika koszuli.

Nie zdążył dojść do łazienki. Asia nie spuszczając z niego wzroku, odepchnęła jego dłonie od guzików i sama zaczęła je rozpinać. Wytrzymał do czwartego, potem chwycił ją na ręce i posadził na stole. Kieliszek z winem przewrócił się z brzękiem. Nie zwrócili na to uwagi. Oddech Michała przyspieszył, kiedy zdejmował Asi przez

głowę bluzkę. Włosy rozsypały się na nagich ramionach, zasłaniając czarne ramiączka. Zsunął najpierw lewe i pocałował odciśnięty na skórze ślad, potem prawe. Rozpiął zapięcie i ciężkie piersi uwolnione ze stanika zakolysały się lekko. Uwielbiał je pieścić, całować, gładzić palcami. Sutki ciemniały wtedy niemal tak jak jej oczy. Asia oparła się rękami o stół i podniosła biodra, żeby mógł zdjąć jej spodnie i majtki. Kiedyś wstydziła się swojego ciała, szerokich bioder i poznaczonych żyłkami ud, ale Michał ją z tego wyleczył. Gdy pokochał jej ciało, ona też je pokochała. Dotknął palcem łechtaczki, ostrożnie, jakby sprawdzając, czy Asia się nie wycofa, jednak ona uśmiechnęła się tylko, oparła stopy o blat stołu i rozszerzyła nogi. Wsunął palec głębiej, odchyliła głowę i przymknęła oczy. Całował zachłannie jej piersi i szyję, a ona coraz szybciej poruszała biodrami. Kiedy jęknęła i sięgnęła do jego rozporka, zrzucił od razu spodnie i wszedł w nią tak gwałtownie jak dawniej, gdy kochali się w każdej wolnej chwili. Bał się, że wytryśnie za szybko, nie chciał za wcześnie kończyć, nie teraz, kiedy wreszcie po długiej przerwie oboje mieli ochotę na seks. Asia oplótła go nogami, poruszała się rytmicznie i coraz ciężiej oddychała. Lubił ten jej chrapliwy oddech, po którym zawsze przychodził przeciągły jęk, a potem dreszcz. Zaciskała palce tak mocno, że paznokcie wbijały mu się w skórę, a ból zawsze sprawiał, że dochodził znacznie szybciej, niż zamierzał. Kończyli wtedy jednocześnie, zdyszani, spoceni.

– Boże, jak mi tego brakowało – westchnęła Asia, wtulając się w niego, gdy oboje zamarli.

Piekły go rozorane paznokciami plecy. Tak, jemu też tego brakowało.

– To co z tym prysznicem? – mruknęła, gładząc go po torsie i całując w szyję. – Bo ja jestem gotowa.

Kaczka omal się nie spaliła. Byli tak głodni, że jedli ją pospiesznie, parząc sobie palce i usta. Po kolacji leżeli na sofie i słuchali CocoRosie. Asia czuła, jak powoli ogarnia ją senność. Zaczęło padać. Krople deszczu bębniły o balustradę. W taką pogodę nie było słyhać ptaków z zoo, nawet swojskie sroki za oknem pochowały się przed zimnym listopadowym deszczem. Z góry dochodziło tylko miarowe dudnienie basów. Najwyraźniej Piotrek zaczął się rozkręcać.

Michał poruszył się i westchnął.

– Myślisz, że znów powinienem zadzwonić na policję, czy wystarczy, jak pójdę tam i tym razem osobiście zrzucę go z balkonu?



– Mam lepszy pomysł – odezwała się rozbudzona Asia. – Poczęstuj go piwem zaprawionym koktajlem moich prochów. Zaśnie na kilka dni i będziemy mieli spokój.

Zachichotała cicho, ale Michał spojrzał na nią poważnie.

– To nie było zabawne – powiedział i poszedł do kuchni.

– Hej, co z tobą? – zawołała, rzucając w niego poduszką. – Chyba w wypadku ucierpiało twoje poczucie humoru. I tak, wyobraź sobie, że wraca mi pamięć. Wreszcie pamiętam, że mieliśmy wypadek. Tylko nie pytaj o szczegóły, na to jeszcze za wcześnie. – Pogłodziła muzykę i spod przymrużonych powiek patrzyła na Michała, który stał tyłem do niej przed otwartą szafką z herbatą. Zastanawiał się, którą wybrać, wreszcie zdjął puszkę z mieszanką czerwonej o intensywnym wędzonym smaku i wstawił wodę.

– Przerwa na herbatę – oznajmił. – Bo mi zaśniesz przy tych miauczących dźwiękach, a dzień się jeszcze nie skończył. Pomyślałem, że może... – podszedł do niej i przysiadł na stoliku – ...przeniesiemy się potem do sypialni, hm? Co ty na to?

Nie miała nic przeciwko. Do dziś nie wiedziała, jak bardzo stęskniła się za seksem. Nie potrafiła sobie co prawda przypomnieć, kiedy kochali się po raz ostatni, ale ciało podpowiadało jej, że było to dawno temu. Pamięć może i zwodziła ją na manowce, ale nie ciało.

– Przeglądałaś stare zdjęcia? – zapytał, otwierając album na pierwszej stronie. Skrzywił się z rozbawieniem na widok gołych niemowlaków. – Wolałbym nie znać teściów od tej strony – westchnął i zaczął kartkować. Zatrzymał się na dłużej przy fotografii siedmioletniej Asi pod choinką. – Zmieniłaś się trochę. – Uśmiechnął się do żony i spojrzał z zainteresowaniem na jej nagą pierś, która wysunęła się spod szlafroka.

Joanna podniosła się i zerknęła na zdjęcie.

– Nie sądzisz, że Mila zaczyna być coraz bardziej do mnie podobna? Zobacz tylko, prawie jak dwie krople wody.

Michał mruknął coś w odpowiedzi i znów przełożył kilka kartek. Trafił na wakacje w górach. Musiała mieć tu około dziesięciu lat. W leginsach i flanelowej koszuli związanej w pasie siedziała na kamieniu i sznurowała traper. Z boku stała młoda wciąż Ewa z plecakiem i uśmiechała się do obiektywu.

– Gdzie to było? Pamiętasz?

– Chyba w Tatrach, pewnie po słowackiej stronie. Tam wtedy jeszcze było pusto i bardziej dziko niż u nas. Przez cały dzień na szlaku nie spotkaliśmy żywej duszy.

Raz nawet zwiewaliśmy przed niedźwiedziem. Może się tam wybierzemy wiosną, jak już zrobi się cieplej? Co ty na to? Moglibyśmy wyskoczyć na weekend z Miłą.

Michał zamknął album i odłożył go na środek stołu.

– Zobaczymy. A ty na razie przeglądaj te zdjęcia. To dobry sposób na uporządkowanie dawniejszych wspomnień. Pamiętasz, co mówiła lekarka? Najważniejsze to zapanować nad chronologią, wtedy obrazy przestaną ci się mieszać. Dlatego lepiej zacząć od początku. – Poklepał brązową oprawę i poszedł zaparzyć herbatę. Po chwili w salonie rozszedł się intensywny zapach.

Asia przeciągnęła się i opadła z powrotem na poduszki. Właściwie to już zdążyła odpocząć. Ten cały dzień spędzony w domu, bez żadnych obowiązków i rutyny związanej z obecnością pięciolatki, sprawił, że poczuła się znacznie lepiej. Była gotowa na powrót do normalnego życia. A zanim dziadkowie przywiozą Miłę, mogła trochę w spokoju popracować nad projektem niewielkiej kawiarni, która miała powstać na Ruskiej. Zostało jeszcze sporo czasu do pierwszej prezentacji, ale korciło ją, by coś robić. Zerwała się z sofy i poszła do pracowni po komputer. Chciała tylko zaplanować sobie pracę na jutro, nic poza tym. W końcu już mieli plany na wieczór. Zapaliła światło w pokoju i odruchowo wyciągnęła rękę w stronę biurka, gdzie zawsze leżał laptop. Nie było go. Zdezorientowana zauważyła, że brakuje też ładowarki, a w szufladzie nie ma etui. Chyba nie zabrała go ze sobą do Gdyni? Nie mogła sobie przypomnieć i przez chwilę opanowała ją panika, że on też ucierpiał w wypadku.

– Michał? – zawołała przez drzwi. – Nie wiesz, co zrobiłam z komputerem? Nie mogę go znaleźć.

– Jest w serwisie. Touchpad zaczął ci wariować, więc przed wyjazdem zaniósłem, żeby go przejrzeć. Spokojnie, zgrałem wszystko z dysku. Nawet jeśli to coś grubszego i postawię system na nowo, niczego nie stracisz – odkrzyknął z kuchni. – I chodź na herbatę.

Zrezygnowana westchnęła. Praca mogła poczekać, tylko żeby wreszcie zniknęły te czarne dziury w pamięci! Irytowały ją coraz bardziej. Sięgnęła po zdjęcie córki z przedszkola oprawione w brokatową ramkę. To był prezent na Dzień Matki. Mała kazała postawić go w takim miejscu, by Joanna zawsze go widziała. Sypialnia odpadła, „bo tylko tam śpisz”, w kuchni ramka zbyt często spadała na podłogę, potrącana przypadkiem przy otwieraniu szafki, a w salonie Mili się nie podobało. „Ma być tam, gdzie ty” – oznajmiła i podreptała ze zdjęciem do pracowni. Postawiła je na biurku, tuż koło laptopa. „O, tu będzie dobrze, mamusiu. Jak będziesz pracować, możesz sobie na mnie popatrzeć”. Asia pogładziła policzek poważnej Mili i nagle

ogarnęła ją ogromna tęsknota za córką. Pożałowała swojej decyzji o wywiezieniu jej do dziadków. Przecież już całkiem dobrze się czuje. Jutro wsiądzie do samochodu i pojedzie do teściów do Lipian.

Zerwała się i otworzyła oczy. Stała na pomoście. Sama. Niebo miało stalowoszary kolor. Zaczęło wiać. Wiatr gonił fale. Ciemne, niemal czarne gnały coraz prędzej w jej kierunku. Pędziły prosto na pomost. Chciała uciec, wrócić do domu, schować się, ale nie ruszyła się z miejsca. Nie mogła. Czerwone buciki od matki przywarły do desek. Czemu tu przyszła? Czemu włożyła te buty, przecież... To sen! – przemknęło jej przez myśl. To musi być sen, powtarzała z ulgą, gdy wielka oleista fala zawisła tuż nad nią. Asia wstrzymała oddech. Nagle wszystko zniknęło. Rozpłynęło się w czarnej pustce. Tylko ona wciąż tam stała. Waliło jej serce. Słyszała, jak pompuje krew, jak drży, jak komory otwierają się i zamykają rytmicznie, niespiesznie, nieubłaganie. I wtedy zrozumiała. Ta oleista gęsta ciemność, lepka i śliska, to krew. Jej krew. Wyływa pulsującą strugą z rany na dłoni. I zalewa pomost, jezioro, trzciny, niebo. Podnosi się coraz wyżej. Już dotyka butów, kolan, bioder, rąk. Wdziera się do gardła, do nosa, do uszu. Asia patrzy w górę. Tam gdzieś jest wyjście, myśli gorączkowo. To przecież tylko sen. Coś przepływa obok niej. Czuje to wyraźnie, widzi zarys poruszającego się szybko ciała. Zabierz mnie stąd! – błaga w myślach. Zabierz mnie! – krzyczy i nagle unosi się w górę. Ku powierzchni, ku światłu. Jest coraz bliżej. Zaraz to się skończy, zaraz... I wtedy zalewa ją światło. Oślepiający blask. Zasłania ręką oczy, odwraca twarz. Parzy. To nie światło, to ogień, który pali skórę, topi ją. Kropla po kropli odrywa się z jej dłoni i spada głucho, prosto w ciemność. Słyszy ją. Słyszy jej pulsowanie. Tuż pod powierzchnią.

– Asia, obudź się! – Michał zapalił lampkę nocną i usiadł na łóżku. – To atak? Przynieść ci coś?

Z trudem potrząsnęła głową. Miała zlepione wargi. Zabolało, gdy zmusiła się, by otworzyć usta.

– Nie, to tylko sen – wyszeptała i opadła z powrotem na poduszkę.

– Przyniosę ci wodę.

Wrócił po chwili z kubkiem i spojrzał na nią zaniepokojony.

– Jesteś pewna, że to tylko sen? Może jednak coś połkniesz?

Upiła łyk i skrzywiła się. Smakowała gorzko, jak ta czarna woda z jeziora. Zajrzała do kubka. Nie, to była zwykła woda. Czyli jednak się obudziła. Odetchnęła z ulgą.

– Nie trzeba, wszystko już w porządku. Po prostu połóż się obok i obejmij mnie, dobrze?

Michał chciał zgasić lampkę, ale na samą myśl o ciemności przeszedł ją dreszcz. W końcu zasnął przy włączonym świetle, obejmując żonę ramieniem. Asia trzymała go kurczowo za rękę i nie zmrużyła już oka do rana. W ciszy, jaka panowała w mieszkaniu, wyraźnie słyszała miarowy, niespieszny chlupot fali rozbijającej się o brzeg.

Kiedy zrobiło się jasno i zadzwonił budzik, Michał ostrożnie wyplątał się z objęć Asi i poszedł do łazienki. Przyglądała mu się spod przymrużonych powiek. Zastanawiała się, czy powiedzieć mu prawdę. Nie czuła się dobrze, właściwie to z każdą chwilą czuła się coraz gorzej i bała się wsiąść za kierownicę. Miała jechać po Milę, miało być lepiej, wszystko miało wrócić do normy, a teraz...

– Nie śpisz? – zapytał cicho, na co ona potrząsnęła bez słowa głową. – Nie wyglądasz najlepiej. Czekał, spróbuję dodzwonić się do matki. Pewnie coś doradzi.

Wyszedł z telefonem do salonu. Słyszała jego głos jak przez mgłę, nie miała nawet siły się podnieść. Dodzwonił się, czyli mogła porozmawiać z Milą.

– Mila – wyszeptała, gdy znów wszedł do sypialni z telefonem przyciśniętym do ucha i kubkiem w ręku.

Zawahał się. W końcu odstawił kubek i wyciągnął w jej stronę komórkę.

– Jest fatalny zasięg – ostrzegł. – Co chwilę przerywa.

Złapała kurczowo aparat.

– Mila? Mila, kochanie, jesteś tam? – wychrypiała, ale usłyszała jedynie ciszę, a potem buczenie. Komórka wypadła jej z ręki. Asia wtuliła twarz w poduszkę i rozplakała się.

– Daj spokój, kotku. – Michał gładził ją po plecach. – Wrócę z pracy i spróbujemy zadzwonić jeszcze raz, dobrze? No już, przestań. Mama zdażyła mi powiedzieć, co powinnaś wziąć. Tu masz tabletkę i wodę do popicia. Weź, poczujesz się lepiej.

Przełknęła posłusznie. I tabletkę, i woda miały gorzkawy posmak.

– Cholerka, pewnie wziąłem kubek po soku grejpfrutowym. Przepraszam, mój błąd. – Michał nachylił się nad nią i pocałował ją ostrożnie w czoło. – Lepiej?

Zmusiła się do uśmiechu.

– Nie, to ja przepraszam – odezwała się cicho. – Za tę noc i za wczorajszy wieczór.

Mieliśmy go spędzić razem, a ja zasnęłam. Nie chciałam, przepraszam – powtórzyła, ściskając go za rękę. – Jakoś dziwnie się czuję, wiesz? Boli mnie głowa... Nie, właściwie to mnie nie boli, tylko czuję się tak, jakbym...

– Co takiego?

– Nie, nic. Po prostu jestem trochę zdezorientowana. Idź do pracy, pogadamy później.

Tabletka zadziałała. Asia obudziła się trzy godziny później i usiadła niepewnie na łóżku. Dotknęła palcami czoła. Miała chropawą skórę. Czuła ją pod palcem, chociaż nie była wcale pewna, że to jej czoło. W głowie szumiało, w lewym uchu słyszała irytujący pisk, jaki czasem pojawiał się przy zmianie ciśnienia. Potrząsnęła kilka razy głową, poruszała szczęką, ale pisk tylko się nasilił. Zakłęta cicho i spojrzała na budzik stojący na stoliku nocnym Michała. I dopiero wtedy zorientowała się, że coś naprawdę jest nie tak. Jej spojrzenie zlepiało przedmioty, ręka wtopiła się w kołdrę, kołdra przywarła do ramy łóżka, a łóżko zrosło się z szafką. Budzika już nie dojrzała – rozlał się i została z niego jedynie plama powoli wsiąkająca w blat.

– Ja pierdolę – jęknęła. – Co się ze mną dzieje?

Zamknęła oczy, policzyła do dziesięciu i otworzyła ponownie. Teraz spływał już cały pokój, wirował jak woda uciekająca z wanny po wyciągnięciu korka i wpadał do łóżka. Na kołdrze widziała fragmenty ścian, szafy, ubrań i ręczników, kotłowały się i mieszały, trudno było dostrzec, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie. Aśka zacisnęła powieki i ostrożnie położyła się na poduszce. Pod palcami czuła zwykłą poszewkę. To tylko wzrok płatał jej figle.

Musiała zasnąć. Nie wiedziała, jak długo spała. Za oknem zaczęło robić się szaro. Kiedy spuściła bose stopy na dywan, zorientowała się, że wszystko wygląda już normalnie. Może to był tylko sen? – pomyślała. Tak, na pewno śniły mi się jakieś bzdury. Ciąg dalszy koszmarów. Niepotrzebnie zjadłam tyle mięsa na kolację.

A jednak gdy wstała, pokój lekko zafalował. Przytrzymała się ściany, żeby się nie przewrócić. Z trudem dotarła do kuchni. Po czarnej herbacie poczuła się lepiej, choć wciąż miała na języku ten gorzki smak co w nocy. I w ogóle nie była głodna, chociaż dochodziła już szesnasta. Asia trzy razy zerknęła na zegar, nie wierząc w to, co widzi. Wreszcie powlekła się do łazienki. Chciała choć trochę się ogarnąć, zanim Michał wróci z pracy i zobaczy ją w takim stanie. Powinna iść jutro rano do przychodni i zrobić sobie badania krwi. Może w szpitalu złapała jakąś bakterię?

Przypomniała sobie coś, kiedy weszła pod prysznic i odkręciła wodę. Pierwsze zimne krople spadły na ciało i odruchowo się cofnęła, przywierając plecami do chłodnej ściany. Tata. Dokładnie tak stał wtedy tata. Zobaczyła go w szparze drzwi. Mama uchyliła je i zajrzała do środka, kiedy Asia wychodziła ze swojego pokoju. Przez chwilę ujrzała brzeg białej wanny, słuchawkę prysznicową wiszącą na ścianie i kredowobiałą twarz ojca. Stał w strugach wody, przywierając plecami do beżowych kafelków. Widziała krople ściekające mu z brody, dłonie, którymi próbował zasłonić twarz na widok matki. Ile to mogło trwać? Sekundę? Dwie? A jednak przejrzała go na wylot. Był taki bezbronny, samotny, odsłonięty. Joanna uczepiła się tego obrazu, trzymała się go kurczowo, przekonana, że zaprowadzi ją do kolejnej sceny, do kolejnego wspomnienia. Patrzyła znów na tatę i próbowała dojrzeć coś jeszcze, usłyszeć więcej niż tylko szum prysznic. Drzwi były brązowe i w górnej części miały mleczną kwadratową szybę. Gdzie to mogło być? W którym mieszkaniu? Ile miała lat? Zamknęła oczy i weszła pod strumień wody. Gdynia, to musiało być już w Gdyni, uświadomiła sobie. Jakoś na początku, zanim jeszcze zrobili remont w łazience i pozbyli się tych okropnych drzwi z brązową okleiną. Tak, wyrzucili też wannę i zrobili prysznic, żeby łatwiej było myć... babkę. Wstrzymała oddech. To było wtedy, gdy w domu pojawiła się babka! Asia puściła gorącą wodę. Szyba w kabinie niemal natychmiast zaparowała.

Pamiętała, że spędzała całe dni, łażąc po smaganej lodowatym wiatrem Gdyni. Były ferie zimowe i od marca czekało na nią miejsce w piątej A. Znowu nowa szkoła, nowi znajomi, nowe terytorium. Przywykła, tylko trochę żałowała Bartka. Trochę, bo po tym całym wypadku w szatni zaczęły krążyć różne plotki. Nie wiedziała dokładnie jakie, mama nie chciała ich powtarzać, a ludzie z paczki, z którą tak się trzymała, nagle przestali się do niej odzywać. Bartek zadzwonił, kiedy akurat pojechała do ciotki, a potem rozmawiała z nim tylko raz. Przyjechał do niej busem. Nawet nie wziął jej za rękę, stał w bezpiecznej odległości i pytał, jak się czuje, czy czegoś jej nie potrzeba. Musiał coś usłyszeć o niej, o zaburzeniach, wyczuła to w jego głosie. Powiedziała mu, że mama dostała pracę w Gdyni i w związku z tym wkrótce się przeprowadzą. Liczyła, że coś zrobi, podejdzie bliżej, obejmie ją, zapyta, czy będzie pisała, ale on tylko pokiwał głową. Myślała jeszcze o nim, siedząc na kamiennym murku na skwerze Kościuszki i gapiąc się na morze, jednak gdy tylko wyszła na Świętojańską, oniemiała na widok ciągu sklepów i po prostu o nim zapomniała.

Manekiny w ciuchach zupełnie innych od tych, które kupowały z mamą na bazarach, wydały jej się nagle tak bezpieczne, że zapragnęła wejść na wystawę, zdjęć

rękawiczki i objąć je. Przynajmniej niczego by nie zobaczyła, niczego nie poczuła. Każdego dnia włóczyła się po innej części miasta. Dotarła nawet do Orłowa i wspięła się na klif, choć na wszelki wypadek nie chwaliła się tym przed rodzicami. Miała sporo czasu dla siebie, bo mama siedziała w szkolnej świetlicy socjalnej, która działała mimo przerwy w nauce, a tata dostał pracę w porcie. Ciotka popytała znajomych i okazało się, że akurat potrzebują tam elektryka. Dzień po przeprowadzce już stawił się w robocie. Obiecał Asi, że zabierze ją kiedyś do portu i pokaże, jak się buduje statki, na razie mogła jednak robić, co tylko chciała. Pewnego popołudnia, gdy wróciła z wędrówki po plaży, z twarzą czerwoną od wiatru i łzami zamarzniętymi w kącikach oczu, przed drzwiami spotkała trzy kobiety. Czekaly na nią.

– Ty pewnie jesteś Joanna – odezwała się najmłodsza z nich, na oko dwudziestolatka, i wyciągnęła do niej rękę. – Marta Leś. Jesteśmy kuzynkami.

Asia popatrzyła na nią nieufnie, po czym powoli zdjęła prawą rękawiczkę i uściśnęła wyciągniętą dłoń. Poczowała mrowienie w palcach, a potem jej głowa wypełniła się obrazami dzieci obrzucających się śniegiem na podwórku przed niskim, pokracznym domem. W otwartych drzwiach stanęła tęga kobieta w chustce na głowie i kubraku narzuconym na kwiecisty, zapinany na guziki fartuch. Zawołała coś i cała gromadka wpadła ze śmiechem do środka. Jedno z nich podstawiło nogę najmłodszemu chłopcu, a ten pacnął twarzą w śnieg i rozplakał się. Kobieta podniosła go ostrożnie i poklepała po ramieniu. „Andrzej, nie mazgaj się, ino chodź” – powiedziała miękko.

Marta zabrała rękę i obraz zniknął. Kiedy Asia przyjrzała się jej dwóm towarzyszkom, w jednej z nich rozpoznała nagle tamtą kobietę w chustce na głowie. Była znacznie starsza, jej spojrzenie zdawało się trochę zamglone, ale to na pewno była ona. Cała trójka była zresztą do siebie podobna – miały te same oczy co tata.

– Jest Andrzej? To znaczy twój tata? – zapytała kobieta stojąca za Martą. Miała siwe włosy i pomarszczoną twarz, choć wyglądała na niewiele starszą od taty. – Nie? Nie szkodzi. My tylko przywiozłyśmy twoją babkę.

Zanim zdążyła zareagować, postawiły na wycieracze wypchaną torbę, skinęły głowami na pożegnanie i zeszły po schodach. Zdziwiona odprowadziła je wzrokiem, a potem spojrzała na babkę. Stała w tym samym miejscu, nie zwracając na nią uwagi. Asia podniosła torbę, otworzyła drzwi i popchnęła lekko staruszkę do środka. Kobieta nie protestowała. Weszła do kuchni i usiadła na pierwszym z brzegu krześle. W takiej pozycji znalazł ją syn dwie godziny później, gdy wrócił z pracy.

Tego dnia po raz pierwszy i ostatni w życiu ojciec upił się w domu. Asia siedziała

w swoim pokoju ze słuchawkami na uszach. Stojąc pod prysznicem, nie mogła sobie przypomnieć, co to była za muzyka, ale stawiała na Turnaua albo Stare Dobre Małżeństwo, chyba tego wtedy słuchała. Poszła do siebie, gdy tylko ojciec wrócił z pracy. Wcześniej cały czas spędziła w kuchni, nie spuszczać babki z oka.

Nie знаła jej, nie wiedziała, czego może po niej oczekiwać, chociaż ona w ogóle się nie ruszała. Patrzyła tylko przed siebie, a w niebieskich rozmytych oczach odbijało się blade światło z za okna. Jakby ktoś wyłączył ją z prądu. Asia nie mogła doczekać się powrotu rodziców. Podciągnęła kolana pod brodę i oparła się wygodniej o krzesło. Dzielił je tylko blat stołu. Gdyby wyciągnęła rękę i dotknęła jej pomarszczonej i suchej jak pergamin dłoni, dowiedziałyby się wszystkiego, ale coś ją przed tym powstrzymało. I dobrze, bo wtedy nie była jeszcze na to gotowa. Usłyszała kroki na schodach, potem klucz w zamku, kichnięcie i głuchy dźwięk, z jakim kurtka wyslizgnęła się tacie z rąk i spadła na podłogę. Pochylił się z jękiem i podniósł ją. Strzepnął, schował do szafy i zatrzymał się przed otwartymi drzwiami pokoju córki.

– Asia? Jesteś? – zapytał, kierując się w stronę kuchni.

Na widok staruszki zrobił dokładnie taką minę, jakiej się po nim spodziewała. Po prostu zamarł. Rysy twarzy nagle mu się wyostriły i zastygły. Nie mrugnął, nie przełknął śliny, nie uniósł nawet brwi. Dopiero kiedy Aśka odsunęła głośno krzesło i wstała, popatrzył na nią ze zdziwieniem. Jakby nie pasowała do tego obrazka. Jego matka i córka należały do dwóch różnych światów, tak jak i jego życie: przed ucieczką z domu i po niej. Nie przewidywał, że jeszcze kiedykolwiek się spotkają. A jednak.

Minęła go bez słowa i poszła do siebie. Było jej go żal, wyglądał na kompletnie zagubionego. Dokładnie tak jak wieczorem, gdy matka po powrocie do domu zobaczyła obcą kobietę, a potem ojca pijącego na umór w kuchni, i wszystkiego się domyśliła. Kazała mu iść pod prysznic.

– Hej, długo już tak tu stoisz?

Przestraszona gwałtownie podniosła głowę i przez zaparowaną szybę kabiny dojrzała zarys sylwetki Michała.

– Jak możesz wytrzymać w tej saunie? Otworzę drzwi, żeby trochę się wywietrzyło, a ty już wychodź.

Przetarła ręcznikiem lustro. W rozmazanej smudze na moment pojawiła się jej twarz, a potem znów zasnuła ją para.

– Wiesz, co sobie właśnie przypomniałam? – powiedziała, wchodząc do salonu i owijając głowę ręcznikiem.



Michał nalewał piwo do szklanki. Drgnął, kiedy się odezwała, i spieniony napój chlapnął na podłogę.

– Jezu, przestraszyłaś mnie – mruknął, wycierając plamę. – Chcesz wina?

– Wolałabym herbatę. Wciąż nie najlepiej się czuję po wczorajszej kolacji. Albo zaszkodziło mi połączenie kaczki i pomarańczy, albo złapałam coś w szpitalu i teraz to ze mnie wychodzi. Dodzwoniłeś się do rodziców? Co u Mili? Nie tęskni za nami? – zapytała, kładąc się na sofie i przykrywając kocem.

Przespała pół dnia, a wciąż kleiły jej się oczy. Słyszała, jak Michał nalewa wody do czajnika i stawia go na kuchence, otwiera puszkę i wsypuje do kubka herbatę. Wreszcie podszedł i usiadł przy niej.

– Udało mi się złapać zasięg koło południa. Mila dobrze się tam bawi. Łazi z dziadkiem po lesie i szuka grzybów. Podobno z uporem maniaka zbiera same muchomory. Chyba nawet katar zaczyna jej przechodzić. Powinni ją przywieźć za dwa, trzy dni. O ile będziesz się dobrze czuła. Asia? Kochanie?

Mówił coraz ciszej, a ona odpływała. Ostatnie słowa krążyły po pokoju, odbijały się od ścian i lądowały miękko na dywanie. Docierał do niej tylko szum, szeleszczące sylaby przyplływały i odpływały jak fale. Michał otulił ją kocem, wziął piwo i poszedł do sypialni oglądać film. Zaglądał do niej jeszcze ze trzy razy, ale spała tak twardo, że nie chciał jej budzić. Kiedy się ocknął, dochodziła druga trzydzieści. W pierwszej chwili pomyślał, że na pewno już położyła się do łóżka, i wyciągnął rękę, żeby przygarnąć ją do siebie, ale jej nie było. Ile to jeszcze potrwa? Dzień? Tydzień? Miesiąc? Nawet matka nie potrafiła mu tego powiedzieć. Zależy, jak organizm zareaguje na leki, mówiła i wzruszała ramionami. Trzeba czekać i obserwować. Więc czekał, nic innego mu nie zostało.

Asia przebudziła się tylko na chwilę. Chciało jej się pić. Na stoliku stał kubek z zimną herbatą. Smakowała okropnie, ale i tak wypła ją duszkiem. Odstawiony kubek brzęknął głośno i wtedy zdała sobie sprawę z tego, że wciąż jest w salonie. Leżała w szlafroku pod kocem, mokry ręcznik zsunął się z jej włosów i zwisał z oparcia. Było cicho. Tylko zegar w przedpokoju miarowo tykał. Asi przemknęło przez myśl, żeby zwlec się z sofy, pójść do sypialni, wejść pod kołdrę i położyć się obok Michała, zamiast tego jednak po prostu zamknęła oczy. Chwilę później usłyszała czyjeś kroki. Ktoś był w przedpokoju. Bose stopy odklejały się od podłogi z cichym plaśnięciem, kiedy powoli, ostrożnie zmierzał w jej stronę, trzymając się ściany.

To nie mógł być Michał. Asia spojrzała na drzwi. Jaśniały w mroku. Padało na nie światło ulicznej latarni, ale przedpokój tonął w ciemnościach. Mimo to wiedziała, że ktoś tam jest. Słyszała go. Lekko sapał, jakby oddychał przez otwarte usta. Mogła coś zrobić, krzyknąć, zawołać męża, zapalić światło, ale zamiast tego skuliła się na sofie i spod koca wpatrywała się w czarną otchłań. Nie czekała długo. Dłoń sunąca po ścianie dotarła do futryny i Asia zobaczyła na drzwiach palce. Wyłoniły się z mroku i zastygły w bezruchu, a zaraz po nich stopy z zakrzywionymi paznokciami. Widziała je wyraźnie w blasku latarni wpadającym zza okna. I już wiedziała, kto to jest.

Babka stała w progu przez dłuższą chwilę, a potem sapnęła i ruszyła przed siebie. Szła przez środek pokoju, wyciągnięte na boki ręce nie dotykały już ścian, jednak nie opuściła ich, palce sunęły dalej w powietrzu. Potykała się, uderzyła biodrem o fotel, jęknęła i wciąż szła, prosto do niej. Miała na sobie jedynie koszulę nocną brudną od kału, ciemne smugi na nogach wiodły aż do stóp. Poruszała ustami, jakby się modliła, chociaż przestała to robić już dawno temu. Bóg i wszyscy święci, którzy czuwali nad całym jej życiem, zatonęli w gęstym mroku, pogubiła ich tak samo jak słowa i bliskich, ale ciało zapamiętało układ warg i babka odmawiała koronki, kiedy co noc przemierzała mieszkanie. Czasem zawodziła cichym monotonnym głosem i zawsze, prędzej czy później, docierała do niej i stawała nad jej łóżkiem.

Zaczęło się już pierwszej nocy. Rodzice rozłożyli dla staruszki kanapę w dużym pokoju, położyli się spać i zgasili światło. Czuwała tak długo, aż wszyscy zasnęli. Prowadziły ją dłonie, wyznaczały drogę wzdłuż ścian i mebli, omijały przeszkody, pokazywały, jak trafić do wnuczki. I trafiała. Asia budziła się zawsze w samą porę, by w ciemnościach pokoju zobaczyć dwie czarne plamy. Oczy babki, za dnia niemal przezroczyste, jakby niebieski kolor całkiem już się wypłukał i zwietrzał, nocą zamieniały się w gorejącą czerń. Stała nad łóżkiem i patrzyła na wnuczkę, a potem otwierała usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale z dołu Asia widziała tylko równie czarne podniebienie. Nie, nie bała się babki – była przerażona. Tak jak teraz, gdy leżała sparaliżowana strachem. Babka wyciągnęła dłoń i dotknęła lekko jej policzka. Nachyliła się nad nią. Asia poczuła oddech, gorący i suchy, smród kału i niemytego ciała. Czarne obwódki pod paznokciami uniosły się jak do ciosu. Zamknęła oczy.

Wiedziała, że cokolwiek teraz się zdarzy, nikt jej nie przyjdzie z pomocą. Wtedy rodzice też nie uwierzyli w opowieści o staruszce wędrującej nocą po mieszkaniu i zakradającej się do jej pokoju. Mama głaskała córkę po włosach, mówiąc, że to tylko sen, przecież babka ma demencję, zapomniała nawet, kim jest. Trzeba ją karmić, myć i sadzać na sedesie.

– Śniło ci się, Asiu – uspokajała mama, a tata kiwał głową.

Woleli nie wiedzieć tego, co ona – że bez względu na to, czy babka kojarzyła, co się dzieje, czy też nie, każdej nocy próbowała dostać się do wnuczki. Wejść w nią, pochłonąć ją. I tego właśnie Joanna bała się najbardziej: że pewnego dnia obudzi się zamknięta w ciele babki. Poczwała na twarzy jej oddech. W szeroko otwartych ustach coś się poruszyło.

To już, pomyślała i pochłonęła ją ciemność.

Kiedy Michał wszedł rano do kuchni, Asia siedziała przy stole i piła kawę. Nie smakowała jej, ostatnio wszystko miało okropny gorzki smak. Bez słowa podsunęła mu filiżankę i poklepała dłonią krzesło obok.

– Siadaj. Zrobiłam ci kawę. Tylko najpierw spróbuj, bo mam wrażenie, że się zepsuła czy coś.

Michał upił łyk i pokręcił głową.

– Nie, jest w porządku. Dzięki. Spałaś tutaj przez całą noc? – Skinął w stronę sofy. – Brakowało mi ciebie w łóżku, ale nie chciałem cię budzić. Odpoczęłaś przynajmniej?

Po koszmarze sennym z babką ze strachu nie mogła już zasnąć. Gdy tylko zamykała oczy, natychmiast widziała nad sobą szeroko otwarte bezzębne usta i wylewającą się z nich ciemność. Nie, zdecydowanie nie odpoczęła.

– Średnio. – Skrzywiła się i odstawiła filiżankę. – Nie wiem, jak można pić tę kawę. Jest okropna.

– Zostaw, ja ją wypiję. Potrzebuję więcej kofeiny. Też kiepsko spałem. – Ziewnął i przeciągnął się. – Może zrobię ci śniadanie? Co byś zjadła? Jajka? Płatki? Może jajecznicę? Obawiam się, że na tym kończy się mój repertuar kulinarny.

Stańto na płatkach owsianych z imbirem, kurkumą i suszonymi pomidorami, czyli najbardziej zniechęcającym śniadaniu Mili. Kiedyś pomyliła miseczki i zamiast zjeść swoje płatki z kakao i rodzynekami, spróbowała jej zestawu. Nie skończyło się to najlepiej. Asia uśmiechnęła się na wspomnienie awantury, jaką zrobiła córka, a potem poszła obmyć twarz. W łazience aż jęknęła na widok swojego odbicia. Była blada, opuchnięta i miała suche, spierzchnięte wargi. Zamierzała tuż po śniadaniu wziąć porządny prysznic i wyjść wreszcie z domu, ale kiedy już zjadła połowę porcji i zamknęła drzwi za Michałem, ledwo dała radę dojść do sypialni. Śnił jej się tata, taki, jakiego pamiętała z czasów dzieciństwa. Chudy, żyłasty, z bujną czupryną i ciemną brodą, w której pobłyskiwały pojedyncze srebrne nitki. Był tak wysoki, że musiała

zadzierać głowę, choć w rzeczywistości przerastał mamę zaledwie o dwa, trzy centymetry. Dogoniła ich wzrostem szybko, chyba już w wieku piętnastu lat. Jakoś wtedy musiał pozbyć się brody, ale jeszcze przez długie lata podnosił dłoń i próbował złapać coś, czego już dawno nie było. Przyłapany, śmiał się ze swojego nawyku. Lubiła jego śmiech, tym bardziej że rzadko go słyszała. Nie chodziło o brak poczucia humoru – nic z tych rzeczy. Tata znał mnóstwo dowcipów, był zabawny, czasem ironiczny, a nawet sarkastyczny. Po prostu się nie śmiał. Śmiech się go nie trzymał, tak jak gładko ogolone policzki. Zawsze po godzinie od golenia wyrastały mu pierwsze twarde i ostre włoski. Właściwie mógłby znów zapuścić brodę, byłoby to wygodniejsze, ale matka wolała go w tej wersji, a dla niej zrobiłby wszystko. Przynajmniej jeszcze wtedy.

Kiedy Aśka zaczęła studia w Toruniu, ojciec postarzał się. Przyjeżdżała na weekendy i opowiadała mu o życiu w akademiku, studentach wyrzucających w czasie sesji telewizory przez okna i wykładowcach wyrzucających indeksy przez drzwi. Zawsze dodawała coś od siebie, ubarwiała historie, wszystko, byle tylko się uśmiechnął i w kącikach oczu pojawiły mu się kurze łapki. Przyglądała się jego zmarszczkom i czerwonym żyłkom przecinającym skórę, wpatrywała z niepokojem w lekko przekrwione oczy. Starzał się. Nie tak jak matka, której z wiekiem przybywało energii. On się kurczył, zapadał w sobie. Z każdą wizytą w domu miała wrażenie, że jest go coraz mniej. Wiedziała, że to przez babkę. Nie potrzebowała do tego daru, zresztą wtedy już go straciła dzięki lekarstwom od ciotki – po prostu widziała, co się z nim dzieje, kiedy zaczyna mówić o swojej matce, kiedy ją karmi, myje i wysadza. Ona zabierała mu wszystkie siły, wysysała je.

Asia w tajemnicy przed rodzicami poprosiła o pomoc ciotkę. Ania nie była do tego przekonana, uważała, że opieka nad zdemencjalną staruszką dobrze im robi, od kiedy ich jedyne dziecko wyjechało na studia. „Mają wspólny cel – mówiła. – Nie kosztuje ich to za wiele pracy, jeśli dzielą się obowiązkami, a dzięki temu potrzebują się nawzajem, rozumiesz?”. Oczywiście, że rozumiała, ale nie mogła już dłużej patrzeć na niknącego w oczach ojca. Ania westchnęła i ostatecznie przyznała jej rację.

Tydzień później ciotka znalazła miejsce w prywatnym domu opieki na gdańskiej Zaspie. Babka dostała łóżko po maleńkiej, wysuszonej na wiór Stefanii o długich siwiuteńkich włosach. Poprzedniego dnia wynieśli ją z pokoju na noszach, ukrytą pod prześcieradłem w niebieskie kwiatki – takim samym, jakie leżało na łóżku babki, kiedy razem z matką pomagała jej się przebrać w koszulę nocną. To była pierwsza i ostatnia wizyta Asi w tym miejscu. Ojciec nigdy nie nalegał, by tam jeździła, sam

musiał walczyć ze sobą, by odwiedzić matkę. Pewnego razu, kiedy wrócił z Zasp, usiadł przy kuchennym stole i otworzył flaszkę wódki. Zapytał, czy do niego dołączy, a ona się roześmiała. Nawet nie chciała sobie wyobrazić, co by było, gdyby ciotka dowiedziała się, że jej pacjentka miesza tabletki z alkoholem. Tata wypił pierwszy kieliszek i od razu ponownie go napełnił. Gdzieś między drugim a siódmym opowiedział jej swoją historię.

Jako czternastolatek uciekł z rodzinnej miejscowości pod Radomiem i nigdy już tam nie powrócił. Był najmłodszy z całej szóstki, a odkąd ich matka zaczęła świrować, reszta przestała zwracać na niego uwagę. Ojca nigdy nie poznał, nie zdążył. Matce nie udało się go zatrzymać, chociaż najmłodszemu dziecku dała tak samo na imię. Być może dlatego rodzeństwo widziało w małym Andrzejku namiastkę taty, który ich zostawił, porzucił jak śmieci po obozowisku i poszedł, nie oglądając się za siebie. Andrzejek przez pierwsze sześć lat szukał schronienia przy matczynej spódnicy. Matka zawsze go broniła, wycierała łzy, okrywała mokrą szmatką siniaki i przykładła zimny nóż do guzów na czole. A potem coś zaczęło się z nią dziać. Coś złego. Wychodziła nocą w samej koszuli i wędrowała po okolicznych polach. Czasem jakiś pijak wracający po ciemku do domu widywał białą zjawę pośród drzew. Żegnał się i przyspieszał, byle dalej od błakającej się kostuchy. Czasem sąsiedzi wstający przed świtem do pracy przyprawiali ją pod drzwi ubłoconą, drżącą z zimna. Dzieci kładły ją do łóżka i trzymały się z daleka, dopóki nie spojrzęła na nie normalnym wzrokiem. Tylko Andrzejek wsuwał się pod kołdrę i przywierał do matki, nie puszczał jej ręki, nawet jeśli nie odwzajemniała uścisku, leżała sztywna i zimna, zupełnie obojętna na to, co działo się wokół. A w końcu przestała się budzić. Kręciła się po domu z tym rozmytym, nieobecnym spojrzeniem, przestawiała garnki i krzesła, upychała łyżki po kieszeniach, czasem biła na oślep. Musieli ją wtedy przywiązywać do łóżka.

– To przez ciebie – powiedziała mu kiedyś Marianna, starsza o rok siostra. – Gdyby cię w porę spędziła, ojciec by został i nic z tego – machnęła ręką w stronę matki – by się nie wydarzyło.

Kiedy się dowiedział, co oznacza słowo „spędziła”, uciekł z domu. „Uciekł” to za dużo powiedziane. Po prostu spakował kilka drobiazgów do szkolnego plecaka i wyszedł. Nikt go nie zatrzymywał. Od tamtej pory nie miał z nimi żadnego kontaktu – aż do tamtego dnia, kiedy Marianna z córką przywiozły mu matkę.

Ewa nigdy się nie przyznała, że adres dostały od niej. Kiedy już osiedli w Gdyni, a Asia zaczęła brać leki i skończyły się jej widzenia, Ewa uwierzyła, że to nowy rozdział w ich życiu. Że odtąd wszystko zacznie się układać, że skoro nie muszą już

walczyć z terażniejszością, mogą zacząć naprawiać przeszłość. Trochę jej zajęło, zanim znalazła kogoś z rodziny męża. Lesiów w Hucie Mazowszańskiej było jak psów. Obdzwoniła wszystkich. W pięciu przypadkach trafiła pod zły adres, w trzech ktoś odłożył słuchawkę, gdy tylko wspomniała o Andrzeju. Dopiero kiedy telefon odebrała Marta, Ewa poczuła, że to jest ten moment – moment, od którego zaczyna się nowy rozdział.

I rzeczywiście się zaczął: w dniu, w którym teściowa zjawiała się w ich domu. Wtedy jeszcze nie spodziewali się, że to najdłuższy rozdział, z jakim przyjdzie im się zmagać. Matka Andrzeja przeżyła najmłodszego syna, przeżyła większość pensjonariuszy domu opieki, bo odkąd ją tam ulokowali, wszyscy zaczęli wymierać. Padali jak muchy, po dwóch, trzech dziennie. To było jak plaga. Zjawiali się nowi, przecież zawsze ktoś czekał na miejsce, i powoli zaczynali opadać z sił. Jakby ktoś ich wysysał. Tak właśnie powiedziała Ewie jedna z pracujących tam pielęgniarek. Podobno dom przestał cieszyć się popularnością, miał niezbyt dobre opinie, musieli podnieść opłaty, żeby przetrwać. Ewa znów zadzwoniła do Marty i powiedziała twardo, że albo wszyscy zaczną składać się na opiekę nad starą Lesiową, albo zajmą się nią sami. Andrzej już wtedy nie żył od dwóch lat, ona nie zamierzała ciągnąć tego sama. Marta obiecała porozmawiać z innymi i ustalono grafik wpłat. A Lesiowa wciąż żyła.

Matka opowiedziała jej to wszystko podczas jednej z kłótni, w którą zamieniały się ich szczerze rodzinne rozmowy. Zaczęło się jak zawsze – od pytania, kiedy wreszcie odwiedzi babkę. Joanna była dorosła, sama miała córkę, nareszcie poczuła się pewnie w roli matki, a jednak wciąż nie potrafiła wyjść ze starej, niekomfortowej już roli dziecka. Bez względu na to, jak precyzyjnie zaplanowała sobie rozmowę z mamą, ile dyskusji odbyła na ten temat z Michałem, zawsze kiedy siadała z nią przy jednym stole, zaciskała zęby i przygotowywała się do ucieczki. Nie umiała pozbyć się tego szczeniackiego odruchu. Nigdy nie potrafiła się z nią porozumieć, ojcu opowiadała o każdej, nawet najbardziej niewygodnej czy krępującej rzeczy, ale przy matce wszystko się w niej zamykało. Zostawała tylko wąska szpara, przez którą sączył się zapiekły gniew. I jeszcze żal, i strach przed odrzuceniem, do czego przyznała się sama przed sobą po latach rozmów z Michałem. Ta mieszanka uczuć zawsze doprowadzała do kłótni z matką, więc bezpieczniej było się zamknąć i ograniczyć do gadek o pogodzie.

W tym też była dobra.

– Nie wyglądasz najlepiej – stwierdził ostrożnie Michał tego wieczora, kiedy przyszedł z pracy z indyjskim jedzeniem na wynos. Położył styropianowe pudełka na stoliku w salonie i objął ją. – Martwię się o ciebie, kochanie. Wychodziłaś dzisiaj w ogóle z domu? Może po obiedzie pójdziemy na spacer?

Joanna podeszła do okna balkonowego. Wiatr przygnał poszarpane bure chmury, które straszyły śnieżycą, chociaż od rana mżyło. Drzewa już dawno straciły wszystkie liście i nagie gałęzie wygrażały całemu światu. Jeszcze przed godziną zobaczyłaby rzekę oblizującą brzegi i przy takim wietrze podtapiającą łąkę, ale teraz dostrzegła jedynie sylwetkę biegacza rozciągającego się na wprost ich okna. Nasunął na głowę kaptur i pobiegł dalej, a za nim podążył śmieszny kudłaty pies.

– No wiem, pogoda dziś nie rozpieszca, ale do wiosny zostały nam jeszcze cztery miesiące. Kiedyś będziesz musiała wyjść – zażartował Michał, obejmując ją od tyłu.

Widziała teraz w szybie ich niewyraźne odbicia – on wysoki, z burzą jasnych włosów i niebieskimi oczami, ona ciemna i ponura, sięgająca mu do ramion. Oparła głowę o jego klatkę piersiową. Usłyszała bicie serca.

– Spójrz na sokoła Landowskich. Przypomina raczej mokrą kure, nie sądzisz?

Popatrzyła na balkon sąsiadów po lewej. Był bardziej wysunięty niż ich, więc z okna mieli doskonały widok na życie rodzinne wystawione na pokaz. Dzieci, nastolatek i dziewczynka mniej więcej w wieku Mili, prowadziły tam latem długie rozmowy przez telefon. Chłopak zazwyczaj wymykał się, by poza zasięgiem ucha rodziców zadzwonić do swojej dziewczyny, dzięki czemu Aśka sporo się nasłuchiwała na temat prezerwatyw i tego, co by zrobili, gdyby tylko mieli mieszkanie wyłącznie dla siebie. Musiała przyznać, że młody ma bogatą wyobraźnię erotyczną. Kiedy dzieci wyjechały na wakacje, odkryła, po kim ją odziedziczył. Wieczorami zza ściany dochodziły do nich odgłosy przesuwanych mebli i namiętne okrzyki. Aśka musiała też zamykać okno w sypialni, bo kiedy sąsiad szczytował, nie dawało się spać. Michał z uznaniem spoglądał na zegarek i liczył minuty, ale po dwudziestej doszedł do wniosku, że to niemożliwe i pewnie sąsiedzi oglądają po nocy porno. Poza tym zachowywali się poprawnie, w niedzielę jadali śniadania na balkonie, słuchali niezbyt głośnej muzyki i nie palili, w przeciwieństwie do sąsiadów po prawej. Oraz jako pierwsi postawili na balustradzie plastikowego sokoła do odstraszenia gołębi. Gołębie co prawda niewiele sobie z niego robiły i tak jak dawniej zlatywały się i obsrywały cały balkon, ale przynajmniej raz na godzinę, kiedy wydawał przenikliwy pisk, zrywały się do lotu

i krążyły nad osiedlem, srając na samochody zaparkowane pod domami. Dziś padający od rana deszcz splukał resztki guana, zniechęcił ptaki do eksploracji terenu i zmoczył samotnego sokoła, który rzeczywiście przypominał zmokłą kurę. Z dzioba zwisała mu pojedyncza kropla.

– A może zaprosimy Ważyków? – zaproponował. – Dawno już się z nimi nie widzieliśmy.

W każdej innej sytuacji bez wahania by się zgodziła. Lubiła Ważyków. Michał przyjaźnił się z Markiem od liceum, a Jagoda od razu ją zaakceptowała i nawet jeśli informacja o tym, że dziewczyna kumpla jest wariatką, zrobiła na niej wrażenie, to nie dała tego po sobie poznać. Ważykowie mieli dwie córki, jedną o trzy lata starszą od Mili, a drugą o rok młodszą. Dzieciaki uwielbiały się razem bawić, więc często rodziny spędzały wspólnie sobotnie popołudnia. Panowie prześcigali się w zabawnych anegdotkach i nalewaniu sobie nawzajem alkoholu, dzieci nie ustawały w próbach rozniesienia mieszkania, a kobiety rozmawiały o książkach, filmach i problemach małżeńskich. Tak, z chęcią by się z nimi spotkała, tylko najpierw musiałyby się zmusić do posprzątania chałupy. Samotna kropla dyndająca na końcu dzioba plastikowego sokoła zakołysała się na wietrze. Joanna z trudem oderwała od niej wzrok i stanęła przodem do Michała. Musiała zrobić krok w tył, żeby nie zadzierać głowy.

– Może lepiej wprośmy się do nich. Nie chce mi się ogarniać tego wszystkiego. – Zatoczyła ręką wokół.

– Istnieje spora szansa, że Jagoda odpowie mi tak samo. To może się podzielimy? Ja posprzątam łazienkę, a ty salon. Drzwi do pozostałych pomieszczeń zamkniemy i damy Ważykom po łapach, jeśli zechcą je zwiedzać.

– Dodaj jeszcze do tego zakupy i jakoś się dogadamy – rzuciła, a on prychnął.

– Twarda z ciebie sztuka. Może podeślę ci moich pracowników na szkolenie z negocjacji? Ej, ej, co ty robisz? – zawołał z komicznym oburzeniem, kiedy zdjęła z półki pierwszą lepszą książkę i pomachała mu nią przed nosem. – Przecież mieliśmy iść na spacer.

Aśka minęła go bez słowa i zerknęła na okładkę. Irving. Uwielbiała go. Znała wszystkie jego książki i wracała do nich raz po raz. *Świat według Garpa* mogła cytować z zamkniętymi oczami, tak samo *Regulamin tłoczni win*. Zmusiła Michała, by obejrzał z nią ekranizację. Sześć razy. Zasnął w połowie filmu już za pierwszym. Nie odnajdywała w jego oczach zrozumienia, gdy mówiła, że potrzebuje tych historii do



życia, są jej niezbędne jak tlen, nadają odpowiedni rytm pulsowi. W salonie rozszedł się intensywny zapach curry. Michał włożył jedzenie do piekarnika i poszedł do sypialni, żeby zadzwonić do Jagody. Słyszała zza ściany jego śmiech. Otworzyła książkę na pierwszej stronie. „Wyobraźcie sobie młodzieńca mającego ulec wypadkowi, wypadkowi trwającemu krócej niż trzydzieści sekund, w wyniku którego straci lewą...”. Ziewnęła. Ogarnęła ją senność. Przeskoczyła kilka zdań i spróbowała znów od: „Promotorka jego pracy magisterskiej, dobrze się czując w roli eksperta, uważała, że pewne znaczenie dla przyszłych losów naszego boha...”. Nie, nie była w stanie nawet powtórzyć pierwszych słów.

Nie poddawała się, przekartkowała książkę, licząc, że po prostu wskoczy w pewnym momencie w nurt opowieści i popłynie z prądem, ale ta stawała się coraz cięższa i powoli opadała jej na kolana. Michał skończył rozmowę słowami: „To do jutra”, więc czekało ją jednak sprzątanie salonu. Zamknęła oczy i zrezygnowana położyła głowę na oparciu sofy. Chciała coś powiedzieć, kiedy zadzwonił telefon i Michał wrócił do sypialni. Tym razem nie usłyszała nic. Posłała mu zaciekawione spojrzenie, gdy wszedł do salonu dobre pięć minut później. Miała nadzieję, że poda jej komórkę i wreszcie usłyszy głos Mili. Niestety już skończył rozmowę.

– Kto dzwonił?

Popatrzył na nią tak, jakby nie zrozumiał pytania.

– Przecież ktoś dzwonił. Kto? – powtórzyła z rozbawieniem.

– A, Jagoda – odparł. – Obgadała to z Markiem i potwierdziła. Będą jutro po osiemnastej. Bez dzieci. Wyobraź sobie, że zatrudnili opiekunkę, jakąś studentkę. Siedzi z młodą, ale starsza też ją lubi i rywalizuje z siostrą o jej uwagę. Mają wesoło. Co czytasz?

Podszedł do sofy i klapnął obok Aśki.

– Boże, jestem skonany. Zjemy i kładę się do łóżka. Będziesz czytać do późna czy też – położył palec na otwartej książce i przesunął w dół strony – położysz się ze mną?

Ostatnie słowa wymruczał sennie i ułożył głowę na jej kolanach, zrzucając książkę na podłogę. Pewnie by zasnął, gdyby piekarnik nie zaczął dzwonić jak oszalały. Michał zerwał się i poleciał do kuchni. Indyjskie jedzenie zalatywało trochę spalenizną, ale wymieszał je z przyprawami, które dostał w osobnym pojemniku, i dało się zjeść. Co prawda smakowało jak wszystko ostatnio, jednak Asia przestała już na to zwracać uwagę. Jeszcze tylko dwa, trzy dni, pomyślała, wodząc po talerzu widelcem. Przecież wytrzymam.

- Zadzwoń do matki – powiedziała nagle, gdy wyjmował z lodówki sok jabłkowy.
- A co, stęskniłaś się za nią? – Wyszczrzył się w uśmiechu i podał jej szklanekę.
- Nie, stęskniłam się za naszą córką. Zaraz zapomnę, jak wygląda, i dopiero będziesz miał przekichane. – Wycelowała w niego cieciorką nabitą na widelec, na co Michał natychmiast podniósł rękę.
- Dobra, nie strzelaj, już dzwonię. A właściwie to sama zadzwoń.

Wzięła jego komórkę i z listy kontaktów wybrała: „Mama”. Nie potrafiła się zmusić, by samej tak ją nazywać. „Pani Zofio”, „pani profesor” brzmiało dla niej znacznie bardziej naturalnie niż „mamo”. Na szczęście Helmanowej też to nie odpowiadało i kiedy Asia zamieszkała z Michałem, przeszły na ty, co w ich wypadku oznaczało sztywne „Zofia” i „Joanna” – bez zdrobnień, uśmiechów i rozmów o niczym. Relacja doktor–pacjent do czegoś jednak zobowiązywała, nawet jeśli mąż doktorki rozpromieniał się na widok pacjentki i mówił do niej miękko „Asieńko”. Ufała Helmanowej, ceniła jej doświadczenie zawodowe i była bardzo wdzięczna za opiekę nad małą, gdy sama musiała dokończyć projekt, a Michał wymawiał się od zabaw lalkami. Chociaż tak naprawdę to Waław poświecał więcej czasu oraz uwagi wnuczce. To on pierwszy dostawał buziaka, gdy Mila wbiegała do ich mieszkania, to jemu najpierw pokazywała swoje rysunki i to jego prosiła, by się z nią pobawił. Zofia była od kanapek – na tym kończyła się lista potrzeb pięciolatki pod hasłem „babcia”.

Teść, domator z zamiłowania, każdy wyjazd traktował jak katorgę, nawet jeśli chodziło o wakacyjny wypad na Kanary. Dobrze czuł się wyłącznie w dwóch miejscach: w domu we Wrocławiu i w domu w Lipianach. Żona nazywała to lekkim zaburzeniem i kazała mu z tym walczyć, ciągnąc go po świecie. Chciała jeździć, zwiedzać, wypoczywać – w końcu od czego była emerytura.

Kiedy pojawiła się Mila, Waław nie posiadał się z radości – raz, że wreszcie doczekał się wnuczki, dwa, że dostał w pakiecie idealną wymówkę, by zostać w domu. Przecież mała potrzebuje dziadka. Tu, na miejscu. A co, jeśli rozchoruje się akurat, kiedy będą w Maroku? Przecież Zosia dobrze wie, jak jest teraz na rynku: wystarczy raz nie zdążyć z projektem i zła fama od razu się roznosi. On doskonale rozumie Asię, a Michał...

– No proszę cię – wzdychał teatralnie. – Naprawdę uważasz, że zajmie się dzieckiem tak jak...

Chciał dodać „ja”, ale przezornie zawsze kończył „my”.

Stawało na tym, że jeśli Zosia chce, proszę bardzo, może jechać sama, on odwiezie

ją na lotnisko, żaden problem. Przestała więc myśleć o wyjazdach i zamiast zwiedzać świat, wciąż przyjmowała pacjentów. Jedyłą odskocznią były Lipiany – dom na zadupiu, bez zasięgu, hałaśliwych sąsiadów i głośnych śmiechów przy grillu do rana. Wybudowali się na uboczu, z dala od wszystkich i wszystkiego. Zofia prosiła Waclawa, by postawił wysokie ogrodzenie, on jednak zdecydował się na żywopłot, który skutecznie odgradzał ich od ludzi, ale dla saren nie stanowił większej przeszkody. Wdzięcznie go przeskakiwały, by poskubać trawę przed werandą.

Helmanowie lubili tu przyjeżdżać i gdyby nie wnuczka oraz pacjenci Zofii, z pewnością wyprowadziliby się z Wrocławia i zamieszkali w Lipianach na stałe. Już i tak zimą Waclaw płacił chłopakom ze wsi za odśnieżanie, bo po wielu latach spędzonych przy biurku miał problemy z kręgosłupem, a wyciąganie liści z rynny nie stanowiło aż tak wielkiego problemu. W każdym razie dopóki dawał radę wejść na drabinę. Do najbliższego sensownego sklepu było co prawda kilka ładnych kilometrów, ale przecież mieli samochód.

Zofia właśnie siedziała za kierownicą, gdy zadzwonił Michał. Zjechała na pobocze i odebrała, jednak słyszała same szумы i trzaski. Była za blisko domu, na granicy zasięgu. Rozłączyła się i napisała mu tylko, że zadzwoni później. Esemesy czasem przechodziły.

Asia usłyszała urywany sygnał w telefonie i szybko wstała z sofy. Zaczęła chodzić po mieszkaniu, szukając zasięgu, chociaż doskonale wiedziała, że problem był w Lipianach, a nie u nich. Łudziła się jednak, że gdy stanie w odpowiednim miejscu, uda jej się przebić przez tę niewidzialną ścianę i choć na chwilę usłyszeć Milę. Coś szeleściło w słuchawce, gdy zatrzymała się w przedpokoju, przed drzwiami jej pokoju. Weszła szybko do środka i znów przedarł się sygnał. Pojedynczy dźwięk. Po czym zapadła cisza. Spróbowała jeszcze raz, stając przy samym oknie. Nic z tego. Od razu włączał się komunikat, że abonent jest poza zasięgiem. Oparła się o szafę ozdobioną naklejkami z My Little Pony i brokatowymi smokami. Pogładziła palcem jednego z nich. Mila dostała go od przyjaciółki z przedszkola i prosto od drzwi, w butach i kurtce, pobiegła do siebie, a potem zawołała mamę i z dumą pokazała jej najnowszy nabytek. Nadała mu nawet jakieś imię, Aśka nie mogła sobie go teraz przypomnieć. To musiało być w zeszłym tygodniu, może trochę wcześniej. Na białym biurku leżały rozsypane rysunki i puste pudełko po kredkach. Na pewno wzięła je ze sobą, nigdy się bez nich nie ruszała. Joanna podeszła do biurka i przyjrzała się kolorowym kartkom. Na jednej z nich zobaczyła postać stojącą na moło. Pod pomostem rozlewało się jasnoniebieskie morze otoczone żółtym piaskiem i zielonymi krzakami. Postać, chyba

dziewczynka, miała długie ciemne włosy, czerwone buciki i rękawiczki. Asia poczuła dziwne ukłucie niepokoju. Coś jej nie pasowało w tym rysunku. Był zbyt dokładny jak na dzieło pięciolatki, dla której morze było dotąd niebieskim równym paskiem, oddzielonym od nieba wyraźną kreską. To przypominało bardziej jezioro z pomostem niż plażę, jaką mała znała z wyjazdów do babci. I te czerwone buciki. Mila nie lubiła czerwonego, musiała je zobaczyć na starych zdjęciach z albumu. To pewnie ja, domyśliła się Asia. Narysowała mnie, jeszcze z czasów przed przeprowadzką do Gdyni. Pod tym rysunkiem znajdował się kolejny – tym razem niebo i woda miały kolor ciemnoszary, a na pomoście Mila narysowała coś, co jej się nie spodobało. Zabazgrała to czarną kredką, a cały rysunek przekreśliła grubą linią. Był trochę pomięty, jakby chciała go wyrzucić, ale w ostatniej chwili się rozmyśliła. Asia porównywała je: były niemal identyczne, nie licząc koloru i nieudanej zamalowanej postaci, a jednak to ten pierwszy, bardziej kolorowy i dopracowany, wciąż budził w niej niepokój. Schowała je na spód i wyrównała stosik kartek. Gdyby cokolwiek wyrzuciła, Mila natychmiast by wiedziała – miała niemal fotograficzną pamięć, jeśli chodziło o jej pokój.

– Chodź, bo ci jedzenie wystygnie! – zawołał Michał, więc wróciła do kuchni.

Usiadła i bez przekonania wpatrywała się w swój talerz.

– Czemu nic nie jesz? Nie smakuje ci?

– Wiesz co, ostatnio jakoś nic mi nie smakuje – odparła, odsuwając się od stołu. – Prawie nic nie jem, powinnam być już chuda jak patyk, a tymczasem ledwo się mieszczę w ciuchy. Jestem opuchnięta i całkiem rozkojarzona. Czuję się, jakby ktoś mnie... – Szukała w myślach odpowiedniego słowa. Nawet nad tym coraz częściej traciła kontrolę. Zapominała, urywała w pół zdania i milkła, bo nie mogła sobie przypomnieć, co miało być dalej. Jakby ktoś odłączył jej funkcję słownika.

Michał przyglądał się żonie w milczeniu. Po chwili pogładził ją po policzku.

– Jakby ktoś mnie owinął grubą folią malarską – dokończyła. – Podobnie się czułam na samym początku ciąży.

Gwałtownie cofnął dłoń.

– Myślisz, że jesteś...?

– Niemożliwe – mruknęła. – Przecież w szpitalu robili mi badania. Wyszłoby, gdybym była w ciąży.

– Ale minęło już trochę czasu i mogłaś... – Był zaniepokojony. Z tego, co pamiętała, sześć lat wcześniej zupełnie inaczej zareagował, gdy powiedziała, że chyba spodziewa

się dziecka.

– No coś ty, przecież badali mnie trzy dni temu. Nie, cztery. – Spojrzała niepewnie na kalendarz wiszący nad stołem, ale brakowało w nim kartki z listopada. Po październiku widniał grudzień. Przypomniała sobie, że sama zachlapała ją zupą pomidorową, gdy solniczka wyslizgnęła jej się z dłoni i wpadła prosto do talerza. Ścianę udało się doczyścić, ale kartka w kalendarzu nie nadawała się już do niczego. Chyba sama ją wyrwała.

– A seks uprawialiśmy... wczoraj, prawda? Nie, to niemożliwe – odparła, potrząsając głową.

Nie wyglądał na przekonanego. W końcu zaproponował, że wyskoczy do apteki po test ciążowy. Na wszelki wypadek.

– Wiesz, po tym uderzeniu w głowę i przerwie w lekarstwach... – rzucił, pospiesznie się ubierając – ...lepiej się upewnić. Widziałaś mój portfel?

– Nie, brałam tylko twój telefon. I zostawiłam go chyba u Mili. Pewnie masz w plecaku.

– Znalazłem! – zawołał z przedpokoju. – Zaraz wracam.

Asia zebrała talerze ze stołu i po namyśle wyrzuciła swoją niemal nietkniętą porcję do śmietnika. Na samą myśl o tym, że miałyby to jutro odgrzać, zrobiło jej się niedobrze. Sok jabłkowy też nadawał się raczej do wylania, ale wypła go. Rozsądek podpowiadał, że potrzebuje czegoś więcej niż tylko wody i herbaty. Podniosła książkę z podłogi i z ulgą wsunęła się pod koc. Obiecała sobie, że nazajutrz wstanie wcześnie, weźmie prysznic, naleje sobie kawy do kubka termicznego i pojedzie po Milę, bez względu na to, jak się będzie czuła. Ostatnie, co sobie uświadomiła, zanim zapadła w drzemkę, to jutrzejsze spotkanie z Ważykami. Trudno, uznała, walcząc z sennością. Przełożyła wyjazd o jeden dzień.

Spała, kiedy zaczerwieniony od wiatru Michał wrócił z apteki. Nie obudziła się nawet, gdy wypadły mu z ręki klucze ani gdy z przedpokoju zapytał, gdzie ma położyć test. Kiedy zorientował się, że zasnęła, zostawił kartonik w łazience, na blacie tuż koło umywalki. Żeby go nie przeoczyła.

Czuła okropny niesmak w ustach. Zakręciło jej się w głowie, gdy usiadła na sofie i spuściła nogi. Zamknęła oczy, co wcale nie pomogło, za to uświadomiło jej, że jeśli zaraz nie wstanie i nie umyje zębów, na powrót zaśnie w salonie. Zataczając się, ruszyła więc do łazienki. Musiała przytrzymać się ściany. Michał już spał, w sypialni

było ciemno. Spojrzała na zegar. Wskazówki mnożyły się i rozmywały, jakby żyły swoim życiem. W łazience znalazła kartonik z testem i parsknęła cicho. Co jak co, ale aż tak nie czuła się nawet w ciąży. Dla świętego spokoju postanowiła jednak zrobić test rano. Właśnie sięgała po szczoteczkę, kiedy rozległ się ten sam dziwny dźwięk co ostatnio. Momentalnie oprzytomniała. Wstrzymała oddech i w całkowitej ciszy, jaka zapadła w mieszkaniu, usłyszała wyraźnie szelest palców sunących po ścianie. Odruchowo zrobiła krok w tył. Niemal podskoczyła, gdy oparła się o kabinę prysznicową. Oddychała szybko, płytko, krew szumiała jej w uszach i Joanna nie była już pewna, co tak naprawdę usłyszała. Może to naćpany Piotrek znowu tłukł się po swoim mieszkaniu? Nocą dało się słyszeć różne dźwięki z piętra wyżej.

A może to znowu tamten sen? Może wcale się nie obudziła? Może wciąż leży w salonie przykryta kocem i śni? Zacisnęła kurczowo palce i przyłożyła ucho do drzwi. Nic, tylko jej urywany oddech i bicie serca, które powoli się uspokajało.

– Zaczynam wariować – powiedziała do siebie. Kiedy usłyszała swój głos, poczuła się nieco pewniej. Nie aż tak, żeby otworzyć drzwi i wyjść z łazienki, ale jednak. Dokończyła szczotkowanie zębów, przemyła twarz wodą micelną i powiesiła ręcznik na grzejniku. Na prysznic nie miała już siły. Położyła dłoń na klamce i odetchnęła głęboko.

– No wyłaź, głupia – mruknęła.

I wtedy klamka drgnęła.

Opadała powoli, jakby od niechcienia. Palce Asi wciąż obejmowały gładki, chłodny metal, ale ona nie czuła już niczego – ani chłodu, ani strachu. Po prostu czekała na to, co miało się wydarzyć. Spodziewała się tego. Ktoś pociągnął za klamkę od zewnątrz. W wąskiej szparze, w smudze światła padającego z łazienki, zobaczyła czarne gorejące oko. Wpatrywało się w nią, gdy drzwi otwierały się wolno. Cofnęła się dopiero, gdy poczuła smród kału. Babka bez słowa weszła do środka i zamknęła drzwi. Stały naprzeciwko siebie. Asia w lustrze widziała jej odbicie, siwe splecione włosy, ostry profil, wystające kości policzkowe i lekko wysunięty podbródek. Cuchnęła. Starym niemytym ciałem, moczem i gównem. Ciało wydzielalo intensywny zapach lekarstw, którymi ją faszrowali dzień w dzień. Na krążenie, na miażdżycę, na demencję, wzmacniające, uspokajające, nasenne, pobudzające, przeczyszczające. Miała osobną półkę w domowej apteczce. Plik recept od znajomej lekarki. Wizytówki domowych pielęgniarek. Zgięty palec babki powędrował do warg. Kazała milczeć. Słuchać. Joanna przywarła plecami do kabiny i słuchała. Na początku wyłapała jedynie szum przelewającej się wody, potem z wolna przybierający na sile bulgot.

I łapczywe zachłystywanie się powietrzem, jakby ktoś walczył o oddech, rozpaczliwie, beznadziejnie. Babka opuściła palec i otworzyła usta. Dźwięk nasilił się jeszcze bardziej. Między czarnymi dziąsłami coś drgnęło. Wynurzało się. Kotłowało. Walczyło o oddech. Asia nachyliła się. I wtedy ją zobaczyła. Małą dziewczynkę z włosami zlepionymi czarnym błotem i umazaną twarzą. Wyciągała ręce w jej stronę, krzyczała, ale muł zalewał jej usta i wypychał krzyk z powrotem do gardła. Ich oczy się spotkały. „Mamo” – szepnęło dziecko i nagle zniknęło pod powierzchnią, na której pojawił się niewielki krąg. Rósł powoli, pęczniał, nadymał się, aż wreszcie i on zniknął.

– Mila? – zawołała Joanna. – Mila?!

Przez cały ranek Michał krążył wokół niej, jakby bał się spuścić ją z oka. Czuwał, od kiedy w nocy wyciągnął ją z łazienki. Wołała rozpaczliwie Milenę, szarpała się i próbowała otworzyć drzwi wyjściowe. Musiał schować telefon, bo domagała się, by natychmiast zadzwonił do rodziców i obudził ich dziecko. „Coś się dzieje, coś złego się dzieje” – powtarzała jak nakręcona, chodząc z pokoju do pokoju. Nie chciała połknąć lekarstw. Wreszcie udało mu się rozpuścić je w herbacie, którą piła małymi łykami, skulona na łóżku Mili. Godzinę później opadła z sił i zaniósł ją do sypialni. Bał się, że przesadził z lekami, i do rana wsłuchiwał się w jej niespokojny oddech. Kiedy otworzyła oczy, zapytała drewnianym głosem, gdzie jest Mila.

– U moich rodziców – odparł cicho. – I czuje się dobrze. Nic jej się nie stało. Wszystko jest w porządku, Asia. Miałaś w nocy atak, pewnie przyśnił ci się jakiś koszmar, wzięłaś lekarstwo i teraz już wszystko wraca do normy.

Zachowywała się znacznie spokojniej, tylko nerwowe spojrzenia, jakie mu co chwilę rzucała, jakby upewniając się, że wciąż tu jest, świadczyły o tym, że jeszcze do siebie nie doszła. Zastanawiał się, czy iść na trening – bał się zostawić ją samą w domu. Na szczęście koło południa zjadła śniadanie i zaczęła odkurzać salon.

– Zostaw, ja to później zrobię – powiedział, odkładając gazetę.

– Ty masz łazienkę i zakupy – odparła już zwykłym głosem. – Umowa to umowa.

Rano zdążył wysłać Markowi esemesa, że wieczorne spotkanie stoi pod znakiem zapytania i być może będą musieli je przenieść na później. „Później” było dość pojemne i na tyle bezpieczne, że nie musiał od razu umawiać się na kolejną wizytę, a potem znów odwoływać. Wyjaśnił wcześniej Ważykom sytuację z Joanną – wiedzieli o skutkach wypadku i nie zadawali krępujących pytań na widok porannej

wiadomości. Marek odpisał tylko: „OK”. To samo zresztą wysłał, gdy Michał potwierdził spotkanie o osiemnastej. Aśka w ogóle nie wracała do poprzedniej nocy, a on także wolał o nic nie pytać. Upewnił się, że dobrze się czuje, i pojechał na siłownię.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Joanna weszła do pokoju Mili i odnalazła tamten rysunek z dziewczynką w czerwonych butach. Przyglądała się mu dłuższą chwilę, a potem niepewnie położyła na nim dłoń. Czekala, aż coś się wydarzy. Wystarczyłby choć przebłysk: zapach, głos, obraz – cokolwiek, co pozwoliłoby jej uwierzyć, że małej nic nie jest. Przez te wszystkie historie z dzieciństwa, które nawiedzały ją co noc i wracały wraz ze wspomnieniami o babce, pomyślała, że może jeśli dotknie tej kartki i odpowiednio się skupi, to...

Zachnęła się i zła na siebie, odłożyła rysunek. Nic dziwnego, że Michał traktuje ją jak wariatkę, skoro tak właśnie się zachowuje. Gdyby tylko mogła zamienić z córką choć dwa słowa, przestałaby świrować. Czemu nie poprosiła Michała, by zostawił swoją komórkę? Nigdy nie była nadmiernie przywiązana do własnego smartfona, zawsze zapominała go zabrać albo wyciszała na cały dzień i potem zapychała się skrzynka głosowa, teraz jednak oddałaby wszystko za krótką rozmowę z Milą.

I wtedy nagle przypomniała sobie o telefonie stacjonarnym. Dostali go w pakiecie z internetem oraz kablówką, tak było taniej, więc wzięli go, ale ani razu nie użyli. Michał najpierw ściszył dźwięk w aparacie, żeby nie atakowali ich telemarketerzy, a potem w ogóle się go pozbył. Co z nim zrobił? – zastanawiała się gorączkowo, chodząc po mieszkaniu i zaglądając do każdej szafki. Numer komórki teściowej miała na pewno w notesie, w którym zapisała ją jako „Prof. Helman”. Ciotka dała jej ten numer, zanim pozwoliła dziewczynie wyjechać z Gdyni.

Joannie trzęsły się dłonie, gdy z pudełka schowanego za książkami, na najwyższej półce regału, spośród różnych starych szpargałów, niepotrzebnych kart bibliotecznych i guzików oderwanych od ubrań, których już dawno nie miała, wyciągnęła czarny notes. Oprawa popękała, a zielona tasiemka strzępiła się na końcu, jednak wciąż tkwiła między stronami z telefonem i adresem psycholożki na Nadodrze a namiarami na profesor Zofię Helman. Ulica Moniuszki w jednej z piękniejszych dzielnic Wrocławia, aleja starych drzew i ponemieckich willi. Asia przypomniała sobie tamten dzień, gdy stanęła przed drzwiami dwupiętrowego białego domu i wzięła głęboki oddech, a potem nacisnęła przycisk dzwonka. Nie wiedziała wtedy, jak wiele ta wizyta zmieni w jej życiu. Uśmiechnęła się, wygładzając tasiemkę. Kiedy poznała Michała, miał na sobie bluzę dokładnie w takim kolorze.



Dobrze mu było w zieleni. Numer Zofii zapisała długopisem pożyczonym od ciotki. Ten do psycholożki też dostała od niej, ale użyła pióra i kiedyś nieopatrznie dotknęła strony mokrym palcem. Schowała notes do kieszeni. Gdyby jeszcze znalazła ten przeklęty aparat i namierzyła gniazdko telefoniczne...

Trafiła na nie dwadzieścia minut później, w przedpokoju, schowane za szafką na buty. Co więcej, tkwiła w nim wtyczka, a kabel prowadził do tylnej ściany szafki, w której Michał musiał wywiercić dziurę. Zajrzała do środka. Seledynowy aparat z odwieszoną słuchawką leżał za butami do biegania, których użyła może raz w życiu. Próbowwała wtedy zrzucić kilogramy po ciąży. Szybko jej przeszło. Doszła do wniosku, że akceptacja własnego ciała wymaga mniej wysiłku niż zmuszanie się do sportu. Wyjęła telefon, sprawdziła, czy kabel nie wysunął się z obudowy, wreszcie podniosła słuchawkę. Panowała w niej głucha cisza. Bliska łez Aśka huknęła aparatem o szafkę. Chciała wyrwać go z gniazdka i wyrzucić ten szajs do śmieci, kiedy zauważyła lekko odstającą wtyczkę. Czyżby...? Z bijącym sercem docisnęła ją palcami. Gdy tym razem rozległ się wyraźny sygnał, krzyknęła z radości. Nie czekała dłużej. Przycisnęła słuchawkę ramieniem do ucha i wystukała numer z notesu. Pełna nadziei wsłuchiwała się w długi sygnał połączenia, a po trzecim Helmanowa odebrała.

– Tak, słucham? – odezwała się swoim urzędowym głosem, chłodnym i profesjonalnym, a zarazem złamanym jedną ciepłą nutą, by nie odstraszać pacjentów.

– Dzień dobry, Zofio – powiedziała Asia ze śmiechem. – To ja, Joanna – dodała, bo zdała sobie sprawę, że rodzice Michała nie znali tego numeru.

– Ach, to ty. – Teraz w głosie teściowej usłyszała już zupełnie inny ton. Nie do końca ten, którym zazwyczaj się do niej zwracała. Gdyby nie znała jej tak dobrze, pomyślałaby, że Zofia nie wie, co powiedzieć. Ale to nie była niepewność, tylko zaskoczenie, z którego zaraz matka Michała zgrabnie wybrnęła: – Słyszałam, że twoja komórka jest w naprawie. Skąd dzwonisz?

– Z domu. Znalazłam nasz stary telefon stacjonarny. Tak się cieszę, że wreszcie się połączyłam. Próbowalam już kilka razy z aparatu Michała, ale wciąż nie było zasięgu. Jest tam Mila? Chciałabym z nią porozmawiać.

W słuchawce zapadło milczenie, a po chwili do Asi gdzieś z głębi domu dotarł dziecięcy śmiech.

– Halo? Zofio, słyszysz mnie?

– Tak, tak, słyszę – odparła pospiesznie teściowa. – Pojechałam na zakupy i dlatego

mam tu zasięg. Poczekaj, tylko przejdę w jakieś spokojniejsze miejsce. – W słuchawce rozległy się kroki, trzaśnięcie drzwi i po chwili warkot odpalanego silnika samochodowego. – Już. Musiałam wyjść na zewnątrz. Co u ciebie? Michał wspominał, że jeszcze odczuwasz skutki uderzenia w głowę. Amnezja wciąż ci dokucza? Mam nadzieję, że ćwiczysz pamięć. Mówiłam mu, że najlepiej zacząć od przywoływania wspomnień z dawnych lat. To je uporządkuje i łatwiej ci będzie zachować ich linearność. Dzięki temu nie pogubisz się w obrazach z dawnej przeszłości i tej dopiero co minionej. Bo zakładam, że z tą drugą masz problem. To zdarza się zresztą bardzo często przy tego typu urazach.

Gadała jak nakręcona, wyrzucała z siebie zdania niczym karabin maszynowy, nawet nie robiąc przerwy na oddech. Joanna kręciła się niecierpliwie, ściskając słuchawkę w dłoni.

– Tak, wiem. Już jest lepiej – wtrąciła szybko, przerywając słowotok teściowej. – Zawołasz Milę, proszę?

– Nie ma jej tu. Poszła z dziadkiem do lasu jakieś pół godziny temu.

Asia westchnęła ciężko. Nagle cała radość ulotniła się, zostawiając po sobie kamienny osad. Czuła go w ustach i we włosach, kłuł między palcami, wlaził pod paznokcie. Było go za dużo, przygniatał ją do ziemi. Przez moment nie mogła złapać tchu. Oddychaj, powiedziała do siebie w myślach. Oddychaj.

– Ale przecież ją słyszałam – odezwała się cicho.

– Nie, to jakieś rozwydrzone dzieciaki w sklepie – mruknęła zirytowana Helmanowa. Nie przepadała za hałaśliwymi dziećmi. Jej tolerancja wobec młodych ludzi rosła wprost proporcjonalnie do ich wieku. Mila była inna. Od kiedy zostawiła za sobą etap histeryzującego dwulatka, stała się cichym, spokojnym dzieckiem. Nie lubiła krzyków, tak jak jej babcia.

– Poza tym, Joanno... – Zofia wróciła do swojego urzędowego głosu – ...nie jestem pewna, czy to dobry pomysł, żebyś teraz rozmawiała z Milenką. Rozumiem, że za nią tęsknisz, ale pamiętaj, że to dziecko, jest bardzo krucha emocjonalnie i każde wahnięcie twojego nastroju i samopoczucia bardzo się na niej odbije, zwłaszcza teraz, gdy nie widziała cię od kilku dni, a ty nie wróciłaś jeszcze do normalnego trybu funkcjonowania, prawda?

To nie było pytanie. Asia musiała przyznać jej rację, tym bardziej po takiej nocy jak ta ostatnia. Co by zrobiła, gdyby Mila była wtedy w domu i to ona weszłaby do łazienki przed Michałem? Gdyby zobaczyła ją w takim stanie?

– Oczywiście decyzja należy do ciebie, jednak zanim ją podejmiesz, zastanów się, czy chcesz narażać córkę na emocjonalne urazy. W każdej chwili możemy ją do was odwieźć, przecież o tym wiesz, to żaden problem. Problemy zaczną się, gdy będzie świadkiem twoich kryzysów, ataków i spadków formy. A przecież nie chcesz jej skrzywdzić, prawda? Bezpieczniej jest poczekać. To nie potrwa długo.

Joannie pocięły po policzkach łzy. Nigdy nie skrzywdziłaby swojego dziecka, nigdy nie zrobiłaby jej nic złego. Nie świadomie.

– Tak, masz rację – powiedziała zduszonym głosem.

Musiała jak najszybciej skończyć tę rozmowę, nie mogła się teraz rozplakać. Nie przy niej. Zaciśnięte palce zbieleły i zaczęły mrowić, gdy już się rozłączyła. Słuchawka wyslizgnęła się z jej dłoni i upadła na szafkę tuż obok aparatu. Asia wpatrywała się w niego tak długo, że gdy wreszcie odwróciła wzrok, przed oczami wciąż miała seledynową, rozmazującą się plamę. Wołała to niż obraz oblepionej błotem Mili znikającej pod powierzchnią wody. Nienawidziła tych snów. Kiedyś lepiej sobie z nimi radziła. Być może dlatego, że nie dotyczyły jej, tylko innych ludzi. Ustawiali się do niej w kolejkach, prosili, błagali, czasem próbowali przekupić, byle dotknęła pomiętej fotografii, z którą byli już wszędzie: na milicji, w telewizji, w gazecie. Kojarzyła czarno-białe twarze ze zdjęć. Powielone na odbitkach, przyklejone taśmą klejącą albo przypięte spinaczami wisiały na płotach, drzewach, wiatach przystanków autobusowych i drzwiach sklepów. Nieraz pojawiały się na szkolnych tablicach z ogłoszeniami. A potem prześladowały ją w snach – wykrzywione bólem, sparaliżowane strachem, nadjedzone przez zwierzęta, zmasakrowane po zderzeniu z samochodem, sine, spalone, czarne od ziemi... Mogła tak wyliczać bez końca. Od kiedy zaczęła przyjmować lekarstwa, przestały się pojawiać, ale i tak pamiętała każdą z nich. I żadna nie przeraziła jej aż tak, jak twarz tonącej Mili.

Asia odetchnęła głęboko. Musiała się czymś zająć, żeby przestać o tym myśleć i pozbyć się tego obrazu. Jeśli pozwoli mu zostać, niepokój o córkę będzie się tylko wzmacniał. Irracjonalny niepokój, bo przecież nic jej nie jest. Poszła z dziadkiem na spacer. Tęskni za mamą, tatą i swoim pokojem, to oczywiste, ale dobrze się bawi u dziadków. To trochę jak wakacje, prawda? Pewnie wróci wyższa, mniej błada i lepiej odżywiona, bo nawet jeśli Waclaw nie potrafił odmówić wnuczce czekoladek i lizaków, to Zofia z pewnością faszzerowała ją górą warzyw i białkiem. Mała w domu grymasiła, że nie lubi kalafiora, a brokuły śmierdzą, że marchewka jest zbyt czerwona, a groszek ucieka z talerza. O cukinii czy dyni w ogóle nie było mowy – chyba że przyrzadziła je babcia Zosia. Tak, pomysł z wyjazdem do dziadków był

doskonały. Mila nabierze sił, spędzi z nimi trochę czasu, zdąży zatęsknić za domem i prawdopodobnie po powrocie nie zauważy żadnej zmiany. Zresztą nie będzie żadnych zmian. Do tego czasu wszystko wróci do normy. Joanna schowała aparat do szafki na buty.

W poniedziałek odbierze z serwisu swoją komórkę, a jeśli laptop nie będzie gotowy, to pożyczy komputer od Jagody i znów siądzie nad projektem. Daje sobie jeszcze cztery dni, nie więcej. Potem wsiądzie do samochodu i pojedzie po córkę.

Michał wrócił do domu niecałe pół godziny przed przyjściem Ważyków. Zeszło mu trochę dłużej na siłowni, potem trafił na sobotnią gorączkę zakupów, bo ludzie przerażeni wizją niehandlowej niedzieli przypuścili szturm na sklepy, a kiedy już udało mu się kupić wszystko z listy, utknął w gigantycznym korku na Szczytnickiej. Na placu Grunwaldzkim był wypadek i pół miasta zostało sparaliżowane. Asia zerknęła na zegarek, coraz bardziej zirytowana, i w końcu sama zajęła się sprzątaniem łazienki. Potem z rozpędu odkurzyła sypialnię, pracownię i pokój Mili, a kiedy umyła podłogę, poczuła się zmęczona. I wtedy odkryła, że drażący ją od kilku dni niepokój nagle odpuścił.

Odruchowo spojrzała w lustro, jakby chciała sprawdzić, czy dzięki temu inaczej wygląda, jednak na zewnątrz nic się nie zmieniło. Po prostu nagle zrobiło się jaśniej, lżej, przestronniej, jakby ktoś wypuścił ją z klatki. Dlatego gdy spocony Michał wpadł do mieszkania i już od progu zaczął się tłumaczyć, zamknęła mu usta długim pocałunkiem i kazała iść pod prysznic, a sama zajęła się wypakowywaniem zakupów. Dwadzieścia pięć minut później ktoś energicznie zapukał do drzwi.

Jagoda nie lubiła dzwonek. Pierwsze, co zrobiła, gdy wprowadzili się do obecnego mieszkania, to kazała go zdemontować, i na parapetówkę zażyczyła sobie w prezencie kołatkę. Marek zawsze się z niej śmiał, że woli bezpośredni kontakt z materią, a ona wystawiała mu język albo posyłała całusa w powietrzu – zależnie od nastroju. Niezależnie od niego była najbardziej pozytywnie nastawioną do życia osobą, jaką Aśka kiedykolwiek poznała.

Jagoda nie chodziła do kościoła, nie ochrzciła córek, a jednak głęboko wierzyła w przeznaczenie, jakby kryła się za nim nadprzyrodzona siła, której imienia wymawiać nie wolno, i wszelkie próby wciągnięcia ją w rozmowę na ten temat kończyły się zawsze żartami. W jej ustach „wszystko będzie dobrze” nabierało zupełnie innego sensu. Jagoda wypowiadała te słowa całkowicie przekonana, że tak właśnie się stanie, jakby miała wgląd w przyszłość i znała z wyprzedzeniem losy

najbliższych. Może dlatego akurat jej Asia zaufała i gdy słyszała od niej „tak właśnie miało być”, sama zaczęła w to wierzyć. Znacznie łatwiej było obejrzeć się za siebie i spojrzeć na wszystkie minione wydarzenia, jeśli wierzyło się w ich sens, w nieprzerwaną ciągłość prowadzącą do tu i teraz.

Po każdym spotkaniu z Jagodą potrafiła wracać nawet do tych wspomnień, których zazwyczaj unikała, bo niosły ze sobą za dużo bólu albo gniewu. „Tak miało być” zmiękczało je, obłaskawiało jak dzikie stwory z bajek. Mogły sobie fukać groźnie pod nosem i ocierać się o pręty krat, ale nie stanowiły już zagrożenia. Poza tym Jagoda często się uśmiechała, a to było zaraźliwe. Marek podobno nie miał kiedyś w ogóle poczucia humoru, tak przynajmniej twierdził Michał, ale odkąd poznał Jagodę, zupełnie się zmienił. Ich córki śmiały się głośno i nieskrępowanie, nawet cicha i spokojna Mila zachowywała się przy nich jak rozbrykany żrebak.

Asia lubiła przychodzić do Ważyków. Ich mieszkanie stanowiło idealne połączenie chaosu z porządkiem. Właściwie nie było wiadomo, w którym momencie jeden z tych stanów przechodził w drugi. Odbywało się to tak płynnie, że oko nie rejestrowało procesu samej przemiany. Zauważało się starannie poukładane książki na półkach i albumy rozsypane w bezładzie na podłodze pod oknem balkonowym, kurtki równo zawieszane na haczykach w przedpokoju, na półce pod nimi osobno czapki i rękawiczki, a na kanapie w salonie zwinięty w kłębek sweter i baterię do pilota wystającą spod fotela. Jagoda nie zwracała na to uwagi. Robiła kawę w kawiarence, bo nie uznawała ekspresów ani kawy rozpuszczalnej, nalewała ją do filiżanek, bo nie lubiła pić z grubych kubków, i siadała na swetrze, opowiadając o ostatniej książce, jaką przeczytała, albo o płycie, którą przesłuchała. I mówiła, dużo mówiła, jakby próbowała odstraszyć ciszę. Teraz też od razu zaczęła, kiedy tylko Asia otworzyła im drzwi.

– No nareszcie! – zawołała, przytulając ją w progu. – Już podejrzewałam, że zniknęłaś z powierzchni ziemi, wyparowałaś albo, co gorsza, tak naprawdę nigdy cię nie było, tylko mi się przyśniłaś – oznajmiła, uśmiechając się niepewnie, a potem ponad jej ramieniem posłała szybkie spojrzenie Michałowi, który właśnie wyszedł z łazienki. Ten niemal niezauważalnie pokręcił głową, więc błyskawicznie zmieniła temat.

– Boże, ale u was obłędnie pachnie. Tylko nie mówcie, że zrobiliście coś fantastycznego do jedzenia, bo będę musiała to zjeść, a postanowiłam zminimalizować swoje potrzeby i przez najbliższy miesiąc żyć wyłącznie seksem.

Uśmiechnęła się szeroko do męża, oddała mu kurtkę i weszła do salonu.

– Ej, kłamałeś! – Wyciągnęła oskarżycielsko palec w stronę Michała, kiedy podszedł do kredensu i wyjął z szuflady korkociąg. – Mówiłeś, że macie w dupie konwencje i nie sprzątaacie przed naszym przyjściem, więc żebyśmy nie oczekiwali nie wiadomo czego. A tu, proszę, można jeść z podłogi. O Jezu, a ja znowu o jedzeniu! – jęknęła, opadając na sofę. – To przez was. Za ładnie u was pachnie.

Michał podniósł ręce w obronnym geście.

– Na mnie nie patrz. Ja zawałem na całego, bo podzieliliśmy się sprzątaniami, ale utknąłem w sklepie, a potem w korkach. Wszystko było na głowie Asi.

Joanna uśmiechnęła się, odbierając od niego lampki do wina.

– I dobrze mi to zrobiło – szepnęła, a potem odwróciła się w stronę gości.

Jagoda siedziała na sofie i z zainteresowaniem wodziła wzrokiem po grzbietach książek ustawionych na regale. Coś jednak w jej postawie, zbyt sztywnej linii ramion, żyło widocznej na odsoniętej szyi, a może kolanach podciągniętych pod brodę sugerowało, że tak naprawdę bacznie obserwuje Joannę. Aśka nie mogła się pozbyć tego wrażenia, od kiedy otworzyła im drzwi. To samo było z Markiem, który jednak w ogóle nie zachowywał pozorów i po prostu gapił się na nią, uśmiechając się, gdy tylko ich spojrzenia się krzyżowały.

Michał musiał im wszystko powiedzieć, pomyślała. Nie spodziewała się, że będzie to trzymał w tajemnicy, przecież znali ich nie od dziś, wiedzieli, że jest pacjentką jego matki i nie pije alkoholu, bo bierze leki, ale na samą myśl o tym, że powiedział im o ostatnich wydarzeniach, zrobiło jej się nieswojo. Nie chciała, żeby widzieli w niej wariatkę, traktowali ją jak niewypał, który w każdej chwili może wybuchnąć, więc lepiej nie podchodzić zbyt blisko. Na studiach, jeszcze w Warszawie, jeden ze znajomych ześwirował. Zawsze był spokojnym, nieśmiałym chłopakiem, trzymał się na uboczu, czekając, aż ktoś zrobi krok w jego stronę. Życzliwy gość był z tego Maćka. Naprawdę go lubiła. A potem coś się w nim zmieniło. Niemal z dnia na dzień stał się duszą towarzystwa, dowcipkował, organizował imprezy, zapraszał coraz to nowych ludzi. Cała jego nieśmiałość wyparowała, w jej miejsce pojawił się przebojowy chłopak. Zaczął urządzać spontaniczne wypadki za miasto – obdzwaniał wszystkich w piątkowe popołudnie i rzucał: „Pakujcie się na weekend, jedziemy”. I jechali. Wynajmował dom w lesie czy w górach, raz nawet zafundował im pokoje w pensjonacie. Nie mieli nic przeciwko, większość z nich żyła z tygodnia na tydzień, a on mógł sobie na to pozwolić. Szalone pomysły Maćka stawały się coraz bardziej szalone, zmieniał zdanie co dziesięć minut, planował coś w najdrobniejszych szczegółach, a potem pod wpływem chwili rzucał wszystko i zajmował się czymś

zupełnie innym.

Ona pierwsza to zauważyła. Był zbyt pobudzony, wręcz wybuchowy, nie kontrolował swoich emocji. Przypominał delikwentów ze szpitala ciotki. Zrobiła przyjacielską interwencję – podczas jednego z weekendowych wypadów znajomi usiedli przy flasce i porozmawiali z nim spokojnie: że się martwią, że się zmienił, że coś jest nie tak, że dla własnego dobra powinien się sobą zająć. Wkurzył się wtedy i wybiegł z domu. Całą noc szukali go z latarkami po lesie. Znalazł się w akademiku cały i zdrowy. Przywitał ich z szerokim uśmiechem i zaproponował wyjazd nad morze. Do tamtej rozmowy wrócili miesiąc później, gdy zaczął urządzać im sceny zazdrości. Wszystkie wyglądały tak samo: najpierw zdziwienie, że nie wiedział o wyjściu do kina, knajpy czy do znajomych, potem łzy w oczach, że już ich nie interesuje, że cenią w nim tylko forszę, a na końcu furia. Ludzie z ich kręgu stopniowo zaczęli się wykruszać, Maciek więc coraz częściej i coraz szybciej przechodził do etapu furii. Wydarł się na wykładowcę, zaatakował gościa z innego wydziału, bo ten krzywo na niego popatrzył, i zaczął śledzić własnych przyjaciół. Chciał wiedzieć o nich wszystko.

Próbowali z nim rozmawiać, wyjaśniać, namawiać na wizytę u psychiatry, aż w końcu zaczęli go unikać. I wtedy podciął sobie żyły. Nie zadał sobie za dużo trudu, po prostu zamknął się w łazience akademika i ciachnął w poprzek nadgarstki. Znaleźli go pod prysznicem, siedział na mokrej podłodze i szlochał, a krew spływała wraz z wodą do kratki ściekowej. Trafił na obserwację, rodzina postarała się o terapię w zamkniętym ośrodku i Maciek zniknął z uczelni. Jeszcze długo o nim rozmawiali i wymieniali dokładnie takie spojrzenia jak to, które posłał jej właśnie Marek. Aż przeszedł ją dreszcz.

– Co mówiłeś? – zapytała, bo poruszył ustami i Jagoda cicho parsknęła.

– Że mógłby się bardziej wysilić i wymyślić coś zgrabniejszego niż korki, jeśli nie chce mu się sprzątać – powtórzył Marek, unosząc pełną lampkę w stronę Michała, który z rozbawieniem pokazał mu środkowy palec.

– Siadaj, dziewczyno. Napracowałeś się, to teraz odpocznij. – Jagoda poklepała dłonią miejsce obok i Aśka usiadła. – Dodałabym jeszcze, że zasłużyłaś na coś do picia, ale niestety zawaliliśmy. W żadnym sklepie po drodze do was nie było wina bezalkoholowego.

– Spokojnie, wszystko pod kontrolą! – zawołał Michał, otwierając zamrażarkę. – O to akurat zadbałem. Tylko nie zdążyło się schłodzić. Gdzieś tu mieliśmy lód w kostkach i zaraz go... Znalazłem – oznajmił z dumą. – Komu wrzucić do wina?

– Mnie! Mnie! – Jagoda wyciągnęła rękę z kieliszkiem.

– Przecież pijesz czerwone – zauważył Marek, a gdy ta wzruszyła ramionami, westchnął ciężko, przewracając oczami, i mruknął coś na temat ignorancji.

Przypominali trochę zaangażowanych, choć niezbyt doświadczonych aktorów podczas próby spektaklu. Aśka przyglądała im się uważnie, gdy chichotali w swoje kieliszki, wychwalali smak orzeszków ziemnych i ze zgrozą w głosie opowiadali o składzie chipsów, które Michał postawił w dużej szklanej misie na stole, a potem zgodnie zanurzyli w niej dłonie. Teraz miała wrażenie, że zachowują się trochę jak Maciek w początkowej fazie choroby. Byli zbyt wyraźni i zbyt głośni.

– Zmęczona jesteś? – spytała nagle Jagoda, moszcząc się wygodniej na sofie. Marek pokazywał właśnie Michałowi filmik na telefonie i zaśmiewali się, jeden zasłaniając usta, żeby nie parsknąć chipsami, drugi ocierając łzę z kącika oka. – Prawie się nie odzywasz. Jak chcesz się położyć czy coś, to po prostu nas wyrzucić – dodała cicho. – Wiem, że masz chwilowo pod górkę.

Uśmiechnęła się do niej blado. „Pod górkę”. Rzeczywiście, to określenie idealnie się nadawało. Niby nic się nie zmieniło – dom, rodzina, praca i przeszłość wyglądały tak samo jak dotąd, tylko kosztowały znacznie więcej wysiłku. Jakby pokonywała tę samą drogę, tylko ktoś zmienił kąt nachylenia i kazał jej walczyć z grawitacją.

– Jestem trochę zmęczona – przyznała – ale nie zamierzam was stąd wyrzucać. Mam już dość siedzenia w tej samotni. Nie widziałam nikogo poza Michałem od...

Próbowała policzyć, ile dokładnie minęło od wypadku i powrotu ze szpitala, jednak czas wciąż się wymykał, wysypywał jak piasek z buta Mili, kiedy ostatnim razem spacerowali po plaży. Małą uwierało coś w stopę, więc przysiadła na pniu drzewa wyrzuconego na brzeg, a Joanna kucnęła przed nią, odpięła rzepy i zsunęła bucik. Przechyliła go i wysypała piasek. Milla roześmiała się. „Zobacz, mamo, teraz piasek jest morzem! Wylewa się z mojego buta!”. Było zimno, nie siedziała tam za długo. Asia pociągnęła ją za rękę i poszły w stronę klifu. Michał chyba zrobił im wtedy zdjęcie... Tak, na pewno. Kłoda musiała zerwać sieci albo zgarnęła dryfującą w wodzie resztkę, bo teraz leżała na brzegu zaplątana w duże zielonkawe oczka, niczym umierający wieloryb, i Milla chciała mieć na niej zdjęcie.

– ...od kilku dni – dokończyła Joanna, odrywając się od tamtego wspomnienia. – Cieszę się, że przyszliście. Naprawdę. Jeszcze trochę i zwariuję od tej samotności.

Jagoda chwyciła jej dłoń i uściśnięła mocno, a potem nachyliła się do stolika po kieliszek. Kostka lodu zdążyła już dawno się rozpuścić. Aśka podniosła głowę



i spotkała spojrzenie Marka. Szybko odwrócił wzrok. Pewnie przestraszył się tego słowa „zwariuję”. W jej ustach niepotrzebnie wszystkich alarmowało. Powinna uważać na to, co mówi.

– Dobrze wyglądasz – rzuciła Jagoda, mocząc usta w winie.

Zazwyczaj nie kłamała. Klóciło się to z jej zasadami życia fair, jednak najwyraźniej postanowiła je nagiąć. Aśka mimowolnie parsknęła.

– Daj spokój. Wyglądam tak, jak się czuję, czyli chujowo – dodała szeptem. Nie chciała psuć nastroju Michałowi, który wreszcie pierwszy raz od kilku dni sprawiał wrażenie zrelaksowanego. Po pierwszej lampce wina przerzucił się na whisky i dolewał ją sobie do szklanki w zastraszającym tempie. Śmiał się głośno, kiedy zaczęli z Markiem przywoływać stare historie ze szkolnych czasów. Jagoda przyglądała im się spod zmrużonych powiek.

– Myślisz, że nic nowego nie dzieje się już w ich życiu? – Spojrzała na Aśkę i kiwnęła głową w stronę mężczyzn. – Skoro ja znam te anegdoty na pamięć, muszą je powtarzać za każdym razem, kiedy się spotykamy. A przecież zdarza im się też wyskoczyć we dwóch na piwo, więc zakładam, że i wtedy rozmawiają w kółko o tym samym. Hm, może to już starcze problemy z pamięcią? – Zaśmiała się, zakrywając dłonią usta. – Ich pamięć sięga tylko daleko wstecz, bo najnowsze wydarzenia rozplywają się we mgle.

Joanna popatrzyła na nią bez słowa. Zastanawiała się, czy Jagoda robi to specjalnie, próbuje wyciągnąć z niej coś więcej, skłonić do gadania, czy też nie ma do końca świadomości, co się dzieje z przyjaciółką. Znały się już długo, sporo o sobie wiedziały i darzyły się zaufaniem. Żadna z nich nigdy nie udawała kogoś innego, nie kreowała się, by wyrzucić na tej drugiej odpowiednie wrażenie. W pewnym sensie były sobą, bez względu na to, kim były na danym etapie życia. Obie wciąż się zmieniały, w końcu kto się nie zmienia?

Zmieniał się ich wygląd, sposób patrzenia na siebie i na innych, oczekiwania i podejście do życia, a jednak wciąż zmierzały w tym samym kierunku. Ich ścieżki przecinały się, czasem oddalały od siebie, przez jakiś czas bieging równolegle, a potem znów na siebie zachodziły. Na tym chyba polega przyjaźń.

Nie, gdyby Jagoda chciała cokolwiek z niej wyciągnąć, po prostu by zapytała.

– Stawiam na sklerozę – odparła. – Nie ma co się cieszyć, moja droga. Nas też to czeka. Prędzej czy później.

Stuknęły się kieliszkami i Jagoda zaczęła mówić o ostatniej książce Barnes, którą

właśnie czytała. Jeszcze nie była pewna, czy ta opowieść do końca ją przekonuje, więc ostrożnie dobierała słowa, jakby chciała je wyłuskać z niepewności. To, co najbardziej ją w nim urzekało, to sposób patrzenia na przeszłość. Dla niego nie istniała jedna historia, zbiór faktów stanowił tylko punkt wyjścia do opowieści, a te zmieniały się wraz z bohaterami, upływem czasu lub przypadkowymi wydarzeniami.

– To jak soczewka skupiająca światło – mówiła, kołysząc delikatnie lampką. Wino zataczało powolne kręgi, oblizując szklane brzegi. – Zbiera wiązki promieni i splata je w jeden, a ten pada na jedną wybraną lub przypadkową rzecz, bo nie da się oświetlić wszystkiego naraz. I wtedy widzisz tylko tę jedną rzecz, a i tak nie jesteś pewna, czy widzisz ją taką, jaką jest, bo wiele zależy od filtru, natężenia światła, miejsca, w którym stoisz. Wiesz, o co mi chodzi? – Podniosła wzrok, szukając w jej oczach zrozumienia.

Joanna pokiwała z namysłem głową. Tak, doskonale wiedziała, o co jej chodzi.

– On jest specjalistą od grzebania w historii – ciągnęła uspokojona Jagoda. – Jego własnej, to znaczy jego bohaterów. Wracają do niej po latach, próbują zweryfikować, czy to, co pamiętają, wydarzyło się naprawdę, czy też to wytwór ich wyobraźni. I zazwyczaj nie potrafią tego zrobić, bo cała historia jest utkana ze wspomnień różnych ludzi, a każdy z nich pamięta zupełnie inaczej. Też tak masz? – zapytała cicho.

Asia zaczęła opowiadać o tym wszystkim, co wydarzyło się od czasu wypadku. O problemach z pamięcią, o dziurach, o lukach w czasie, o tym, że nie może się skupić, że wiele spraw wciąż jej się wymyka. Że im bardziej próbuje się na czymś skoncentrować, tym szybciej pogrąża się w chaosie myśli. Dobrze było wreszcie to z siebie wyrzucić przed kimś, kto nocą nie wyciąga jej krzyczącej z łazienki, nie wybudza cierpliwie z koszmarów i nie pilnuje, by brała leki. Jagoda słuchała uważnie. Czasem dopytywała o coś, marszczyła brwi, przymykała współczująco oczy, w końcu jednak odstawiła kieliszek na stół i objęła przyjaciółkę ramieniem.

– Mogłaś wcześniej po mnie zadzwonić – powiedziała jej do ucha. – Michał mówił, że potrzebujesz czasu, by do siebie dojść, że nie jesteś w nastroju do spotkań, więc czekałam. Gdybym wiedziała, że jest tak źle, od razu bym do ciebie przyszła.

– Nie miałam jak zadzwonić. Padł mi telefon. I to w tym wszystkim jest najgorsze, bo nie mogę nawet porozmawiać z Miłą.

Jagoda lekko zeszywniała. Uścisnęła ją jeszcze raz, a potem zabrała rękę i uśmiechnęła się pocieszająco. Spojrzała na pusty kieliszek Asi, jednym haustem

dopiła swój i odchrząknęła głośno.

– Ekhm, czy ktoś nam tu naleje wina?

– Już się robi! – zawołał wesoło Michał i wstał z fotela. Niepotrzebnie zrobił to tak szybko. Pokój nagle zawirował, a miękka podłoga zaczęła się pod nim uginać.

– Usiądź, chłopie. – Marek stanął obok i delikatnie posadził go z powrotem. – Ja się tym zajmę. I zrobię ci mocną herbatę, bo nic, tylko żłopiesz tego liskacza, jakby to były zawody w picciu. Gdzie mam jej szukać?

Joanna poszła z nim do kuchni i wyjęła z szafki puszkę. Wsypała do kubka pół łyżeczki herbaty, po czym odwróciła się i zerknęła na Michała. Jagoda bezceremonialnie zabrała mu właśnie butelkę i do pustej już szklanki wlała wodę. Nie, pół łyżeczki to za mało, uznała Asia i dosypała jeszcze jedną. Sięgnęła do lodówki po cytrynę, a z szuflady wyjęła blister witaminy C.

– Jak na kogoś, kto w ogóle nie pije alkoholu, masz zaskakująco dobre rozeznanie w kwestii kaca. To znaczy zapobiegania. – Oparty o blat Marek zaśmiał się, czekając, aż czajnik zacznie gwizdać.

– Lata praktyki. Zawsze ratowałam znajomych z opresji. Teraz raczej przydaję się jako kierowca, ludzie w naszym wieku zazwyczaj nie odstawiają takich numerów. – Popatrzyła z rozbawieniem na Michała, który próbował przekonać Jagodę, by jednak pozwoliła mu dolać nieco whisky do wody. Póki siedział, wszystko było w porządku, jednak gdy tylko próbował się podnieść, ciało odmawiało mu posłuszeństwa. Poza tym nic nie wskazywało na to, że się wstawił, może jedynie mówił nieco bardziej podniesionym głosem. Zawsze miał mocną głowę.

– Twój mąż szuka telefonu. Chyba lepiej, żebyś mu go przyniosła, bo jak znów wstanie, to może mu się film urwać! – zawołała Jagoda z salonu. – Tak, o tobie mówię – dodała do Michała, który energicznie zaprotestował.

Joanna roześmiała się i ruszyła do przedpokoju, gdzie wciąż leżał nierozpakowany plecak z rzeczami z siłowni i komórką schowaną w małej kieszonce. Zerknęła na wyświetlacz. Trzy nieodebrane połączenia od matki. Od razu poczuła ukłucie niepokoju. A jeśli coś stało się Mili? Jeśli Zofia wróciła do domu i okazało się, że mała zgubiła się w lesie? Wacław dostał zawału, a ona pobiegła po pomoc i zablądziła między drzewami? Teściowa dzwoniła aż trzy razy, coś musiało się stać. Czemu, głupia, rozłączyła aparat i schowała go z powrotem do szafki? Przecież skoro Michał nie odbierał, Zofia mogła dzwonić na numer stacjonarny. W końcu wyświetlił się w jej komórce.

Zła na siebie zamknęła się ze smartfonem w łazience i oddzwoniła. Teściowa nie odbierała. Telefon Waława był poza zasięgiem. Joannie zakręciło się w głowie, miała wrażenie, że zaraz się przewróci. Oparła się o ścianę i spróbowała wziąć głęboki oddech, ale płuca wcale nie chciały napełnić się powietrzem. Drżały jej dłonie, kiedy szybko wystukiwała wiadomość: „Wszystko u was OK?”. I czekała. Wpatrywała się z napięciem w ciemny ekran.

No dalej, odpisz, poganiała ją w myślach. Wystarczy zwykle: „Tak”.

Spojrzała na zegarek. Dawała jej jeszcze dziesięć minut. Jeśli się nie odezwie, przeprosi Ważyków, wsiądzie do samochodu i pojedzie do Lipian. Zrozumieją.

Z salonu usłyszała głucho uderzenie i głośny krzyk Jagody.

– O matko, Michał! – zawołała ze śmiechem. – Mówiłam ci, żebyś nie się ruszał! Dobrze, że nie rozwaliłeś stolika. Siadaj z powrotem. Marek, weź mu pomóż. Asia? Aśka, chodź, mamy tu mały kryzys.

Spojrzała na wyświetlacz. Jeszcze osiem minut. Siedem.

Pukanie do drzwi.

– Hej, jesteś tam? – zapytała Jagoda.

Sześć.

– Tak – powiedziała ze ściśniętym gardłem i odchrząknęła. – Tak, zaraz wychodzę – powtórzyła, odkręcając wodę w kranie.

Pięć.

– To się lepiej pospiesz. Michał walczy z poziomem whisky we krwi i jak na razie przegrywa. – Jagoda zachichotała. Ona też chyba trochę za dużo wypila.

Cztery.

Joanna nie spuszczała oczu z ekranu. Wreszcie się zaświecił! „OK. Zadzwoń jutro, Mila już śpi, nie chcę jej budzić”. Odetchnęła z ulgą. Nabrała wody w dłonie i przemyła sobie twarz. Kiedy popatrzyła do lustra, tuż pod równą linią grzywki zobaczyła szeroko otwarte ciemne oczy. Prawie czarne. Zupełnie jakby jeszcze bardziej pociemniały przez tych sześć przeraźliwie długich minut. Krople wody spłynęły z czoła i gdy zatrzymały się na rzęsach, wszystko nagle się rozmazało. Twarz straciła rysy, kontury się rozmyły, włosy zamieniły w ciemną plamę. Stała się niewyraźna, jakby życie się w niej zatarło. Tak jak wtedy, gdy...

Zamrugwała nerwowo. Znowu to samo! Już miała to wspomnienie, było tam, wyraźne i jasne, czekało tylko na swoją kolej i znów w ostatniej chwili uciekło.

Przetarła dłonią oczy i przyjrzała się uważnie swojemu odbiciu. Już się nie rozmazywało, wszystko wróciło na miejsce, ona wróciła. Osuszyła twarz ręcznikiem i wyszła z łazienki.

W salonie Michał powitał ją szerokim uśmiechem. Zmarszczył brwi, gdy w telefonie zobaczył trzy połączenia od matki, ale Asia uspokoiła go.

– Nic się nie dzieje, zadzwoni jutro – powiedziała mu do ucha i pocałowała go w szyję. – A może byście coś zjedli? Przydałoby się wam coś strasznie tłustego i niezdrowego. Dla odmiany – dodała, patrząc na pustą miskę po chipsach.

Najbliższa pizzeria znajdowała się niecałe trzy kilometry od nich i w sobotni wieczór przeżywała prawdziwe oblężenie. Kiedy Jagoda zadzwoniła po dwie duże hawajskie, pracownik zmęczonym głosem poinformował ją, że dostawca zjawi się nie wcześniej niż za godzinę i nie później niż za dwie. O dziwo, zjawił się znacznie wcześniej – zaledwie po piętnastu minutach – i zapytał, czy nie chcą zmienić zamówienia, bo sąsiad z góry się rozmyślił. Piotrek kilka godzin wcześniej zamówił sześć pizz na imprezę, jednak nie odbierał telefonów i nie otwierał drzwi. Zważywszy na ciszę panującą w mieszkaniu, zapomniał o pizzach albo impreza przeniosła się gdzie indziej. Joanna zapłaciła i wniosła do pokoju lekko przetłuszczone kartony, witana entuzjastycznymi okrzykami. Po raz pierwszy od kilku dni smakowało jej jedzenie.

– Albo to skutek wypitego wina, albo wyglądasz trochę lepiej – powiedziała z pełnymi ustami Jagoda, siadając obok niej na podłodze i opierając się o sofę. Sięgały po kawałki pizzy i jadły, rozrywając je palcami. W salonie rozchodził się zapach ciasta, sera, sosu czosnkowego i oregano. Marek też wybrał podłogę. Usiadł tak, by zablokować Michała, gdyby ten nagle postanowił za bardzo się wychylić z fotela, jednak Michał sprawiał wrażenie trzeźwiejszego niż jeszcze dziesięć minut wcześniej. Tłusta pizza z kawałkami bekonu i ciągnącym się serem najwyraźniej dobrze wiązała alkohol w jego organizmie.

– Wiesz co, chyba czuję się lepiej – odparła szczerze Aśka. – O tej porze zazwyczaj nie mogłam już utrzymać się w pionie i zasypiałam na stojąco, a teraz wcale nie chce mi się spać. Właściwie to mogłabym pójść na imprezę – dodała ze śmiechem. – Szkoda, że sąsiad ją odwołał, bobym nas wkręciła.

Kiedy ostatni raz była na imprezie? Nawet nie mogła sobie przypomnieć. Pewnie jakoś na początku studiów. W Gdyni było co prawda kilka miejsc, w których licealiści w tamtych czasach mogli się pobawić przy dobrej muzyce, ale do żadnego z nich nigdy się nie wybrała. W szkole przyłgnęła do niej opinia grzecznej dziewczynki, bo

nie paliła ani nie piła, a takie obracały się w gronie innych grzecznych dziewczynek, które nie imprezowały po nocach, tylko spędzały czas we własnym pokoju. Ojciec kiedyś pokazał jej słynnego Maxima, kiedy wybrali się we dwójkę na spacer do Orłowa. Wspięli się z plaży na klif, a potem zziębnięci zeszli z powrotem na molo. Wiało i fale roztrzaskiwały się z hukiem o drewniane deski, więc szybko stamtąd uciekli i ruszyli w stronę Maxima. Za dnia lokal nie prezentował się zbyt ekskluzywnie. Skrzywiła się z niedowierzaniem, gdy tata powiedział, że jeszcze przed jej urodzinami wydał tu całą swoją pensję. Zaprosił go przyjaciel, który akurat wrócił z rejsu i szastał nie do końca legalną gotówką w różnych walutach. Był marynarzem i większość roku spędzał na morzu. Gdy tylko schodził na ląd, dzwonił i umawiali się na spotkanie gdzieś w Trójmieście, gdzie pili tak długo, aż tata musiał się spieszyć na ostatni autobus do ich wiochy. Kilka razy nie zdążył i czekał na pierwszy poranny pakaes, a potem dostawał burę od matki. W Maximie był tylko raz. Dali mu paskudny kolorowy drink, za który zapłacił potworne pieniądze, i marynarz ratował go drobnymi na bilet. Tak naprawdę przyszli tutaj, żeby zobaczyć, jak się bawią gwiazdy, ale trafili tylko na pijanego gościa śpiewającego piosenki Violetty Villas.

– Strasznie fałszował – powiedział tata, po czym się roześmiał, co naprawdę rzadko mu się zdarzało, więc to akurat dobrze zapamiętała.

Sama zaczęła chodzić na imprezy dopiero, gdy wyjechała do Torunia i odkryła życie po zmroku w akademiku. Zdecydowanie więcej klubów poznała po kolejnej przeprowadzce, tym razem do Warszawy. Opowiadała Jagodzie o czasach, kiedy razem ze znajomymi wracała w sobotnie poranki, z rozmazanym makijażem i ze sztywnymi od lakieru włosami, a w uszach wciąż dudniła jej muzyka. Jedli razem śniadanie i kładli się pokotem na łóżkach i podłodze w pokoju, w którym akurat było najmniej ludzi. Spali do popołudnia, przebierali się i znów ruszali w miasto. Tak spędzali wolne weekendy, przynajmniej dopóki z Maćkiem nie zaczęły dziać się dziwne rzeczy. Wtedy ich grono się rozpadło, ona zaangażowała się w związek i wszystko się posypało.

Asia urwała na chwilę opowieść. Przypomniała sobie okres, kiedy brała za dużo leków, i nagle uzmysłowiła sobie, że właśnie wtedy czuła się tak jak ostatnio. Była senna i apatyczna, chciała tylko spać, a najlepiej zasnąć i już się nie obudzić. Spojrzała zdezorientowana na szufladę w kredensie, gdzie trzymali apteczkę. Może coś pomyliła z lekami? Nie, to niemożliwe, nigdy dotąd nie zdarzyło jej się nic podobnego.

– Tak, to były czasy. – Jagoda przeciągnęła się leniwie i szturchnęła przysypiającego

Marka. – Teraz młodzież jest inna. Mówiłam ci o koncercie, na który ostatnio zabrałam naszą pierworodną? Koniecznie chciała pójść na Lao Che, grali w Zaklętych Rewirach. Kupiłam bilety, stawiłyśmy się na miejscu pięć minut przed czasem. Dziecko szaleje z radości i ciągle pyta, kiedy zaczną grać, a tu na scenę wychodzi dwóch wytatuowanych młodzieniaszków. Nie wzięłam pod uwagę, że najpierw wystąpi support. I będzie grał bitą godzinę. Po pięćdziesięciu minutach Janka oparła się o mnie i zasnęła. Wyszliśmy z klubu przed koncertem. Tak się teraz imprezuje po czterdziestce. – Prychnęła z rozbawieniem, a rozbudzony już Marek dopił wino z jej kieliszka.

– A czego się spodziewałaś? – mruknął. – Ośmiolatki o tej porze dawno śpią. A pamiętacie, jak raz dziewczynki zasnęły na podłodze? My siedzieliśmy w kuchni, a one szalały w pokoju. I nagle zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Zaglądamy tam, a one śpią na dywanie przykryte misiami. Tylko Miła... – Urwał nagle.

Asia uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie czteroletniej córki, która siedziała z poważną miną na krześle i położyła palec na ustach, gdy do pokoju weszli dorośli. „Pssst, one śpią – szepnęła. – Nie obudźcie ich”. A kiedy w drodze do domu Michał wziął ją na ręce, objęła go za szyję i powiedziała, że zrobiła dziewczynkom futro z misiów, żeby nie zmarzły.

Futro z misiów, pomyślała z czułością Asia i podniosła wzrok. W samą porę, by złowić spojrzenie, jakie Jagoda posłała mężowi. Było w nim coś więcej niż dezaprobata, raczej zapowiedź nieuchronnej bury. Mimo to zupełnie lekkim tonem rzuciła:

– To ja już chyba wolę recitale, które namiętnie organizuje nam Weroniczka. Wyobraź sobie, że opiekunka śpiewa jej do snu kolędy i teraz mała w kółko to samo: „lulajsejesuniu” i „lulajsejesuniu”. Zagroziłam, że jeśli nie zmieni repertuaru, zamknę ją na balkonie. Niestety nie poskutkowało – zakończyła z udawanym żalem, bo tak naprawdę bezgranicznie uwielbiała swoją młodszą córkę i pozwalała jej wchodzić sobie na głowę. Bardziej konsekwentna była w stosunku do starszej. Pewnie dlatego Janka, zaledwie trzy lata starsza od Mili, zachowywała się częściej jak dorosła osoba niż jak dziecko.

Joanna odsunęła od siebie karton po pizzy. Został w nim jedynie samotny kawałek ciasta.

– Zaraz umrę z przeżarcia – oznajmiła, opierając głowę o sofę. Gapiała się na poprzecinany pajęczynkami pęknięć sufit, obracając w głowie obrazek Mili obejmującej za szyję Michała tamtej nocy, gdy wracali od Ważyków. Jako czteroletka

miała bardziej okrągłą twarz niż teraz. W ciągu tego roku wyrosła i jakby spoważniała, traciła typowo dziecięce rysy. Za dwa lata pójdzie do szkoły, chyba że znów namieszają w systemie edukacji, i nawet się nie obejrzą, jak skończy podstawówkę. Ile wtedy ona z Michałem będą mieli lat? Pięćdziesiąt jeden! Aż przeszył ją dreszcz.

Im była starsza, tym bardziej przesuwała sobie w myślach granicę wieku, za którą zaczynała się starość. Kiedyś trzydziestka wydawała się pierwszym krokiem ku śmierci, czterdziestkę spowijał śmiertelny całun, a pięćdziesiątka... Teraz zostało zaledwie dziewięć lat, a wciąż jeszcze nie potrafiła wyobrazić sobie siebie w roli seniorki. Gdy po raz pierwszy rozmawiały o śmierci, Mila zapytała, czy Joanna też umrze. Odpowiedziała ostrożnie, że tak, przecież wszyscy umieramy, do tego głównie sprowadza się życie. Mała zamyśliła się, a potem oznajmiła, że będzie trochę tęsknić, ale żeby mamusia się nie przejmowała, bo razem z babcią Ewą będą przychodziły na jej grób. „Tak jak na grób dziadziusia” – dodała i Asia domyśliła się, że matka musiała już rozmawiać z wnuczką o śmierci. Rozzłościła się wtedy, że matka ją ubiegła, odebrała przywilej osvajania dziecka z cierpieniem, jakby to naprawdę było coś cennego. Zadzwoiła do Ewy i oczywiście się z nią pokłóciła, jak zawsze. Od tamtej pory, gdy podczas wizyt w Gdyni Mila pytała babcię o dziadka Andrzeja, Ewa, patrząc w oczy córki, odpowiadała:

– Milenko, to już powie ci mama. Ona lepiej się na tym zna niż ja.

Joanna zaciskała zęby, słysząc gorzki ton w jej głosie, ale nie protestowała. Tak było rozsądniej.

– O czym tak myślisz? – zapytała Jagoda. – Chyba nie o jedzeniu?

– Nie. – Roześmiała się głośno, kładąc rękę na wzdętym brzuchu. – Chociaż było pyszne. Już dawno nie jadłam niczego tak dobrego. Po tym wypadku zupełnie straciłam smak, wszystko smakowało tak samo, aż do dzisiaj. No chyba że to dzięki wam. Jeśli tak, zamieszkajcie z nami, proszę!

– Daj spokój, miałabym ciągle kaca, to niezdrowe – mruknęła Jagoda, dolewając sobie wina. – To o czym myślałaś?

– Kiedy mówiłaś o tym, co w kółko śpiewa Weronika, przypominałam sobie, jak w zeszłym roku Mila nauczyła się grać koledy. Trochę mnie to zdumiało, bo przecież nie chodzi na religię. Zresztą jako jedyne dziecko. – Westchnęła ciężko, bo chociaż posłali małą do prywatnego przedszkola, żeby uniknąć religijnego tresowania, i tak nie obyło się bez perturbacji. Nieuczęszczanie na te zajęcia oznaczało, że ciocia brała



dziewczynkę za rękę i wyprowadzała ją z sali, gdzie fajna pani grała na gitarze i opowiadała bajki o Boży w niebieskiej sukience. Mila płakała, że chce zostać z innymi dziećmi, a potem wściekła rzucała Asi w twarz: „To przez ciebie! To twoja wina! Głupia mama!”.

Tak wyglądały początki edukacji w świeckiej placówce. Trochę trwało, zanim Mila zrozumiała, że to, że nie chodzą do kościoła i nie wierzą w Boga, nie czyni ich ani gorszymi, ani lepszymi od innych.

– Wiesz, dyrektorka na każdym zebraniu zapewniała mnie, że oddzielają sprawy religijne od całej reszty i jeśli chcę, mogą zrobić specjalnie dla naszej córki zupełnie świeckie jasełka, pewnie ci o tym opowiadałam. Zresztą pewnie też przez to przechodziłaś z Janką. – Spojrzała pytająco na Jagodę, ale ta milczała. Słuchała uważnie z opuszczoną głową. – Po czym Mila wracała do domu, wyciągała cymbalki i grała, jak gdyby nigdy nic, *Przybieżeli do Betlejem*. Trochę nas wtedy z Michałem wgięło.

– Ale że co? – rozległ się całkiem przytomny głos i obie spojrzały na kimającego dotąd beztrosko Michała, który przeciągnął się właśnie w fotelu i spuścił nogi na podłogę. – Coś mnie ominęło? – zapytał i cała trójka wybuchła śmiechem.

– Stary, co najmniej trzy pizze, jedna butelka dobrego czerwonego wina i... – Marek wyjął z kieszeni telefon i sprawdził godzinę – ...jakieś czterdzieści pięć minut.

– Mówiłam właśnie o tym, jak Mila grała kolędy na cymbalkach, pamiętasz? – rzuciła Joanna, idąc do kuchni z pustymi kartonami. Uchyliła okno, by wywietrzyć zapach sera i oregano, od którego trochę już ją mdliło.

– Mila? Na cymbalkach? – Michał patrzył na nią zdziwiony, kiedy wróciła do salonu. – Przecież ona nigdy nie miała cymbalków. Kiedyś chciałem jej kupić, a ty zaprotestowałaś.

Zatrzymała się w pół kroku. Nagle przed oczami przemknął jej obraz cymbalków i dziecięcej dłoni trzymającej drewnianą pałeczkę, a potem zniknął. Naprawdę nie miała cymbalków? Ale przecież...

– Ja to bym odgórnie zakazał sprzedaży tych upiornych sprzętów – odezwał się wesoło Marek, podnosząc się z podłogi i zerkając wymownie na żonę. – My zawczasu wyjęliśmy baterie ze wszystkich grających, piszczących i plumkających zabawek, więc dziatwa nawet nie miała kiedy się zorientować, do czego to tak naprawdę służy. Czasami wystarczyło wepchnąć w dziurkę kawałek nieugotowanego spaghetti. Pamiętasz, kochanie? Działa cuda, poważnie! No, a teraz idziemy. Jagoda, zbieraj się.

Jest późno. Jak tak dalej pójdzie, opiekunka będzie spała z nami w łóżku, a nie wiem, czy byś tego chciała – zawołał już z przedpokoju, wkładając buty.

Jagoda bez słowa zarysowała dłońmi w powietrzu krągłe kształty opiekunki i przewróciła oczami.

– Dzięki za wieczór. Cieszę się, że wpadliśmy. A ty na siebie uważaj, dobra? – Podeszła do Asi i mocno ją objęła. – Jakby co, dzwoń. Dla ciebie zawsze jestem, okej?

– Okej – odszepnęła i oddała bezwiednie uścisk, myśląc o tym, co przed chwilą powiedział Michał.

Chciała go o to zapytać, gdy tylko pożegnali się z Ważykami i zamknęła za nimi drzwi. Oparła się o nie plecami i spojrzała w głąb ciemnego przedpokoju. Jedyne światło padało teraz z salonu, w którym Michał zbierał ze stołu kieliszki i puste miski. Zaklął, gdy nadepnął na chipsa i rozległ się cichy trzask, stłumiony przez dywan. Ciepły żółtawy blask z mlecznej lampy zawieszanej pod sufitem wylewał się przed drzwi, prosto na pustą ścianę przedpokoju, gdzie kiedyś wisiały ich zdjęcia. Gdy zaszła w ciążę i Michał przekazał rodzicom, że zostaną dziadkami, Wacław dał im w prezencie komplet stylowych i bardzo drogich ramek. Powiedział, że skoro będą rodziną, muszą sobie stworzyć rodzinną ścianę pełną zdjęć rok po roku dokumentujących zmiany, ich wspólne zmiany. Taką samą zaczął tworzyć w swoim domu, gdy urodził się jego syn. Do pierwszej ramki włożyli to samo zdjęcie, które zamykało album rodzinny od matki: Joanna trzymająca dłonie na wypiętym brzuchu. Na kolejnym był śpiący Michał z maleńką Milą wtuloną w jego szyję. Ile ich już zawiesili? Pewnie z dziesięć. Niebawem będą musieli dokupić kolejny komplet ramek, chociaż im Mila była starsza, tym mniej robili zdjęć. Zresztą i tak musieli je zdjąć, bo ściana zaczęła pękać, tak samo jak sufit w salonie. Znajomy Wacława obejrzał ściany i stwierdził, że to błąd konstrukcyjny i trzeba będzie je zabezpieczyć, co wymagało drobnego remontu. Postanowili z nim poczekać do wakacji, kiedy wyślą Milę do babci Ewy, i pochowali wszystkie ramki. Pęknięcia na ścianie prowadziły teraz nie tylko od sufitu do podłogi, zdobyły całą ścianę wzdłuż i w szerz, układały się w tajemniczy wzór przecinających się ścieżek, przerywanych linii i pajęczyn. Asia dotknęła jednej z nich palcem, a potem przywarła do niej całą dłonią. Czuła lekkie mrowienie, jakby coś pulsowało w głębi ściany i próbowało wydostać się z niej przez szpary.

– Michał? – odezwała się cicho, niepewna, czy ją usłyszy.

– Hm?

– To, co mówiłeś o... – Zawahała się. Mrowienie przybrało na sile, coś pulsowało tuż

pod opuszkami jej palców. Przestraszona cofnęła gwałtownie dłoń.

– Tak?

Słyszała bicie własnego serca. Coraz szybsze, coraz głośniejsze. Zorientowała się, że się boi, nie wiedziała tylko czego. Strach wypływał gdzieś z brzucha, zimną falą oblizywał piersi, sięgał do obojczyków i przełyku. Zaraz ściśnie jej gardło.

– Nie, nic – odparła szybko i wyprostowała się. – Idę się umyć.

Zanim dotarła do łazienki, serce zaczęło się już uspokajać. Znowu było zwyczajnym, monotonnym rytmem.

Obudził ją głuchy trzask. Otworzyła oczy i spojrzała na śpiącego Michała. Leżał na wznak z otwartymi ustami i chrapał, jak zawsze po whisky. Szturchnęła go lekko łokciem i posłusznie przewrócił się na bok, posapując przez sen. Wsłuchiwała się w ciemność, ale dźwięk się nie powtórzył. Pod domem włączył się alarm samochodowy, wygłuszony przez szyby w oknach. Pulsujący blask świateł wpadał przez szparę między futryną a roletą i odbijał się w lustrze szafy. Odwróciła głowę. Nie zamierzała wstawać i poprawiać rolety, była zbyt zmęczona. Nie tak, jak ostatnio, gdy urywał jej się film – gdy tylko kładła głowę na poduszce, coś odcinało ją natychmiast od świata. Po prostu miała ochotę przytulić się do Michała i zasnąć. I znów coś trzasnęło. Usiadła na łóżku. Dźwięk dobiegał z przedpokoju. Zaniepokojona wstała i wyjrzała przez próg. Oczy przyzwyczajone do ciemności niczego na początku nie wyłapały, dopiero kiedy zrobiła krok do przodu, zauważyła nową szramę na ścianie. Czarna gruba linia biegła w poprzek i kończyła się przy samych drzwiach wejściowych. Wyglądało na to, że nie mogą już dłużej czekać z remontem, mieszkanie sypało się tak jak ona.

Zawracała już do sypialni, gdy kątem oka wychwyciła jakiś ruch, jakby coś małego poruszyło się w głębi przedpokoju. Przez moment pomyślała o kocie sąsiadów Piotrka. Czasem, gdy było u niego zbyt głośno, zwierzę dawało drapaka przez uchylone drzwi i zbiegało piętro niżej. Kilka razy znalazła je na wycieraczce, a raz w salonie, gdzie spało sobie spokojnie, zwinięte w kłębek. Kiedy wychodziły rano do przedszkola, Mila na korytarzu przypomniała sobie o Mani. Koniecznie chciała wziąć ją ze sobą i zanim zdążyła się rozplakać, Asia pozwoliła jej wrócić do środka. Nie zauważyła, że kocisko wykorzystało chwilę zamieszania i błyskawicznie wkradło się do mieszkania. Musiało się gdzieś ukryć, bo Michał, który tego dnia wychodził później do pracy, niczego nie zauważył. Dopiero kiedy koło południa wróciła do domu, osłupiała na widok kota na sofie. Być może kiedy zegnała się dziś w drzwiach z Ważykami, ten potwór znów przemknął jej między nogami i przycupnął gdzieś za szafką, a teraz buszuje po mieszkaniu.

Żeby nie budzić Michała, przymknęła drzwi od sypialni i wymacała ręką włącznik. Nie zadziałał. Zdziwiona zapaliła światło w łazience i zobaczyła, że podobna czarna linia wije się również na przeciwległej ścianie przedpokoju wokół włącznika. Zdumiona przyjrzała się sufitowi. Pokrywała go czarna gruba sieć pęknięć.

– O Chryste – jęknęła. Przedpokój wyglądał, jakby miał zaraz zapaść się pod

własnym ciężarem. – Michał? – rzuciła cicho przez ściśnięte strachem gardło. – Michał! – zawołała głośnie, ale nie usłyszała swojego głosu. Nagle powietrze wokół niej zawibrowało, rozległ się ogłuszający łoskot i wszystko runęło. Nawet nie zdążyła cofnąć się do łazienki. Na moment zapadła całkowita cisza, a potem coś zaczęło brzęczeć jej w ucho. Irytujący dźwięk nasilał się i zmusił ją wreszcie do tego, by potrząsnęła głową. Poczula, jak między zlepionymi wargami wciska się do ust gryzący pył. Był wszędzie: w uszach, w nosie, w oczach. Nie mogła już dłużej wstrzymać oddechu i kiedy nabrała powietrza, wirujące wokół drobinki kurzu, tynku i farby dostały się do płuc.

Zacząła się dławić. Kaszłała, spazmatycznie łapiąc oddech, łzy torowały sobie drogę po twarzy pokrytej grubą skorupą zaschniętego pyłu. Asia wyciągnęła przed siebie rękę, próbując się zorientować, w którym miejscu stoi i jak daleko jest stąd do sypialni. Nie wiedziała, czy i tam zawalił się sufit, czy Michałowi nic się nie stało. Bzyczący dźwięk stał się nagle tak piskliwy, że musiała zasłonić sobie uszy. Skulona, poczuła, jak coś obok niej miękko się poruszyło. Otworzyła oczy. Piekły, łzawiły, ale przynajmniej znów widziała. Przedpokój przypominał gruzowisko. Z połamanej szafki sterczały kawałki płyty i przysypane szarym kurzem buty. Ze ścian wystawały pręty, pourywane kable straszyły ostrymi końcówkami, a większe i mniejsze kawałki tynku i cegieł leżały na podłodze, blokując dojście do niemal całkiem zasypanych drzwi. Wszystko pokrywała gruba warstwa pyłu, który z wolna osiadał na ziemi. Asia przyglądała się temu z przerażeniem.

Przecież to niemożliwe, to nie mogło się stać, takie rzeczy nie zdarzają się w nowych blokach, tylko w kamienicach na Dworcowej, powtarzała sobie w myślach. To niemożliwe, to... I wtedy dostrzegła ślady stóp. Małych dziecięcych stóp odcisniętych w pyle. Przetarła oczy, ale ślady nie zniknęły. Wciąż tam były – prowadziły z salonu do pokoju małej.

Podobno strach matki o własne dziecko jest kwestią czysto biologiczną. Trzeba bronić potomka, by nie wyginęła cała populacja, by nie zerwał się łańcuch genów przekazywany z pokolenia na pokolenie. Stąd agresja u lwic, suk i kocic, kiedy coś grozi ich potomstwu. I u kobiet. Kiedy ich dzieci są w niebezpieczeństwie, kobiety stać na wiele, potrafią nawet zabić, rozszarpać napastnika pazurami. Joanna w ogóle nie myślała o tym w tej chwili. Na widok śladów stóp Mili momentalnie odcięła się od strachu. Z zimnym spokojem kogoś, kto doskonale wie, co zrobić, wykonała krok do przodu i przeszła przez gruzowisko. Drzwi wyglądały na nietknięte, tylko na samym środku odcisnięta była dłoń, jakby ktoś przed chwilą je pchnął i wszedł do środka.

Czyli małej nic się nie stało, dotarła do pokoju cała i zdrowa.

– Mila? Kochanie? – spytała cicho, żeby jej nie wystraszyć. – To ja, mama.

Weszła do pokoju. Panował tutaj dokładnie taki sam porządek, jaki zostawiła, sprząając przed wizytą Ważyków. Wszystko leżało na swoim miejscu. Rysunki ułożone w równy stos na biurku, wygładzona narzuta na łóżku, miśki na półce.

– Mila, gdzie jesteś? Nie chowaj się, myszko, już wszystko w porządku.

Nie przestając do niej mówić, zaglądała po kolei we wszystkie miejsca, gdzie mała lubiła się przed nią chować – pod biurkiem, za drzwiami, za zasłoną i w szafie. Nigdzie jej nie było. Asia gwałtownie zerwała z łóżka narzutę, przekonana, że zobaczy na kołdrze kształt zwiniętej w kłębek sylwetki. Ale znalazła tam jedynie pluszowego królika.

– Mila? – szepnęła z rozpaczą. – Gdzie jesteś?

Nie usłyszała jej, po prostu wyczuła za sobą obecność. Odwróciła się szybko i otworzyła ramiona. Tam, gdzie powinna być Mila, stała jakaś postać. Miała wzrost i kształt pięciolatki, ale kontury ciała rozlewały się, zamazywały, tworząc nieregularną czarną plamę. Joanna zeszywniała. Zrobiło jej się sucho w ustach. Kiedy oblizła wargi, poczuła gorzki smak pyłu. Ostrożnie wyciągnęła dłoń. Cokolwiek to było, zostawiło ślady stóp Mili.

– Mila?

Postać drgnęła, a potem wszystko wydarzyło się jednocześnie. Czarna plama gwałtownie się powiększyła do olbrzymich rozmiarów, sięgając niemal do sufitu. Jej środek pulsował, migotał, coś się w nim otwierało, jakby ktoś przesuwiał właz. W pokoju zrobił się przeciąg. Porwane z blatu rysunki pomknęły w tamtą stronę i zniknęły w ciemności. Z półek zsuwały się misie i książki. Czarna, wciąż powiększająca się plama wessała je wraz z narzutą, kołdrą i poduszkami. Asia kurczowo chwyciła się biurka, ale i ono już drżało, przesuwano się powoli w tamtym kierunku, i nagle znikło. Spojrzała na swoje dłonie. One też drgały, rozpuszczały się palec po palcu, rozpływały się. Pustka pożerała ją tak, jak morze podczas sztormu pożera plażę. Kiedy do pokoju wszedł Michał, chciała go ostrzec, zawołać, by uciekał, ale nie zdążyła. „Przecież nie chcesz jej skrzywdzić” – usłyszała jeszcze słowa Zofii i wchłonął ją gęsty mrok.

Wynurzyła się po drugiej stronie. Przez szparę między futryną a roletą wdarł się ostry promień słońca i odbił w lustrze. Asia zmrużyła oczy i odwróciła głowę. Michał

poruszył się przez sen i naciągnął na siebie całą kołdrę. Przez otwarte na oścież drzwi sypialni widziała przedpokój z porysowaną ścianą.

– Wyglądasz na wypoczętą – mruknął Michał, ziewając szeroko. – Wyspałem się za wszystkie czasy. O której poszliśmy wczoraj spać? Nie pamiętam, kiedy Ważyki... O Boże – jęknął, siadając gwałtownie. – Nie pamiętam za wiele z wczorajszego wieczora. Tylko nie mów, że film mi się urwał!

– Nie, nie było aż tak źle. – Parsknęła śmiechem. – Po prostu zasnąłeś w fotelu z kawałkiem pizzy w ręku, a potem obudziłeś się rześki jak skowronek. I równie szybko zasnąłeś w łóżku. Chcesz kawy? Albo aspirynę?

Michał zerknął na nią, rzucił okiem na zegarek i poderwał się.

– Nie, ty sobie leż. Przykryj się kołdrą i poleniuchuj, a ja zrobię ci śniadanie do łóżka. Co byś zjadła? Jajecznice? Płatki?

Mruknęła, że wszystko jedno. Tak naprawdę miała ochotę tylko na kawę z ekspresu. Wczorajsza pizza sprawiła, że Aśka znów chciała poczuć smak prawdziwej kawy. Oparła się wygodniej o poduszkę i pomyślała o aromacie kawy i gorącym kubku parzącym dłonie i wargi. Uśmiechnęła się do siebie.

– O, widzę, że wraca ci dobry nastrój. – Michał nachylił się nad nią i pocałował ją. – Nawet nie wiesz, jak się cieszę. Śniło ci się coś? – zapytał, rozglądając się za swoim szlafrokiem.

– Pamiętam tylko strzępy. – Zamyśliła się, przywołując nocne obrazy. – Jakies gruzy i morze – odpowiedziała po chwili. – A, i była tam jeszcze Mila, chyba pływała, chociaż nie jestem pewna, czy to ona, czy jakieś inne dziecko. O ile to w ogóle było dziecko. – Spojrzała na męża, który zastygł przed szafą. W lustrze widziała jego twarz. I nagle przypomniała sobie jeden kadr ze snu: jak znika wsysany przez ciemność. Nie spodobało jej się to, co zobaczyła. – Twój szlafrok jest na podłodze, po twojej stronie łóżka – dodała szybko, odrywając się od obrazu z koszmaru. – Zostawiłeś go tam wczoraj.

– Pływająca Mila? To chyba miałaś sny życzeniowe – zażartował. – Nie wiem, czy ona kiedykolwiek nauczy się pływać, skoro panikuje nawet w wannie. Ale wiesz co, ja chyba zaraz skoczę na basen. Kilka długości dobrze mi robi.

Z uśmiechem posłała mu pocałunek, gdy wychodził z sypialni, i wtedy dotarło do niej to, co przed chwilą powiedział. Jak to – Mila nie umie pływać? Przecież sama uczyła ją zeszłego lata. Pojechali wtedy nad jezioro, chyba w okolice Poznania, bo było w miarę blisko. Mała bez obaw wskoczyła do wody i nie chciała w ogóle wychodzić.

Pływała w kółku, dzielnie młóciła wodę nogami i musieli ją wyciągać siłą, kiedy jej zsiniałe usta zaczęły przybierać niebieski odcień.

– Co ty mó... – zaczęła, ale ekspres w kuchni zagłuszył słowa. Wstała, narzuciła na siebie sweter i poszła za Michałem. Zatrzymała się na chwilę w przedpokoju, kiedy jej wzrok padł na jedną z rys na ścianie. Wyglądała na świeżą. Dotknęła jej palcami i poczuła lekkie wibrowanie. Zdziwiona weszła do kuchni. Michał stał tyłem do niej i mieszał w kubku z kawą. Przecież nie słodziła, więc po co mu ta łyżeczka?

Zrozumiała, gdy obok dostrzegła torebkę z białym proszkiem. Wyglądał jak proszek do prania, drobno zmielona sól albo sproszkowane tabletki, które kiedyś podawali babce, bo nie chciała połykać lekarstw.

Joanna przełknęła ślinę i cicho zawróciła do sypialni. Przed drzwiami chwyciły ją mdłości. Ledwo dotarła do łazienki. Uklękała na zimnej podłodze przed sedesem i szarpana torsjami spazmatycznie łapała oddech. Długie nitki żółtego śluzu zwisały z ust i huśtały się w powietrzu. Zamknęła oczy, bo znów robiło jej się niedobrze. Gdy wyrzuciła już z siebie wszystko, opłukała usta i twarz pod zimną wodą, która spływała z czoła wraz ze słonymi kroplami potu. Zlizwała je z górnej wargi. Przynajmniej miały jakiś smak. Oparła się o umywalkę i patrzyła gorączkowo w swoje odbicie. Szukała w nim odpowiedzi, ale z lustra wciąż patrzyła na nią ta sama twarz. Co więc się zmieniło? I kiedy? Dlaczego wcześniej tego nie zauważyła? Dlaczego on... Zablokowała tę myśl.

Nie, to po prostu niemożliwe. Na pewno jest jakieś wytłumaczenie. Na pewno istnieje jakiś powód, dla którego dzieje się to wszystko. Dokładnie tak powiedziałyby Jagoda.

Jagoda!

Asia gwałtownie się wyprostowała. Musi porozmawiać z Jagodą. Musi się jej poradzić. Musi...

Odbite spojrzenie zmętniało, gdy tylko uświadomiła sobie, jak to zabrzmiało. I co niby miałyby powiedzieć? Że mąż potajemnie zwiększa jej dawki leków?

Wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze ustami.

Przecież zrobi z siebie wariatkę.

Przypomniała sobie uważne spojrzenia Ważyków, delikatne pytania Jagody, sztuczną wesołość w głosie Marka, kiedy nagle zmieniał temat rozmowy.

Boże, oni naprawdę mają ją za wariatkę! To już się stało. A może faktycznie ześwirowała?



Zbliżyła twarz do lustra – niemal dotknęła go nosem. Z tej odległości wszystko się rozmazywało. Oddech parował na chłodnej tafli i zamieniał się w płamę. Odsunęła się powoli. Dwoje rozgorączkowanych oczu nie spuszczało z niej wzroku. Płonęły intensywnym blaskiem. Żarzyły się jak dwa płonące czarnym ogniem punkty.

A jeśli to wszystko dzieje się tylko w jej głowie?

Te przeskoki w czasie, koszmary, dezorientacja, balansowanie na granicy między snem a jawą – czy to na pewno efekt wypadku?

Czy w ogóle mieli wypadek?

Czy...

Joanna odsunęła się od lustra i oparła o szklaną ścianę kabiny prysznicowej. Nawet przez sweter czuła przenikający ją chłód. Oblizywał jej plecy i sięgał znacznie głębiej, aż do serca. I dobrze, przynajmniej tego była pewna. Tak samo jak tego, że musi coś zrobić. Miała za dużo do stracenia, by to tak zostawić. Musiała poznać prawdę. Bo albo oszukiwała siebie samą, albo to Michał oszukiwał ją.

I był tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

– Jesteś blada – zauważył, gdy weszła do kuchni. Spojrzał znad otwartych drzwi lodówki i zmarszczył brwi. – Może się położysz? Jajecznicza zaraz będzie.

Potrząsnęła głową. Nie zamierzała się kłaść. Ani tym bardziej jeść. Owinęła się swetrem i wzięła z blatu kubek z kawą.

– Oblędnie pachnie. – Uśmiechnęła się do męża. – Właśnie tego potrzebowałam. Biorę ją do łazienki. Wezmę szybki prysznic i potem zjem. Zostaw mi na patelni pod przykryciem, dobrze? – Wspięła się na palce i cmoknęła go w policzek. Na więcej nie potrafiła się zdobyć.

Zaprotestował, przecież jajecznicza wystygnie i nie będzie smaczna, ale ona zniknęła już w łazience. Odkręciła wodę i wylała kawę do umywalki. Zostawiła tylko odrobinę na dnie, po czym wskoczyła pod prysznic. Przez szum wody słyszała, jak Michał zagląda do środka i otwiera szafkę z ręcznikami. Mówił coś, ale go nie słyszała. Kiedy otworzyła drzwi od kabiny, kubka już nie było, za to na zaparowanym lustrze widniało: JESTEM NA BASENIE. KOCHAM CIĘ. ZJEDZ! Starannie wyskrobała jajecznicę i wyrzuciła ją do śmietnika. Wyszorowała dwa razy patelnię i usmażyła sobie jedno jajko. Zjadła je z chlebem. Nie była głodna, po prostu musiała się przekonać, czy poczuje jakiś smak. Spojrzała na dzbanek ekspresu. Nie, wołała nie ryzykować. Zaparzyła świeżą kawę i piła ją małymi łykami, zastanawiając się nad tym,

co powinna zrobić poza oczekiwaniem na efekt odstawienia prochów.

Wiedziała, co ją czeka, ale to było jedyne wyjście.

W dodatku musiała ukrywać się przed Michałem, który nigdy dotąd nie widział jej w takiej fazie. Nie słyszał też zbyt wiele, bo Joanna nie wdawała się w szczegóły, kiedy opowiadała mu o tamtym zerwaniu z chłopakiem i przedawkowaniu. Nic nie powinno wzbudzić w nim teraz wątpliwości. O ile oczywiście matka go nie poinstruowała.

Zofia...

Joanna zamarła.

Jeśli Michał rzeczywiście mieszał w lekach, to czy ona o tym wiedziała?

– Boże! – jęknęła, obejmując dłońmi głowę. – Ja chyba naprawdę zwariowałam. Mężczyznę, którego kocham i któremu ufam najbardziej na świecie, podejrzewam o spisek. I to z kim? Z jego matką. Kto jeszcze mu pomaga? – zadrwiła sama z siebie. – Wazykowie? Waclaw? Moja matka?

Kiedy te słowa wybrzmiały w pustym salonie, odwróciła się wolno i spojrzała na ścianę w przedpokoju. Przed oczami zamiast splątanej sieci pajęczynek i grubych krech miała ich wspólne zdjęcia. To ze śpiącym Michałem i wtulonym w niego niemowlakiem, to z pierwszych urodzin Mili, kiedy straciła równowagę nad tortem ze świeczką i pacnęła twarzą prosto w polewę z białej czekolady, to z ogrodu przed domem w Lipianach, gdzie trzyletnia Mila polowała na żaby, i to z przedstawienia z okazji dni Babci i Dziadka w przedszkolu. Wystąpiła wtedy w białej bluzce, ciemnej plisowanej spódniczce i brokatowej koronie z kartonu, którą dostała od Waclawa. Nie chciała potem wrócić na zajęcia, bo ciocia kazała jej zdjąć koronę. Tłumaczyła, że ostre zakończenia mogą zranić inne dziecko, a ona przecież musi dbać o bezpieczeństwo wszystkich. Joanna uśmiechnęła się, gdy przypomniawszy sobie, jak Mila posłała cioci harde spojrzenie i oznajmiła, że w takim razie idzie do domu. Tamtej nocy, kiedy przytulona do niej Asia cicho śpiewała ostatnie słowa kołysanki „z cukru był król, z piernika paż, królowna z marcepanu”, nawet zasnęła w tej koronie.

Kawa była już zimna, ale wciąż smakowała jak prawdziwa kawa. Gorzki posmak spłynął do umywalki wraz z tamtą zaparzoną przez Michała. Bez względu na to, komu powinna teraz zaufać, Aśka wiedziała jedno: zrobi wszystko, by odzyskać córkę. Nawet jeśli będzie musiała zapłacić za to najwyższą cenę i spalić za sobą mosty łączące ją z Michałem, jego rodziną i ich przyjaciółmi. Może nie będzie musiała tego

robić? Może jej pokręcona głowa sama tworzy te wszystkie poplątane historie, które układają się w sieć pęknięć i zarysowań? Może i to da się naprawić?

Teraz jednak najważniejsza była Mila.

Kiedy Michał wrócił z basenu, czekała na niego w salonie. Leżała z zamkniętymi oczami na sofie pod kocem, a książka Irvinga otwarta na sześćdziesiątej ósmej stronie wyglądała, jakby wypadła jej z rąk i zsunęła się na dywan. Podeszedł na palcach i odłożył tom cicho na stolik.

– Cześć, kochanie – odezwała się zasnętym głosem. – Chyba się zdrzemnęłam. Zjadłam to pyszne śniadanie i musiałam się zregenerować. A jak było na basenie? Wypociłeś z siebie resztki kaca?

– Jakiego kaca?! – zawołał z udawanym oburzeniem, po czym opadł na sofę obok niej. – No dobra, przyznaję, miałem małego kaca. Właściwie kacyka. O, takiego. – Zademonstrował na palcach, zmniejszając odległość między nimi do centymetra. – A teraz jestem głodny jak wilk. I zmęczony – dodał, opierając głowę na jej ramieniu. – Co robimy z resztą tak przyjemnej niedzieli? Masz na coś ochotę?

– Na herbatę. I tym razem ja ją zrobię – oznajmiła stanowczo, podnosząc się z miejsca. – Ty mógłbyś wziąć porządny prysznic. Włosy śmierdzą ci chlorem – dodała, krzywiąc się lekko. – A potem może obejrzymy film?

Michał zmrużył oczy i wymruczał, przeciągając sylaby:

– A może zrobimy coś innego?

Roześmiała się.

– Nic z tego, Romeo. Dostałam dziś okres.

Na jego twarzy zauważyła cień ulgi, starannie przykrytej grymasem zawodu.

– No to wygląda, że nie musisz robić testu – odparł, podnosząc się z sofy.

– Testu? – zapytała. Włożyła w to sporo serca, naprawdę postarała się, by zabrzmiało to jak zdziwienie.

– Nie pamiętasz? Kupiłem ci test ciążowy, bo dziwnie się czułaś.

– Nie pamiętam – przyznała z uśmiechem dzieciaka złapanego na kłamstwie. – Ale teraz nie jest już potrzebny. No, leć pod prysznic.

Już w przedpokoju odwrócił się do niej i rzucił jakby mimochodem, że rozmawiał z matką.

– Nie wiedziałem, że udało ci się do niej dodzwonić – dodał. – A jednak przydał się

telefon stacjonarny.

– Prawda? – Joanna nasypywała herbaty do dwóch kubków. Łyżeczka lekko zadrżała jej w dłoni. – Trochę przerywało, ale to przez kabel. Wtyczka wysunęła się z gniazdka, więc ją docisnęłam. Już nie mogę się doczekać, kiedy oddadzą mi komórkę – westchnęła, nalewając wodę z czajnika.

Mruknął coś w odpowiedzi i poszedł szybko do łazienki, gdzie specjalnie zostawiła na wierzchu otwarte pudełko z tamponami. Nie, nie miała wcale okresu, ale tylko to przyszło jej do głowy jako wymówka. Michał nie lubił widoku krwi, tym bardziej podczas uprawiania seksu, a ona nie zamierzała się z nim kochać, dopóki nie wyprostuje całej tej sprawy. I tak nie byłaby w stanie. Jagoda potrafiła tą metodą kończyć kłótnie z Markiem, w jakiś niepojęty dla Aśki sposób przemieniała swój gniew na męża w pożądanie, w którym wypalały się wszystkie złe emocje. Małe małżeńskie katharsis oczyszczało relacje między nimi i przywracało stan harmonii, co Jagoda wiele razy jej polecała. Ona jednak nie była w stanie się do tego zmusić. Jeśli wkurzyła się na Michała, całe libido szlag trafiał, jakby wraz z naruszeniem równowagi w ich związku dochodziło u niej do zaniku pożądania.

Na ekranie laptopa dwóch półnagich mężczyzn okładało się pięściami. Michał zachowywał się tak, jak otaczający ich w kręgu faceci – podekscytowany wydawał z siebie zduszone okrzyki, gdy zbieleły kostki dłoni pokrywały się nagle krwią przeciwnika. Oglądali *Podziemny krąg*. Lubił ten film i często do niego wracał, chociaż nigdy już nie udało mu się odtworzyć tego wrażenia, jakie zawładnęło nim za pierwszym razem. Nie chodziło o element zaskoczenia, jak powtarzał przy każdej okazji, tylko o to niepowtarzalne olśnienie, jedyne w swoim rodzaju, że to film o nim. Asia leżała obok i wpatrywała się w ekran. Z ochotą przystała na propozycję Michała, by obejrzeć ten film – wiedziała, że to skutecznie odwróci jego uwagę. Patrzyła na Brada Pitta siłującego się z Edwardem Nortonem i czuła oplatające ją macki. Ścisnęła pierś, utrudniając oddychanie, i głowę, zapowiadając nadchodzącą migrenę. Spodziewała się tego, tak jak pozostałych skutków z długiej listy efektów odstawienia, chociaż nie zrezygnowała z leków całkowicie. Po tylu latach funkcjonowania na benzodiazepinach odstawienie ich z dnia na dzień mogłoby być zabójcze. Ciotka Anka wypowiedziała monotonnym głosem całą litanię możliwych skutków ubocznych, kiedy Aśka na studiach bez konsultacji z nią zwiększyła sobie dawkę. To było tuż przed wyjazdem do Wrocławia, gdy spędziła trochę ponad tydzień na detoksie. Ciotce z trudem udało się ją wcisnąć na oddział, podawała jej dożylnie leki łagodzące odstawienie, zmieniała dawki i sprawdzała, jak na nią działają, a kiedy

Aśka potrafiła już stawić czoło życiu, wróciła do poprzedniej dawki. Nie, nie trwało to wcale tydzień, raczej grubo ponad pół roku, zanim znowu zaczęła spać. Pozostałe efekty udało się zminimalizować przy odpowiednich środkach. Przynajmniej teraz wiedziała mniej więcej, czego się spodziewać. Na szczęście mogła wykluczyć biegunki i ataki paniki, które nie pozwalały innym normalnie funkcjonować. Niektóre elementy zespołu abstynencyjnego do złudzenia przypominały te po odstawieniu narkotyków czy alkoholu – halucynacje i wrażenie, że pod skórą pełzają robaki, były na porządku dziennym, ale akurat nie u niej. „Każdy organizm reaguje inaczej” – przekonywała ją ciotka. „Co wcale nie oznacza, że następnym razem twój nie wywinie ci zupełnie innego numeru” – dodawała zupełnie niepotrzebnie, bo po tamtych kilku dniach na oddziale Aśka już za nic w świecie nie zwiększyłaby sobie dawki. Znała takich, którzy robili to nagminnie. Na studiach spotkała sporo projektantów – zdolnych, choć nie wystarczająco, by osiągnąć to, co zamierzali, więc musieli sobie pomagać na inne sposoby. Kiedy prosto z całonocnej imprezy szło się na zajęcia, wystarczyło wyłuskać z blistra małą okrągłą tabletkę. Nie trzeba było nawet popijać.

W okolicach sesji ludzie wymieniali się receptami, zwinięte w ruloniki wędrowały z kieszeni do kieszeni. Pomagały się dostosować, przetrwać. Oczywiście, że próbowali wyżebrać coś od niej. Skoro mieli źródło tuż pod nosem, grzechem byłoby nie spróbować. Odpowiadała twardo, że nie zajmuje się dilerką, lecz jeśli zaczniesz, z pewnością ich o tym powiadomi. Ciotka czasem mrużyła jedno oko i kiedy rodzice nie słyszeli, kpiącym tonem sugerowała, że owszem, w ten sposób zarobiłaby znacznie więcej niż na tym swoim projektowaniu wnętrza. Przy siostrze i szwagrze nigdy nie pozwalała sobie na żarty z zaburzeń siostrzenicy, nie tylko dlatego, że Ewa i Andrzej wciąż widzieli w swojej córce cudowne dziecko naznaczone darem – darem, który okazał się przekleństwem, więc musieli go zablokować. Na początku wyprowadzało to Ankę z równowagi, nazywała ich zabobonnymi wieśniakami i wściekała się, że wmawiają Asi takie bzdury, jednak szybko jej przeszło. Po prostu skupiała się na utrzymaniu odpowiedniej dawki leków w organizmie Asi, by umożliwić jej normalne życie.

Tamtego dnia, kiedy Ewa zadzwoniła z wieścią o szkolnym wypadku Asi, Anka spaliła czajnik. Nie usłyszała gwizdka, chociaż siedziała w maleńkiej kuchni na taborecie i zamyślona wpatrywała się w okno. Wciąż trzymała dłoń na słuchawce odłożonej na bazę, jakby czekała na kolejny telefon od siostry. Do tej pory łudziła się, że problemy Asi da się jakoś obejść, że burza hormonów nastolatki zrobi rewolucję w organizmie i ustabilizuje ich właściwy poziom. Manewr z rękawiczkami nie był

przecież rozwiązaniem problemu, to miał być tylko taki wybieg, drobne oszustwo z troski o Ewę, która obsesyjnie wręcz martwiła się o córkę. Asia po prostu była bardzo wrażliwą dziewczynką, wydawała się mieć znacznie więcej empatii niż rówieśnicy, wszystko traktowała poważniej, odczuwała to całą sobą. Pewnie gdyby Ewa z Andrzejem posłuchali i wcześniej przeprowadzili się do Gdyni, życie małej wyglądałoby zupełnie inaczej. A tak, karmiona zabobonami, otoczona przez ignorantów i niedouczonego prostaków, uwierzyła, że potrafi zobaczyć więcej niż inni, jeśli tylko dotknie czyjejś dłoni. I właśnie to doprowadziło do katastrofy.

Kiedy Ewa zabrała Asię ze szpitala i przywiozła do Gdańska, Ania w wychudzonej, bladej i przerażonej dziewczynce z trudem rozpoznała siostrzenicę. To dziecko zawsze było pełne życia, ciekawe świata, otwarte, a teraz wydawało się nieobecne. Asia uciekła od wszystkich i wszystkiego, schowała się w sobie i nie reagowała na próby nawiązania kontaktu. Wpatrywała się przed siebie niewidzącym wzrokiem, jej źrenice zwięzały się pod wpływem światła, ale jakby z opóźnieniem, cofała dłoń, gdy dotknęła gorącego kubka, choć odrobinę za wolno. Umysł nie wyłączył się całkowicie, tylko otoczył grubym murem – Ania próbowała to wyjaśnić siostrze, która nie przestawała płakać.

– Może w tej szkole wydarzyło się coś jeszcze? Coś, o czym ci nie powiedzieli? – dopytywała, bo nie chciało jej się wierzyć, że chodziło tylko o rękawiczki. Asia nosiła je od siódmego roku życia, były dla niej gwarancją bezpieczeństwa, ale na miłość boską po tylu latach jej umysł powinien już stworzyć sobie własny stabilizator! I pewnie by stworzył, gdyby od małego nie atakowano go opowieściami o cudownym dziecku, wizjach przyszłości i wyjątkowym darze. Anka wściekała się na siebie, że nie udało jej się w porę tego przerwać, że się spóźniła. Przynajmniej teraz miała szansę to wszystko odwrócić. Postanowiła, że na jakiś czas odetnie Asię od matki – jej łapczywej troski, zboląłego spojrzenia. Wtedy po raz pierwszy przyjęła siostrzenicę na oddział.

Joanna niewiele pamięta z tamtego okresu, ledwie strzępki obrazów. Lakierowane szafki z meblościanki, w których odbijało się światło jarzeniówek ze szpitalnego korytarza, roztańczone cienie, jakie nocą rzucał na ściany potężny fikus. Bała się ich, ożywały, gdy życie na oddziale zamierało i pogrążało się w chemicznym śnie. Ona, mimo różnych środków nasennych, które co wieczór dostawała w kroplówce, nie mogła zasnąć, dopóki nie zaczęła reagować na podsuwany pod nos plastikowy kieliszek z tabletkami. Leżała nieruchomo z szeroko otwartymi oczami i patrzyła na sufit obłany pokrątkowanym pomarańczowym światłem latarni ze szpitalnego dziedzińca. W pokoju nie było ani rolet, ani zasłon. Tylko kraty. Nawet ich nie

zauważała. Ciotka Anka siedziała przy jej łóżku każdej nocy. Nie wracała do siebie. Przysuwała sobie fotel bliżej Asi, kładła stopy na prześcieradle i drzemała czujnie, budząc się na każdy odgłos. Jedyne, co Joanna pamiętała z tamtego czasu, to szpara w suficie. Znajdowała się dokładnie nad jej głową i im dłużej wpatrywała się w tę niewielką szczelinę, tym bardziej się powiększała. Kiedy stała się na tyle duża, by przebiło się przez nią światło z drugiej strony, Asia zaczęła reagować. Najpierw wykonywała polecenia – wstań, połknij, zjedz – potem sama podejmowała inicjatywę i wreszcie odblokowała się na tyle, by znowu mówić.

Szło jej opornie, każde słowo kosztowało wiele wysiłku, ale udało się. Wciąż jednak miała problem z opuszczeniem pokoju. Kiedy zbliżała się do drzwi, serce zaczynało walić jak oszalałe, oddech się skracał, a ciało oblewał lodowaty lepki pot. Podobnie reagowała na innych ludzi. Ciotka, widząc, co się dzieje, odseparowała ją od pacjentów i personelu i wprowadziła łagodne lekarstwa na stany lękowe, a kiedy nie zadziałały, zmieniła je na mocniejsze.

I nagle odzyskała swoją dwunastoletnią siostrzenicę.

Asia sprawiała wrażenie wybudzonej z długiego snu.

Kiedy zalana łzami matka wpadła do pokoju i objęła ją mocno, dziewczynka patrzyła na nią ze zdziwieniem, jakby nie do końca kojarzyła, co się właściwie stało.

Po dwóch tygodniach ciotka wypuściła ją z oddziału i zabrała do siebie, a Ewa załatwiała przeprowadzkę. Nie było ich stać na wiele, z pewnością nie na mieszkanie na Morenie, gdzie mieliby blisko do Ani. Dzięki znajomościom siostry Ewa znalazła wreszcie całkiem przyzwoity trzypokojowy lokal w nowych blokach w gdyńskiej Chyloni i posadę nauczycielki w szkole na Grabówku, zaledwie kilka przystanków trolejbusem. Mieszkała tam zresztą do dziś. A Ania...

Joanna poruszyła się i westchnęła. Michał nieopatrznie to zrozumiał i szybko zabrał rękę z za jej pleców.

– Niewygodnie ci?

– Nie, tylko oczy mi się zamykają – odparła sennie, przykładając głowę do poduszki.

– Wyłączyć film?

– Nie, nie trzeba. Zdrzemnę się na chwilę, nie przejmuj się mną.

Michał ściszył dźwięk i przestawił laptopa tak, by nie przeszkadzało jej światło. Mogła znowu w spokoju pogрузić się we własnych myślach. Teraz krążyły niespokojnie wokół ostatnich słów kołysanki: „z cukru był król, z piernika paż,

królewna z marcepanu”. Nie mogła sobie przypomnieć, co było wcześniej. Tę piosenkę śpiewała co wieczór Mili, czasem tylko jedną zwrotkę w kółko, bo mała najbardziej lubiła właśnie tę ostatnią. Jak ona się zaczynała? „Lecz żeby ci nie było żal, dziecino ukochana...”. Asia uśmiechnęła się do siebie i nagle, jak w przebłysku, wróciły do niej słowa z poprzedniej zwrotki: „Króla zjadł pies, pazia zjadł kot, królewnę myszka zjadła”.

Pomasowała sobie skronie, coraz bardziej łupało ją w głowie. Ze wszystkich skutków odstawienia najgorzej znosiła migreny. Przychodziły nagle, choć poprzedzało je przeczulenie na dźwięki i zapachy, od których robiło jej się niedobrze. Rzygała pochylona nad sedesem, a głowa pulsowała rytmicznie, jakby coś rozsadzało ją od środka i za wszelką cenę próbowało wydostać się na zewnątrz. Czasem musiała ją mocno ścisnąć dłońmi, bo inaczej by się rozpadła, eksplodowała na tysiące kawałków, krwawych strzępów kości i tkanek. Tak się właśnie czuła przez pierwsze trzy miesiące po tamtym przedawkowaniu.

– Tylko to? – zapytała ciotka, a potem wyrecytowała długą listę skutków odstawienia.

Nadmierne pocenie się, utrata wagi, poczucie dezorientacji i opuszczania własnego ciała, halucynacje, depresja, nadwrażliwość na światło, dźwięki i dotyk, objawy grypopodobne, migreny, zaburzenia równowagi, ataki padaczki i przede wszystkim bezsenność.

– Raz będzie lepiej, raz gorzej – mówiła. – Będą dni, kiedy poczujesz się wspaniale, a potem zniecka to wróci. U niektórych trwa to nawet rok, a bywa, że i dłużej.

Ile trwało u niej? Joanna nie potrafiła przypomnieć sobie tej granicy, za którą zespół abstynencyjny nie miał już na nią wpływu. Po prostu pewnego dnia zdała sobie sprawę, że od dłuższego czasu czuje się całkiem przyzwoicie. Nie żeby od razu wspaniale, po prostu znośnie, i ten stan w zupełności jej wystarczał, aż poznała Michała. Zachwycona opowiadała ciotce, co się z nią dzieje, kiedy tylko myśli o nim, o zalewającej ją fali czułości i radości, o cieszeniu się ze wszystkiego, o zwracaniu uwagi na najmniejsze pierdoły. Teraz potrafiła godzinami wpatrywać się w źdźbło trawy i zachwycać się jego kształtem, kolorem i cieniem, jakie rzuca na ziemię.

– Co się ze mną dzieje? – zapytała ją ze śmiechem. – To w związku z tym nowym lekiem? Czemu wcześniej mi go nie dałaś?

A Anka pogładziła ją z czułością po policzku.

– Zakochałaś się, głuptasku, i dlatego tak się czujesz – odpowiedziała po chwili.



Ona jako pierwsza dowiedziała się o tym, że Joanna zaczęła potajemnie się umawiać z synem profesor Helman. Miała na końcu języka „Uważaj, co robisz, bo to ryzykowne”, jednak nigdy tego nie powiedziała. Słuchała tylko siostrzenicy i cieszyła się z jej szczęścia.

Gdyby ciotka żyła, Joanna bez wahania by do niej pojechała. Wsiadłaby w pociąg, kilka godzin później stanęła pod jej drzwiami, a potem opowiedziała o wszystkim. Mogłaby też poprosić, by przyjęła ją na kilka dni na oddział, podała antidotum i środki łagodzące objawy odstawienne, a przede wszystkim pomogła trzeźwo spojrzeć na to, co się działo od kilku, a może kilkunastu dni. Jeśli nie trwało to znacznie dłużej, bo nawet tego Asia nie była już pewna.

Miała wrażenie, że rozżarzony gwóźdź wbija jej się rytmicznie w prawą skroń. Czasem przynosił ulgę lekki ucisk kości brwiowej, ale nie tym razem. Wsunęła się pod kołdrę, by nie czuć przynajmniej zimna. Udawała, że śpi, gdy Michał zapytał, czy napije się herbaty. Leżała z zamkniętymi oczami, oddychając równo, spokojnie, chociaż czuła, jak od środka rozpala ją gorączka. W nocy, gdy już zasnął, wstała i z trudem dowlekła się do łazienki. Łamało ją w kościach, szczękały zęby, a igielki lodowatego chłodu wbijały się w kręgosłup. Wcale nie musiała oszukiwać Michała, gdy rano powiedziała, że nic nie przełknie, bo fatalnie się czuje.

– Co ci jest? – zapytał zaniepokojony, kładąc dłoń na jej czole. Była rozpalona.

– Chyba mam gripę – wychrypiała. – Kupisz mi coś w aptece po pracy?

– Jasne. Zostań dziś lepiej w łóżku.

I tak nie miała siły nawet się podnieść, chociaż rozsądek podpowiadał, by z tym walczyć. Organizm nie zmagał się z chorobą, tylko z brakiem odpowiedniej dawki leku, do której zdążył się już przyzwyczaić. Podobnie było ostatnim razem, tylko że wtedy ciotka podała jej środki, dzięki którym w miarę bezboleśnie zeszła do właściwej dawki. Poprzedniego dnia w starym notesie z numerami telefonów zaczęła zapisywać, o której godzinie bierze leki. Tak będzie łatwiej uporać się z objawami zespołu i przynajmniej już się nie pomyli. Nie chciała też pomylić się co do Michała, więc ograniczyła się wyłącznie do picia i jedzenia tego, co sama sobie przygotowała. Na wszelki wypadek mu o tym nie wspomniała. Ta część jej umysłu, która bezgranicznie go kochała i darzyła całkowitym zaufaniem, po prostu nie chciała go urazić, a ta druga, do której istnienia wołała się nie przyznawać, szeptała do ucha, by nie ryzykować. Bo co, jeśli on... I chociaż Joanna wciąż nie dopuszczała do siebie tej myśli, słuchała tych ostrożnych podszeptów. Przecież już go okłamała, mówiąc o okresie, a skoro zrobiła pierwszy krok... „Lecz żeby ci nie było żal, dziecino

ukochana” – odezwało się natrętnie w jej głowie.

– Kochanie, zostawiam ci na stoliku banana i butelkę wody. Wrócę dzisiaj wcześniej. Pozałatwiam tylko najpilniejsze rzeczy i jestem z powrotem. Co chcesz z apteki? Fervex?

Kiwnęła głową. Jasne, cokolwiek, i tak przecież tego nie weźmie. Po prostu musi przeczekać. Kiedy za Michałem zamknęły się drzwi, sięgnęła po owoc i przyjrzała mu się uważnie. Skórka wyglądała na nienaruszoną. Aśka zdjęła ją i powoli zjadła banana. Smakował beznadziejnie, jakby był z papieru, ale przynajmniej bez tej gorzkiej nuty. Drżąc z zimna, narzuciła na siebie sweter i poczłapała z butelką do kuchni. Wylała wodę do umywalki, a potem nalała świeżą prosto z kranu i sięgnęła po blister z tabletkami. Musiała teraz połknąć jedną, żeby organizm nie zaczął wariować jeszcze bardziej. „Nie wolno odstawiać leków gwałtownie, trzeba schodzić z dawki stopniowo” – rozbrzmiewały jej w głowie słowa ciotki. Kiedy poczuła na języku okrągły kształt tabletki, ogarnęło ją błogie wrażenie ukojenia. Lek działał, zanim dostał się do krwioobiegu, nim dotarł do jej mózgu i połechttał neuroprzekaźniki – działał, gdy tylko wiadomość o tym, że zaraz znajdzie się w organizmie, pojawiła się w głowie Aśki.

„Króla zjadł pies, pазia zjadł kot”.

Odczekała kwadrans, po czym ze znacznie jaśniejszym umysłem wyjęła z szafki w przedpokoju aparat stacjonarny i wystukała na klawiaturze numer matki. Po chwili w słuchawce rozległ się jej zdziwiony głos:

– Tak, słucham?

– Cześć, mamó. To ja.

Ewa zaniemówiła. Odsunęła od twarzy komórkę i jeszcze raz spojrzała na numer, który jej się wyświetlił.

– Asia? – zapytała niepewnie.

– No a kto inny? – Aśka westchnęła z rezygnacją. Już pożałowała, że zadzwoniła, ale nie mogła się teraz rozłączyć. – Dzwonię ze stacjonarnego. Okazało się, że wciąż go mamy.

– Ach tak, rozumiem – odparła Ewa, siadając przy kuchennym stole z telefonem przyciśniętym do ucha. Drugą ręką sięgnęła po pilota i wyłączyła telewizor. – Jak się czujesz?

Joanna zacisnęła zęby. Jak się czuje? Miałam wypadek, mamó. Trafiłam do szpitala, nie pamiętam, co się wydarzyło, w ogóle mam luki w pamięci, a mój mąż

najprawdopodobniej...

– Dobrze.

– Michał skontaktował się ze mną zaraz po wypadku i o wszystkim mi opowiedział. Próbowałam się do ciebie dodzwonić, ale w ogóle nie ma sygnału. Jeszcze nie naprawili twojego telefonu?

– Nie, jeszcze nie. Dlatego znalazłam ten stary aparat.

– Tak się cieszę, że dzwonisz! – powiedziała nagle radośnie matka i Asia naprawdę usłyszała tę radość w jej głosie. – Już nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie porozmawiamy. Michał dzwoni regularnie i powtarza, że potrzebujesz jeszcze czasu. Głowa wciąż cię boli?

Aśka dotknęła prawej skroni. Ostry ból migrenowy przestał kąsać, gdy tylko połknęła tabletkę, jak pies, któremu rzuci się kość.

– Właściwie nie – odparła. – Jest już znacznie lepiej. Pamięć wciąż trochę mi szwankuje, ale przynajmniej ogarniam teraz wszystko, co działo się po wypadku. Gorzej z tym, co było wcześniej. Właśnie, czemu przyjechaliśmy do ciebie akurat wtedy? – rzuciła szybko, licząc, że matka nie obrazi się na tak zadane pytanie. Nie obraziła się.

– Mieliście przyjechać wcześniej, na długi weekend, ale Michał nie dostał wolnego. Dali mu dopiero tydzień później, więc zjawiliście się już po Wszystkich Świętych – dodała z lekkim wyrzutem. No tak, samochód po śmierci taty całkiem się rozkraczył, a mama nie chciała inwestować w nowy. Stary rupieć, jak mawiała o kilkuletniej skodzie, sprzedała za bezcen dwóm studentom, którzy potrzebowali auta na wakacje. Pewnie zepsuł się, gdy tylko wyjechali na obwodnicę. Od tamtej pory jeździła komunikacją miejską, więc pierwszego listopada wraz z tłumem ludzi wymachujących torbami pełnymi zniczy, szmatek, zapalek i sztucznych kwiatów musiała wcisnąć się do zatłoczonego autobusu. Gdyby nie urlop zięcia, pojechałaby wygodnie ich autem. – Mieliście zostać na cały tydzień – ciągnęła matka – a potem nagle okazało się, że już musicie wracać. Michał chyba dostał telefon z pracy. Nawet nie zdążyłaś sobie odpocząć.

Odpocząć? Aśka nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego miałyby w ogóle być zmęczona. Szczerze mówiąc, nie przychodził jej do głowy ani jeden powód, dla którego na odpoczynek wybrałaby właśnie dom rodzinny, miejsce, w którym zawsze musiała się pilnować, by nie powiedzieć za dużo, nie popatrzeć zbyt szczerze i nie wzdychać za często.

– Przyjędziemy niebawem – skłamała. Do świąt został ponad miesiąc, więc temat wizyty jeszcze się nie zaczął. Nie uśmiechało jej się znów telepać przez całą Polskę, by spędzić trzy dni przy stole z potrawami, których nie znosiła. Najchętniej zostałaaby w domu, zamówiłaby pizzę, upiekła w piekarniku domowe frytki i zrobiła popcorn w mikrofali. Miła z pewnością by to doceniła, ale nie Michał.

Obowiązkowe rodzinne obiady świąteczne doprowadzały ją do szału. Prasowane koszule, wyjściowy makijaż i kiecki maskujące rozdęty bigosem brzuch. Wolałaby ściągnąć matkę do Wrocławia, zorganizować jeden męczący obiad z teściami i zwiać w góry. Może to jest jakiś pomysł? Obiecała sobie wrócić do tego, nim Zofia zaplanuje wszystko w najdrobniejszych szczegółach.

– Na pewno dobrze się czujesz? – zapytała po chwili wahania mama. – Chciałam do ciebie przyjechać, ale wiesz, dwa tygodnie temu babcia dostała zapalenia płuc i musieli ją zabrać do szpitala. Nic jej nie jest – dodała szybko, zanim Aśka zdążyła się zdziwić. – Już zresztą wróciła do domu opieki. Jej to chyba nic nie... – Urwała ze skrępowanym śmiechem.

– No wiem. – Joanna uśmiechnęła się w duchu. Dobrze było jednak czasem przekonać się, że matce nie do końca wygodnie z tą rolą świętej męczennicy. – A co u ciebie?

– Jakoś leci. W zeszłym tygodniu byliśmy z dziewczynami na zabawie andrzejkowej w klubie seniora. Wyszalałam się za wszystkie czasy. Na sylwestra też się tam wybieramy. Idziemy we czwórkę, żadnych chłopów! – oznajmiła wesoło. – No chyba że chcesz, żebym do was przyjechała? Jakby co, nie ma sprawy.

– A co, zamierzasz zostać babysitterką? – rzuciła Aśka, kręcąc na palcu kabel od słuchawki. O sylwestrze w ogóle jeszcze nie myślała. Pewnie spędzą go wspólnie z Ważykami, jak zawsze. Dziewczynki pójną spać tuż po północy, a oni jakieś dziesięć minut później.

Matka mruknęła coś do słuchawki bez entuzjazmu, najwyraźniej doszła do wniosku, że się zagalopowała. Joanna obiecała, że niebawem zadzwoni, i pożegnały się. Dopiero kiedy położyła się z powrotem do łóżka i znów poczuła dreszcze, uświadomiła sobie, że matka nawet nie zapytała, co u Mili.

– Babcia stulecia – prychnęła i nakryła się kołdrą. – Będzie gadać o zabawie andrzejkowej, a nawet się nie zająknie na temat wnuczki.

I wtedy nagle ją poraziło. Usiadła gwałtownie na łóżku, aż zakręciło jej się w głowie. Zabawa andrzejkowa? Przecież minęło zaledwie kilka dni od powrotu

z Gdyni, powinna być co najwyżej połowa listopada. Zdezorientowana ruszyła z powrotem do salonu, szukając jakiejś w miarę świeżej gazety. Michał zazwyczaj kupował magazyn „Duży Format”, czytał na wrywki przez kilka dni, a potem upychał gdzieś po kątach. Mogła też co prawda zadzwonić ponownie do matki i zapytać o to, jaki dziś jest dzień, ale na samą myśl o jej reakcji od razu zrezygnowała. Kiedy znalazła gazetę, czas nagle przyspieszył, a potem zaczął zwalniać. Zatrzymał się, gdy Aśka spojrzała na datę.

„Lecz stała się pewnego dnia rzecz straszna niesłychanie, króla zjadł pies, pazia zjadł...”.

Trzeci grudnia.

– Cześć! – usłyszała zaraz po tym, jak w drzwiach przekręcił się klucz. – O, wstałaś? – Michał stał w przedpokoju, mocując się z zamkiem kurtki. – Uch, to cholerstwo znowu nawala. – Sapnął z irytacją i szarpnął mocniej suwakiem, który z cichym „płok” oderwał się od zamka i został mu w palcach. – Kurwa! – Zdjął kurtkę i obejrzał z bliska suwak. – Świetnie, teraz trzeba będzie wszyć nowy zamek – mruknął, wchodząc do salonu. – Widzę, że jednak nie do końca wstałaś.

Nie wiedziała, o co mu chodzi, dopóki nie spojrzała na swój strój. Wciąż miała na sobie piżamę i sweter. Wzruszyła ramionami. Migrena wróciła, na szczęście z mniejszą siłą, za to bardziej łamało ją w kościach. W ciągu tych kilku godzin do objawów dołączyły również halucynacje, choć równie dobrze mógł to być efekt gapienia się w jeden punkt na ścianie, a raczej jedną rysę, która wyginała się, wybrzuszała i skręcała jak ogon węża. Aśka oblizwała spękane wargi.

– Jaki jest dzisiaj dzień? – wychrypiała. Miała suche gardło, zupełnie jakby było pełne pyłu.

– Poniedziałek.

– Ale który?

Michał posłał jej pytające spojrzenie.

– Dziesiąty – odparł niepewnie.

– Grudnia?

Skoro nie zauważyła, jak uciekł jej miesiąc, jak trzydzieści dni po prostu wyparowało, wołała się upewnić.

– Owszem. I to dwa tysiące osiemnastego roku, proszę pani – rzucił lekko Michał, przekonany, że Asia żartuje. – Ej, a może ty masz gorączkę, co? – Podszedł do niej

i położył dłoń na jej czole. – Jesteś rozpalona! Naprawdę wzięła cię grypa. Połóż się lepiej. Zaraz coś ci przyniosę.

Poszła bez słowa do sypialni i rzuciła się na łóżko. W głowie wirowały jej daty i obrazy z poszczególnych dni. Jedne nie pasowały do drugich, jakby wymieszała ze sobą kawałki z dwóch różnych układanek. Po nieprzespanej nocy była potwornie zmęczona. Chciała jedynie spać, marzyła o tym, by zasnąć i obudzić się już w normalnym świecie. To wszystko mogło być przecież jedynie snem, prawda? Kolejnym koszmarem, jednym z wielu. Uszczypnęła się. Zabolało. Nic jednak poza tym się nie zmieniło. Przygryzła mocno wargi, aż pojawiła się na nich kropla krwi. Miała smak żelaza. „Króla zjadł pies, pazia zjadł kot...” – tłukło się natrętnie w jej głowie jak skrzydła ćmy o zyrandol.

Co się dzieje? – myślała gorączkowo. Co się ze mną, do cholery, dzieje?

– Złapałaś coś i tyle – powiedział Michał, wchodząc do pokoju z kubkiem. – W końcu mamy sezon chorobowy, to nic dziwnego. Może Ważykowie coś ci sprzedali? Zadzwoń do Jagody i zapytam, czy ich też rozłożyło. A tu masz końską dawkę witaminy C.

Asia spojrzała na kubek i żółtą pękatą tabletkę na dłoni. Rzeczywiście wyglądała na witaminę C. Wzięła ją ostrożnie w palce i włożyła do ust.

– Tylko popij. Przy gorączce trzeba dużo pić.

Kiedy wyszedł z pokoju, zza łóżka wyjęła butelkę z wodą i szybko ją opróżniła, a potem zawartość kubka przelała do butelki. Kilka kropel spadło na kołdrę. Polizala je. To była chyba jednak zwykła woda. Zamknęła oczy. Pod powiekami czuła drobny kłujący piasek, ale ciemność wcale nie przyniosła ulgi. Migotała, przelewała się, formowała w jakieś kształty i rozpadała znów na tysiące czarnych atomów. Na sen nie było co liczyć. Czekala ją kolejna nieprzespana noc. Kiedy człowiek odstawia leki, nie śpi, a jeśli już się zdrzemnie, budzi się po kilku minutach zlany potem, z walącym ze strachu sercem. Tak przynajmniej było u niej. Gdy po tamtym detoksie wykończona pogrążała się we śnie, natychmiast dopadały ją koszmary, które nie miały w sobie nic z sennej oniryki. Były tak realistyczne, tak prawdziwe, że zawsze dawała się nabrać. Wracała w nich do dzieciństwa, widziała słońce odbijające się w jeziorze, zmarszczki na wodzie, słyszała wiatr w trzcinach i trzepot skrzydeł, czuła chłód ciągnący od ziemi, gdy nadchodził zmrok. A ze zmroku wylażyły bestie. Czasem miały głowy rodziców albo spojrzenie ciotki Ani. Biegły za nią w milczeniu, nie wydając żadnego dźwięku. Słyszała za sobą ich oddech, nierówny, ciężki, palił ją w kark.

Otworzyła oczy. Przed nią stał Michał. Opierał się plecami o szafę. W lustrzanych drzwiach widziała jego ciemny profil z wolna zacierający się w półmroku sączącym się z kątów sypialni.

– Jak się czujesz? Może zadzwonię po lekarza, żeby cię obejrzał? – rzucił niepewnie, wiedząc, że ona i tak pokręci przecząco głową. – A jeśli powinnaś wziąć antybiotyk?

Coś w jego spojrzeniu mówiło, że tego właśnie wolałby uniknąć. Jeśli rzeczywiście zwiększył jej dawkę, wizyta lekarza byłaby niewskazana, nie wspominając już o mieszaniu leków. Kiedyś dostała zapalenia oskrzeli i nie powiedziała lekarce o swoich prochach. To było właściwie jeszcze dziecko, tyle że w białym kitlu. Okrągłe okulary miały jej pewnie dodawać lat, ale przez nie wyglądała jak uczennica podstawówki z nadwagą. Aśka o mało potem nie umarła, bo przepisane lekarstwo wywołało u niej problemy z oddychaniem. Nie mogła sobie przypomnieć jego nazwy. Z pewnością gdzieś ją zapisała, żeby drugi raz nie popełnić tego samego błędu. A, tak – w telefonie.

– Nie, nie ma sensu wzywać lekarza. Zobaczysz, jutro poczuję się lepiej – powiedziała, przymykając oczy, bo odbicie Michała w lustrze wydęło się jak czarne prześcieradło na wietrze. – Ta kołysanka nie daje mi spokoju – dodała cicho. – Ciągłe ją śpiewaliśmy, a nie mogę sobie przypomnieć początku...

– Jaka kołysanka?

– „Lecz stała się pewnego dnia rzecz straszna niesłychanie. Króla zjadł pies, pazia zjadł...” – zanuciła i nagle zamilkła.

Michał przyglądał jej się ze zdziwieniem.

– Nie mam pojęcia – odparł. – Pierwsze słyszę.

– Ile właściwie dni minęło od wypadku?

Pytanie uniosło się w powietrzu i zawisło pomiędzy nimi. Gdyby wyciągnęła teraz rękę, mogłaby je schwycić i przyciągnąć do siebie. Ale nie po to je zadała. Michał napiął mięśnie. Słyszała, jak pracują, jak zwężają się jego naczynia krwionośne, a ścięgną kurczą.

– Nie wiem, nie liczyłem – powiedział w końcu. – Czemu pytasz?

– To było w listopadzie. Pojechaliliśmy do Gdyni kilka dni po Wszystkich Świętych, prawda?

Tym razem milczał dłużej, a kiedy się odezwał, miał dziwny głos. Sprawiał wrażenie kogoś, kto mówi cicho, bo nie wolno mu krzyknąć.

– Zaczynasz sobie przypominać? Tak, jakoś tak.

– Czyli jak długo Mila jest u twoich rodziców? – zapytała, wciąż nie otwierając oczu. Bała się tego, co mogłaby zobaczyć na jego twarzy.

– Myślisz, że za długo? W przedszkolu wszyscy chorują, ona miała katar, a zresztą ty masz teraz grypę, więc nie ma sensu jej tu przywozić, dopóki nie...

– Nie dojdę do siebie? – przerwała i popatrzyła mu prosto w oczy.

Nie poruszył się, nie przestąpił nawet z nogi na nogę ani nie wyjął z kieszeni ręk, tylko jego źrenice lekko się rozszerzyły, tak samo jak nozdrza. Joanna przypomniała sobie nagle, że takie same oczy zobaczyła u niego na plaży w Orłowie, gdy stał przodem do niej, a plecami do morza i mewy unoszącej się spokojnie na wietrze.

– Co tam się stało? – zapytała już innym tonem, bardziej miękkiem, łagodniejszym. – Wtedy, na klifie?

Popołudniowe blade słońce, które o tej porze nigdy nie docierało do ich mieszkania, odbiło się od uchylonego okna sąsiadów z naprzeciwka i jeden wąski promień wdarł się do sypialni przez szparę w roletcie, trafiając Michała prosto w oko. Zasłonił sobie twarz dłonią i odruchowo przesunął się w bok, pogrążając się z powrotem w półmroku.

– Nic – odparł trochę za szybko. – Nic – powtórzył po chwili z namaszczeniem, jakby uznał, że to pierwsze słowo nie oddało całej prawdy.

Nie uwierzyła.

Zamknęła znów oczy i skupiła się na tym jednym obrazie, który przed chwilą do niej wrócił. Klif. Urwisty brzeg. Rozwścieczone fale rozbijające się o kamienie na dole. Jej przyspieszony oddech, gdy wspinała się na górę. Zaróżowione od wiatru policzki Mili. Plecak Michała. Schowały się między drzewami, Mila chciała siku. A potem, kiedy wracały, usłyszała... Co to był za dźwięk? Zimne paluszki Mili, gdy chowała swoją dłoń w jej dłoni. Mrówki, mówiła coś o mrówkach. Rozpostarte skrzydła nieruchomej mewy. Dwa punkty czarnych błyszczących oczu i rękawiczka na śniegu.

„Żyli wśród mórz, nie znali burz, rzecz najzupełniej pewna” – usłyszała głosik Mili i natychmiast się poderwała.

Ale w pokoju nie było nikogo. Nawet Michała.

Pierwszy wirujący płatek śniegu spadł na nos Mili. Próbowwała go zdmuchnąć. Śmiała się przy tym głośno, trochę piskliwie, jak mewy siadające na wodzie. Asia naciągnęła na głowę kaptur i spojrzała w stronę horyzontu, gdzie przy pełnym słońcu widać było



półwysep. Teraz na tle ciemnogrnatowych chmur dojrzała tylko olbrzymi frachtowiec. Stał w miejscu, pewnie czekał na pozwolenie wejścia do portu. Dookoła niego uwijały się holowniki, małe zwinne stateczki wyglądały przy nim jak stadko rozbrykanych dzieci. Wiało tak mocno, że musiała zmrużyć oczy. Chmury rozpełzły się po niebie, zaczynało sypać. Z daleka zobaczyła Michała. Wymachiwał rękami i krzyczał coś, ale wiatr porwał jego słowa i rozwlókł po plaży. Pokazał na klif. Przy takim wietrze to trochę ryzykowne, pomyślała, kiedy Mila pobiegła za ojcem. Westchnęła. Fala, która była najbliżej lądu, gwałtownie przyspieszyła. Pędziła ku niej, jakby chciała przewrócić ją na piasek, obmyć i porwać ze sobą z powrotem do morza. Mlasnęła łakomie.

Asia odwróciła się i spojrzała na białe ptaki podrywające się do lotu. Kiedy ruszyła za córką, fala próbowała ją dogonić. Wdarła się na brzeg, miażdżąc muszle, topiąc piasek i drobne kamyki. Wypluwała małe poskręcane wodorosty, które rozpaczliwie wczepiały się w grunt, czerniały bez wody morskiej i zapuszczały korzenie, a potem rosły.

Rosły błyskawicznie, w ciszy, smagane wiatrem i krzykami mew.

Zanim dotarła na klif, plażę pochłonął już czarny las, gęsty i mroczny.

Na górze wiało jeszcze bardziej. Podmuchy kąsały, wgryzały się w łydki i szarpały, wściekle ujadając, a oni stali oko w oko z szalejącym morzem.

Mila mocniej ścisnęła jej dłoń. Bała się, choć nie tak bardzo jak wtedy, gdy zaczął sypać czarny śnieg. Płatki lepiły się w powietrzu i ciężko opadały na ziemię, jak tłusta sadza. Gdzieś z oddali dobiegł przenikliwy pojedynczy krzyk, a zaraz po nim rozkrzyczało się niebo. Z ciemności wyłoniły się tysiące mew. Trzepot skrzydeł był ogłuszający. Cięży dziobami, uderzały na oślep, a Mila płakała. Asia próbowała ją osłonić, schować pod swój płaszcz, kiedy zatrzęsała się ziemia. To fala, która ją goniła, dotarła do podnóża klifu. Posypały się kamienie, runęły w dół, prosto do wody. Morze wydało długi jęk umierającego starca, a potem wszystko ucichło.

Tuż przed nią na czarnym śniegu były ślady małych stóp.

Prowadziły prosto na skraj urwiska.

Nie mogła złapać tchu.

Szarpała piżamę na piersi, jakby chciała zedrzeć z siebie pancerz i próbowała nabrać powietrza. Skurczone płuca napępniały się tylko odrobinę, wystarczająco, by nie straciła przytomności, ale za mało, by dostarczyć odpowiednią dawkę tlenu.

Kręciło jej się w głowie, gdy usiadła na łóżku. Obudziła się z bolesnym przekonaniem, że coś tam się stało, wtedy na klifie. Zakłuło ją serce i na moment przestało bić. Po prostu stanęło. W przejmującej ciszy obrazy ze snu, które wciąż wirowały przed oczami, nagle się zatrzymały i spadły jak bezwładne ciała.

Coś się stało z Milą.

To dlatego nie ma jej w domu, dlatego nie widziała jej od czasu wypadku ani nie mogła z nią porozmawiać przez telefon. Dlatego wszyscy zmieniali temat, gdy zaczynała mówić o córce. Podniosła drżącą dłoń do czoła. Lepiło się od potu. Coś tam się wydarzyło, coś złego, o czym nie chcą jej powiedzieć. Odwróciła się, by szarpnąć Michała za ramię. Spał z lekko rozchylonymi ustami. Wyglądał tak spokojnie i niewinnie, że zawahała się. Może to tylko jazdy odstawienne w jej głowie? Ciotka ostrzegała ją przed nakręcaniem się, bo podczas zjazdu dzieją się dziwne rzeczy. Natrętne myśli drążą dziury w umyśle i infekują duszę. Pojawiają się zniecka, bez zapowiedzi i zaproszenia, i nie wolno ich zatrzymywać, bo jeśli choć raz się zaczepią, już się ich nie pozbędzie.

Zmusiła się, by położyć z powrotem głowę na poduszce. Podkuliła nogi i zwinęła się w kłębek pod kołdrą. Bała się zasnąć, nie chciała, żeby ten koszmar się powtórzył, nie chciała zobaczyć zakończenia, podejść nad skraj urwiska i spojrzeć w dół, gdzie...

Michał poruszył się przez sen. Wstrzymała oddech. Serce waliło jej tak głośno, że mógłby się obudzić, a wtedy na pewno nie powstrzymałaby się przed zadaniem mu pytania.

Żeby uciec przed prześladowającą ją myślą o klifie, przywołała w pamięci zupełnie inny obraz. Lata nad jeziorem, różowych pasków na kostiumie kąpielowym i sandałków. Paznokciec od najmniejszego palca lewej stopy pomalowany był różowym flamastrem. Chór cykad zagłuszał słowa mamy stojącej na pomoście. Schylona pokazywała coś palcem w wodzie. Wołała ją. Podeszła cichutko, deski zatrzęszczały, gdy postawiła stopę na pomoście. Pachniało drewnem i gwoźdźmi, mułem, butwiejącymi liśćmi i czymś jeszcze. Słodkawy ciężki zapach nasilił się, gdy kucnęła koło mamy. To jej perfumy. Spojrzała w dół, na kręcące się pod powierzchnią wody pomarańczowe rybki. Mama zaśmiała się. Nie, to nie była mama, tylko ona, Joanna, a obok kucała Mila wpatrzona w rybki. Słońce świeciło ostro, musiała zmrużyć oczy. Mała podniosła głowę i popatrzyła na nią, a potem zrobiła krok. I wpadła do wody. Asia wskoczyła za nią.

Kiedy się wynurzyła, w pokoju było jasno. Z kuchni dobiegał odgłos porannej krzątania Michała. Nastawił kawę, włączył radio i zaraz je ściszył, zapiczczała zbyt

długo otwarta lodówka. Dziesięć minut później zajrzał do sypialni. Udawała, że śpi. Kiedy wyszedł, wstała z łóżka i na miękkich nogach, opierając się o ścianę, przeszła przez przedpokój. Tym razem tabletka zadziałała już po kilku minutach. Tętno zwolniło, znów mogła głęboko oddychać. Ubrała się pospiesznie i wyszła z mieszkania. Na klatce spotkała Piotrka, który z opuszczoną głową wspinał się po schodach. Cuchnęło od niego przetrawionym alkoholem, gdy mijał ją na półpiętrze. Usłyszał kroki i podniósł wzrok. Albo jej się wydawało, albo na jej widok zbladł, mruknął „Dzień dobry” i przyspieszył. W pierwszej chwili chciała go zaczepić, zapytać, kiedy ostatni raz widział Milę, ale postanowiła trzymać się planu. Zamierzała iść do Jagody i wyciągnąć z niej prawdę. Bała się rozmowy z Michałem, myśl o Zofii paraliżowała ją, a matka... Nie, matka potrafiła gadać tylko o zabawie andrzejkowej. Została jej wyłącznie Jagoda.

Rzeźkie powietrze było ostre jak brzytwa. Ostrożnie wciągnęła je do płuc. Chodniki szklily się lekko od przymrozku, na pobielonej, krótko ściętej trawie gdzieś rozlewały się plamy zieleni – efekt porannych spacerów psiarzy. Trzęsące się z zimna suki kucaly pospiesznie i odbiegały do swoich właścicieli, nie czekając na wołanie. Psy długo krążyły z nosem przy ziemi, szukając odpowiedniego miejsca. Kręciły się po zbyt wąskim trawniku, obwąchiwały płoty, ściany i opony, zadowolone z dobrze spełnionego obowiązku strzygły uszami i wracały, słysząc podirytowane głosy ludzi zerkających nerwowo na telefony. Czas do pracy, pomyślała, idąc w stronę przystanku. Ważykowie mieszkali blisko nich, w kamienicy po drugiej stronie rzeki, tuż za mostem Zwierzynieckim. Spacerem szło się do nich najwyżej dwadzieścia minut, ale dzisiaj nie miała na to siły. Poza tym chciała złapać Jagodę, gdy ta już odprowadzi Jankę do szkoły, a Weronikę do przedszkola. Zadrżała z zimna i wcisnęła rękę głębiej do kieszeni płaszcza. Ostatnie metry pokonała biegiem, żeby zdążyć na tramwaj. Tak się zasapała, że jakiś chłopak od razu ustąpił jej miejsca. Pod domem Ważyków zobaczyła auto Jagody. Czyli już wróciła. Nie pracowała, zajmowała się domem i tylko po to, by nie umrzeć z nudów, prowadziła w bibliotece warsztaty dla dzieci. Marek zarabiał wystarczająco dużo, by utrzymać całą rodzinę, a poza tym doskonale wiedział, że jego żona nie nadaje się na etatowego pracownika. Czasem wyobrażał ją sobie w roli junior communication & event executive albo urzędniczki w jednym z oddziałów urzędu miejskiego – w obu przypadkach wybuchał głośnym śmiechem, a ona mu wtórowała. Zresztą lubiła zajęcia z dziećmi i wolność, którą dawały warsztaty. Nie była zależna od nikogo, nikomu nie podlegała ani nie musiała wchodzić w tyłki ludzi ustawionych na półce wyżej. Tak jak on. Asia spojrzała w okna

mieszkania na czwartym piętrze, a potem zadzwoniła domofonem. W głośniku zabuczało i rozległo się:

– Tak?

– To ja, Aśka.

– Halo?

– Tu Aśka. Wpuścisz mnie?

Po drugim „Halo” zapiszczała zwolniona blokada i drzwi się otworzyły. W windzie zastanawiała się, jak zacząć tę rozmowę, jak nią pokierować, by Jagoda nie doszła do wniosku, że Aśka ma nie po kolei we łbie. Zanim zapukała, postanowiła zagrać w otwarte karty. Im szybciej pozna prawdę, tym lepiej. Usłyszała ciche zgrzytnięcie przesuwanego judasza, a po chwili, jakby z wahaniem, drzwi się uchylily. W szparze ukazała się twarz jakiejś dziewczyny. No tak, opiekunka, domyśliła się Aśka i posłała jej szeroki uśmiech.

– Dzień dobry, jestem Joanna, przyjaciółka Jagody. Zastałam ją może?

Między nogami dziewczyny przecisnęła się Weroniczka i pisnęła radośnie:

– Ciocia!

Asia kucnęła naprzeciwko niej i pogładziła ją po policzku. Tak samo gładziła zawsze Milę, dopóki...

– Mamo! Ciocia Asia! – zawołała dziewczynka w głąb mieszkania, a opiekunka zmieszała się lekko.

– Weronisiu, mamy przecież nie ma w domu – powiedziała do małej, po czym spojrzała gdzieś w okolicy kolan Joanny. – Pani Jagoda wyszła. Mówiła, że zawozi Jankę do szkoły, a potem ma coś do załatwienia w mieście.

Dziewczyna mówiła szybko, unikając jej wzroku.

– Proszę do niej zadzwonić, bo nie wiem, kiedy wróci – dodała, kładąc dłoń na klamce.

Joanna otworzyła usta, by zapytać o samochód stojący na dole, ale zrezygnowała. Poczula dobiegający z mieszkania zapach kawy z kawiarki, a taką robiła tylko Jagoda. Mocną, aromatyczną. Właściwie powinna była zdecydowanie pchnąć drzwi, wejść do środka i minąć osłupiałą opiekunkę. Była więcej niż pewna, że przyjaciółka się przed nią chowa. Siedzi w dużym pokoju albo w kuchni i nasłuchuje. Tak, do tej pory uważała ją za swoją przyjaciółkę, ale przyjaciele nie robią takich rzeczy. Nie ukrywają prawdy.

Zrobiła krok w tył, gdy Weronika wychyliła się na korytarz i zachmurzyła się.

– Ciocia, a gdzie Mila? – zapytała z nadąsaną miną.

– No właśnie nie wiem, kochanie – odszepnęła miękko Asia. Wydawało jej się, że w oczach opiekunki dostrzega coś na kształt współczucia, a może zmieszania. Nie była pewna. Dziewczyna powtórzyła tylko, żeby zadzwonić do pani Jagody, i zdecydowanym ruchem wciągnęła małą do środka. Potem zamknęła drzwi.

Przed klatką Joanna zadarła głowę i spojrzała w okna Ważyków. Dostrzegła, że w kuchennym poruszyła się firanka – lekko, pod wpływem wiatru albo oddechu. Co teraz? Przeszła przez ulicę i zatrzymała się nad brzegiem Starej Odry. Po drugiej stronie była wypożyczalnia kajaków i rowerków wodnych. Tyle razy obiecywała sobie, że zabierze Milę na wodną wycieczkę, nauczy ją manewrować kajakiem. Michał twierdził, że jeszcze na to zbyt wcześnie, że pięciolatka nie da rady nawet unieść wiosła, a co dopiero wiosłować, ale przecież Aśka od małego pływała z tatą po jeziorze. Co innego zresztą miałyby robić latem na Kaszubach?

Usłyszała radosny śmiech. Wzdłuż przeciwległego brzegu szła grupka przedszkolaków. Dzieciaki były okutane szalikami, spod czapek wymykały im się włosy, kiedy maszerowały za panią i śpiewały jakąś piosenkę o misiach. W ostatniej parze szła dziewczynka w żółtej kurtce i czerwonej czapeczce z pomponem. Wyglądała jak kwiatek. Nagle coś wypadło jej z kieszeni. Nie zauważyła tego, zajęta śpiewaniem. Asia zawołała, pokazując ręką na zgubę, ale dzieci nie usłyszały. Stała tam jeszcze przez chwilę, patrząc na oddalających się przedszkolaków i samotną czerwoną rękawiczkę z jednym palcem. Mogła pojechać do Michała, zażądać od niego kluczyków, wsiąść do auta i ruszyć do Lipian. Skoro chciała poznać prawdę, to chyba najlepiej tam. Gdy zobaczy Milę, wreszcie przestanie wariować, weźmie się za siebie, pójdzie na detoks, będzie skrupulatnie przestrzegać dawek i cały ten koszmar się skończy. Tylko co, jeśli Mili tam nie będzie? Właśnie odpowiedzi na to pytanie bała się najbardziej. Dlatego wsiadła do tramwaju i pojechała do domu, a potem systematycznie zaczęła przeszukiwać całe mieszkanie. Zaczęła od pokoju małej. Odsunęła od ściany łóżko, podniosła materac, wyrzuciła na środek zawartość kosza z zabawkami. Brała do ręki każdego misia, każdego plastikowego dinozaura i każdą lalkę. Zanurzyła dłonie w pudełku z klockami. Przesypywały się między palcami jak piasek na plaży. Kiedy otworzyła pawlacz, w którym przechowywali ubrania sezonowe, z góry spadł na nią pomarańczowy plecaczek. Mila zabierała go zawsze na wycieczki. Był lekki i na tyle duży, by zmieścić Manię i Franię. Asia podniosła go powoli z podłogi. Coś w nim było. Ścisnęła. Coś twardego. Z bijącym głośno sercem

odsunęła suwak. W środku znalazła notes z białymi kartkami i kredki. Kredki, bez których Mili nigdzie się nie ruszała.

Spojrzała na biurko i stos rysunków. Zaczęła je gorączkowo przerzucać, szukała tego, który nie pasował do reszty, który wzbudził w niej taki niepokój i...

Znalazła go na samym spodzie. Usiadła na niskim krzeselku i śledziła wzrokiem każdą kolorową kreskę, jakby to była ścieżka prowadząca przez labirynt. Jezioro, piasek, trzciny, pomost, dziewczynka, czerwone buciki. Kiedy na nie spojrzała, przypomniała sobie poruszającą się kredkę, która najpierw narysowała obrys buta, a potem starannie wypełniła go czerwonym kolorem. Przyjrzała się kredce, wzrok przesunął się trochę wyżej, na trzymające ją palce. Te palce nie należały do pięcioletniej dziewczynki. Należały do niej. Ten obrazek narysowała ona sama, siedząc w tym pokoju, przy tym biurku. Zadrżała tak mocno, że kartka wypadła jej z ręki. Kiedy znów rozejrzała się po pokoju córki, zauważyła to, czego wcześniej nie widziała. Łóżko wyglądało na zupełnie nowe, nawet wciąż wydzielało zapach sklepu meblowego. Na blacie nie było ani jednej kreski, zadrapania czy plamki. Naklejki na szafie przyklejono w równych odstępach, przypominały zapis nutowy w zeszycie do muzyki. Żadna zabawka nie miała urwanej łapki, nadgryzionego ogonka ani zamalowanej mazakami buzi. Błyszczały nowością, jak zdjęte z półki w supermarkecie. A książki stały tak ciasno upchnięte, że pięcioletka nie dałaby rady zdjąć żadnej z nich z regału. W głowie Joanny pojawiła się przerażająca myśl, która nagle staranowała wszystkie inne. A co, jeśli Mili nie ma? Jeśli w ogóle nigdy nie istniała? Jeśli ją sobie... wymyśliła?

Ale to przecież niemożliwe! Dziewczynki Ważyków bawią się z jej córką, Michał wcale nie twierdzi, że nigdy nie mieli dziecka, Zofia mówi o niej przez telefon, nawet Marek wspominał ostatnio o Mili. Poza tym są zdjęcia. Tego nie da się wymyślić. Wszystkie trzymała w laptopie, te najświeższe wciąż były w komórce... Zacisnęła pięści. Gdyby tylko mogła je odzyskać!

Zerwała się i ruszyła do salonu. Gdzieś muszą być fotografie z ich rodzinnej ściany. Zdjęli je przed wizytą znajomego Wacława, a potem zastosowali się do jego wskazówek i nie powiesili już ramek, bo nawet takie obciążenie osłabiało ścianę. Pamiętała, że każdą z nich owinęła ręcznikiem papierowym i włożyła do kartonu. Michał obiecał ulokować go w bezpiecznym miejscu. To znaczy gdzie? Obrzuciła wzrokiem regały, przyjrzała się półkom z płytami, zajrzała za wieżę i obydwą głośniki. Sprawdziła, czy pierwsze rzędy książek nie są tylko fasadą, idealnym schronieniem, ale nic z tego. W komodzie równo poukładane leżały teczki z dokumentami, aktami

notarialnymi i starymi fakturami, obok piętrzył się stos prawie przeczytanych gazet i tygodników, do których mieli wrócić podczas wakacji, serwetki, sztucze z zastawy stołowej, bo tylko tyle zostało z prezentu ślubnego od jej rodziców, szklane świeczniki, które kupiła im Zofia, a których Aśka nie zносиła, chociaż nie miała odwagi ich wyrzucić. I żadnego kartonu. To samo było w sypialni. Wyrzuciła na łóżko wszystkie ciuchy, zmiany pościeli i ręczników, aż wreszcie zdyszana stanęła przed rozbebeszoną szafą, pustą i bezbronną, a jednocześnie tak wyzywająco nagą. Zacisnęła wargi i ruszyła do pracowni. Przetrzęsnęła szuflady biurka, półki i pudła. Trafiła na kilka zagubionych umów i dokumentację związaną z projektami z pierwszego roku działalności, nic ważnego. Zawiedziona wróciła z powrotem do sypialni i opadła ciężko na sofę. Czuła przygniatające zmęczenie, wysysało z niej siły.

Na stoliku przed nią leżał album rodzinny od matki. Pogładziła lekko ciemnobrązową oprawę, jakby był ciepłym żywym zwierzęciem, mruczącym pod dotykiem palców. Dlaczego nigdy nie wydrukowała żadnej fotografii z Milą i nie wkleiła do albumu? Przecież za zdjęciem z wypukłym brzuchem było jeszcze kilka wolnych stron. Zmieściłoby się na nich co najmniej dziesięć małych Mili, dziesięć obrazków z ich życia, z życia jej dziecka. Zamiast tego posiadała ich setki w telefonie, tysiące w komputerze i do żadnego nie miała aktualnie dostępu. Została jeszcze kuchnia.

Kiedy Joanna podnosiła się z sofy, w jej skroń wbił się pierwszy gwóźdź. Migrena nie odpuszczała. Kredens zajęczał przeciągle, gdy otworzyła na oścież dolne drzwiczki. Nie miała już siły na kolejne rozczarowanie. Co zrobi, jeśli nie znajdzie tych zdjęć? Poczekaj dzień, dwa lub kolejny miesiąc, zanim uda jej się pokonać ten paraliżujący strach, i zapyta wreszcie Michała? Nienawidziła się za to. Zawsze była tchórzem, wołała zamykać oczy na pewne sprawy, udawać, że ich nie widzi. Tak jak z ojcem. I co, niby ani razu nie wyczuła od niego zapachu alkoholu? Ani razu nie zatoczył się przy niej, nie popatrzył na nią błędnym, rozmytym przez wodę wzrokiem? Mogła oszukiwać jego, matkę, nawet ciotkę, ale przecież nie siebie. Nie teraz, kiedy tak rozpaczliwie szukała wyjścia z labiryntu wspomnień, tej właściwej ścieżki, która doprowadzi ją do prawdy. Na dolnej półce kredensu, wśród słoików z mąką, solą i ryżem, zapasów dzemu truskawkowego i suszonych pomidorów, dostrzegła nagle kilka ziaren słonecznika. Leżały niedbale rozrzucone tuż koło otwartego dużego worka z pestkami dyni. To Michał kupował je w hurtowych ilościach razem z orzechami brazylijskimi. Nie zносиła ani jednych, ani drugich – te pierwsze były zbyt gorzkie, a te drugie tłuste i ciężkie. Bolał ją po nich brzuch.

Orzechy musiały się już skończyć, bo nie widziała ich w kredensie, kiedy zaczęła przestawiać słoiki, pudełka i papierowe torby. Zgarnęła na dłoń rozsypany słonecznik i sięgnęła po worek strunowy z pestkami dyni, żeby go zabezpieczyć. I wtedy spomiędzy brunatnych pestek wyłonił się znajomy kształt. Aśka wpatrywała się w niego bez słowa. W głowie miała kompletną pustkę. Nawet rytmiczne uderzenia migreny nagle odpuściły. W worku, wciśnięty w pestki dyni, znajdował się telefon. Ten sam, który Michał oddał do serwisu. Powinna się zdziwić, ucieszyć albo wściec. Powinna poczuć cokolwiek, przecież znalazła to, co tak starannie przed nią ukryto. Wreszcie miała kontakt z rzeczywistością, fotograficzny zapis wydarzeń z ostatniego roku, dowód na istnienie Mili! I na to, że mąż ją oszukiwał. Pewnie nie tylko on. Kto jeszcze w tym siedział? Zofia? Ważykowie? Matka? Właściwie to był cały jej świat, od kiedy przeprowadziła się do Wrocławia. No i jeszcze Mila.

Joanna powoli wyjęła komórkę, otarła ją wierzchem dłoni z drobinek pestek i włączyła. Ekran się nie zaświecił. Oczywiście, skoro leżała tu miesiąc, musiała się rozładować. Bez pośpiechu otworzyła szufladę na lewo od apteczki i sięgnęła po ładowarkę Michała. Automatycznie sprawdziła końcówkę – ta sama. Znalazła kontakt, podpięła telefon i czekała. Beznamiętnie wpatrywała się w czarny ekran. Nagle zachciało jej się spać. Zmęczenie podeszło pod gardło jak fala torsji i zmusiło ją, by usiadła. Chciałaby zamknąć oczy, odciąć się, przeczekać to wszystko. Wyczerpała już siły, zużyła całą energię na to cholerne życie i naprawdę marzyła tylko o tym, by zasnąć i więcej się nie obudzić.

Telefon zabuczał. Na ciemnym ekranie pojawiło się blade wirujące kółko. Jej oddech przyspieszył. Nawet tego nie poczuła, raczej usłyszała. Był płytki, urywany, chrapliwy. Spojrzała na palce. Drżały. Spocily jej się dłonie. Ciało zareagowało jako pierwsze. Najpierw skurczył się żołądek, ściśnięta przepona długo nie chciała przepuścić szłochu, który próbował się z niej wydostać. Ugrzązł w przelyku, zaklinował się w krtani, a potem nagle wybuchnął. Siedziała skulona na sofie i zanosila się histerycznym płaczem, krzyczała, wyła. Zacisnęła dłonie w pięści i paznokcie wbiły się w skórę. Zapiekło, gdy łyzy zmieszały się z kroplami krwi, więc wbiła je jeszcze mocniej. To uczucie było zupełnie inne niż ból, który ścisnął ją od środka – przyjemne, chłodne, przynosiło spokój. Oczyszczyła nos i obmyła twarz zimną wodą. Kółko na ekranie wciąż wirowało, a gdy wcisnęła przycisk, pojawiła się informacja o aktualizacji. Joanna wypuściła głośno powietrze z płuc. To jeszcze trochę potrwa, a ona nie mogła już dłużej czekać. Pobiegła do przedpokoju po aparat stacjonarny. Sprawdziła wtyczkę, rozwinęła kabel i wystukała numer.



– Asiu, jak wspaniale, że dzwonisz! – W słuchawce rozćwierkał się uradowany głos.  
– Przynajmniej pomożesz mi wybrać sukienkę na sylwestra, bo dziewczyny mówią, że powinnam...

– Mamo – przerwała jej ostro. – Czy coś się stało Mili?

Ewa wstrzymała oddech.

– Dziecko, o czym ty mówisz?

– Czy wtedy w Gdyni był wypadek? Czy ja... – Zawahała się. – Czy zabiłam moją córkę? – dokończyła ze ściśniętym gardłem.

– Ale... Asiu... – zaczęła matka i Joanna wrzasnęła:

– Powiedz mi prawdę!

– Nie, kochanie – usłyszała zmęczony, stary głos Ewy. Zabrzmiał, jakby nagle rozładowała jej się bateria, jakby się poddała. – Nie – powtórzyła. – Ona żyje. Nic jej nie jest.

Aśka zacisnęła mocno palce na słuchawce, żeby nie wyslizgnęła się z mokrej dłoni.

– Jesteś pewna? – wyszeptała.

– Tak, rozmawiałam z nią dzisiaj. Mają tam fatalny zasięg, strasznie przerywało i trzeszczało, więc mało co słyszałam. Milla mówiła o grzybach, których szuka z dziadkiem po lesie. I że bardzo jej cię brakuje. Tęskni za tobą.

Sądziła, że wykrzyczała już z siebie wszystko, że szloch, który rozdarł jej ciało na pół, spłynął ze łzami i nie zostawił po sobie śladu, a jednak znów się rozkleiła. Nie mogła złapać tchu, trzęsła się, łkała, zanosząc się od płaczu, aż wreszcie i to ucichło. Matka płakała z nią, łzy spływały jej cicho po policzkach, skapywały z nosa i wsiąkały w bordową sukienkę, którą miała rozłożoną na kolanach.

– Asiu – odezwała się miękko, kiedy córka wzięła głęboki oddech. – To już nie może tak dłużej trwać. To cię zabija. Nie martw się o Milę, ona jest bezpieczna. Musimy wreszcie porozmawiać, ale nie przez telefon. Przyjedź do mnie. Michał...

– Przyjadę bez Michała – przerwała jej ostro.

Matka nie protestowała.

Kiedy odłożyła słuchawkę, wciąż drżały jej dłonie, ale umysł miała już jasny. Spokój, jaki na nią spłynął, gdy usłyszała o tym, że Mili nic nie jest, działał jak dawka prochów – odciął od źródła strachu, zablokował dostęp niepokojowi, który atakował z furją dzień i noc, odurzał.

Niemal zapomniała o kłamstwach Michała. Niemal. Gdy telefon już się zaktualizował, sprawdziła galerię zdjęć. Dwieście osiemdziesiąt. Żadnego nie usunięto w ostatnim czasie. Zerknęła tylko na jedno z listopada, które zrobiły sobie z Milą i matką. Powiększyła je. Z ekranu patrzyła na nią poważnie pięcioletnia dziewczynka. Duże ciemne oczy wpatrywały się w nią, w spojrzeniu krył się smutek dorosłego – kogoś, kto wie, czego można się spodziewać po życiu. Joannę korciło, by obejrzeć każde ze zdjęć córki, należało jej się po tym wszystkim, a jednak zmusiła się, by otworzyć przeglądarkę i sprawdzić rozkład jazdy. Najbliższy pociąg do Gdyni miała za godzinę. Akurat, żeby się spakować, odszukać klucze do domu matki i zostawić Michałowi krótki list, suchą informację, że wróci za kilka dni. Nie chciała, by spanikował, widząc rozgardiasz w mieszkaniu, i zgłosił jej zaginięcie na policji. Gdyby wspomniał, że boi się o żonę, bo leczy się psychiatrycznie i miewa myśli samobójcze, mogliby ją zatrzymać, a tego wołałaby uniknąć. Zanim się z nim zmierzy i wyprostuje tę sytuację, musiała porozmawiać z matką.

Na dworcu była sporo przed czasem. Nerwowo chodziła po peronie, ciągnąc za sobą małą walizkę na kółkach. Wrzuciła tam zaledwie ciuchy na trzy dni i szczoteczkę do zębów. Nie wiedziała, jak długo zostanie u matki, nie miała pojęcia, czego może oczekiwać po ich rozmowie. „To cię zabija – powiedziała matka. – To już nie może tak dłużej trwać”. To? To znaczy – co?

O dach nad peronem waliły wielkie krople deszczu zmieszane z kulkami gradu. Zaczęło padać, gdy tylko wsiadła do tramwaju. Ludzie kulili się pod parasolami, biegli przez przejścia na czerwonych światłach, uciekając przed lodowatym deszczem, kierowcy trąbili i przyspieszali, zamiast zwolnić. Fontanny brudnej wody tryskały w powietrze, gdy samochody podjeżdżały zbyt blisko krawężników, prosto w kałuże, w których odbijały się świąteczne dekoracje.

Wrocław wyglądał jak smutna szara choinka obwieszona lampkami i bombkami – blask miał jedynie ukryć prawdę, zamaskować tak, by wszyscy o niej zapomnieli. Asia poczuła lekki niepokój, gdy jechała przez mokre miasto. Nie potrafiła go zlokalizować, a jednak przybierał na sile, im bardziej zbliżała się do dworca. Gdy na

peronie usłyszała rytm wybijany na dachu przez grad, nagle wróciło do niej wspomnienie sprzed niemal pięciu lat. Mila miała wtedy dziewięć albo dziesięć miesięcy. Dostała pierwszy w życiu katar, więc żadne z nich nie spało od tygodnia. Z wyczerpania żarli się między sobą. Michał zasłaniał się pracą i mówił, że nie może w nocy czuwać nad małą, a Aśka cały dzień nosiła ją na rękach, bo inaczej Mila zaczynała się dławić, więc chciała chociaż w nocy przez chwilę poleżeć. O spaniu i tak nie było mowy. Wrzask wydobywający się z małych płuc zrywał ze snu zarówno ich, jak i wszystkich sąsiadów. Przerzucali się nią jak gorącym ziemniakiem, skacząc sobie do gardeł, oskarżali się wzajemnie o brak odpowiedzialności i wygodnictwo, a potem roztrząsali to w pełnej urazy ciszy, jak wszyscy młodzi rodzice. Być może trwałoby to dłużej, gdyby pewnego ranka, tuż przed wyjściem Michała do pracy, nie zadzwoniła matka. Próbowwała najpierw złapać Joannę, ale jej ściszony telefon leżał na notesie, by stłumić wibrację przy połączeniu. Mila zapadła wreszcie w niespokojną drzemkę, więc Aśka momentalnie odpłynęła. Pograżyła się w głębokim śnie, z którego gwałtownie się wybudziła, gdy Michał wszedł do pokoju z komórką przy uchu. Wściekła jak osa, w pierwszej chwili chciała zwyzywać go od idiotów, jednak popatrzył na nią tak, że od razu zaschło jej w gardle. Wzięła od niego telefon. Nie protestowała, kiedy wyjął z łóżeczka małą i wyszedł z nią do kuchni. Wystarczyło, że zerknęła na wyświetlacz – imię matki świeciło zimnym blaskiem. Wstrzymała oddech.

– Mamo?

I znów Ewie drżał głos od płaczu, jak wtedy, gdy umarł tata. Właściwie Aśka rozumiała wszystko, nim padło imię „Ania”. Wiedziała, że chodzi o ciotkę, bo nie mieściło jej się w głowie, by matka mogła tak rozpaczać po teściowej. Ciotka jak co rano wyruszyła do pracy, ale już tam nie dotarła. Na Słowackiego był korek, a w autobusie duszno jak cholera. Znajoma, jedna z salowych, rzuciła okiem na stojącą obok doktor Kruk i zasugerowała, że przydałoby jej się trochę odetchnąć świeżym powietrzem, bo była strasznie blada. Ania też doszła do tego samego wniosku i wysiadła na wysokości cmentarza. Zdrętwiała jej ręka od ściskania drążka – rozprostowywała i zginała na przemian palce, by pobudzić krążenie.

Gdy autobus wyjechał z przystanku, salowa przyglądała się lekarce przez zaparowane okno i pomyślała, że Krukowa trochę za dużo pracuje. Krukówna, poprawiła się w myślach i westchnęła. Sama była po rozwodzie i żałowała, że w ogóle wyszła za męża. Gdyby została panną, życie byłoby łatwiejsze. Wzięłaby sobie jakiegoś chłopca, a jakby jej się znudził, pogoniłaby go i po sprawie. Tymczasem ten dureń...

Niedokończone wspomnienie eksa wyparowało wraz z oddechem na szybie, kiedy zaniepokojona salowa przetarła ją dłonią. Zobaczyła bowiem, jak uginają się kolana doktor Kruk i kobieta najpierw klęka na chodniku, a potem przewraca się na bok. Zaalarmowany krzykiem kierowca zatrzymał autobus i wezwał karetkę, a salowa pognała udzielić pierwszej pomocy. Ale było za późno. Serce po prostu się zatrzymało, jakby miało już dość. Matka dostała telefon pół godziny później i natychmiast zadzwoniła do córki. Po ósmym nieodebranych połączeniu wybrała numer Michała.

– Wydarzyło się coś... strasznego – powiedziała cicho.

Asia wsluchiwała się w drżący głos matki, w ciężki, mokry od łez oddech, i pomyślała, że takie rozmowy zawsze odbywają się rankiem, zanim człowiek zdąży się tak naprawdę obudzić i balansuje na granicy jawy i snu. O tej porze ma prawo włączyć się budzik w telefonie, a każdy inny dźwięk jest intruzem, oznacza niebezpieczeństwo.

– Ania... Ciocia...

– Kiedy? – przerwała jej Joanna. Przed oczami miała jeszcze ostatni kadr ze snu, tuż przed tym, jak Michał wszedł do pokoju. Śniła jej się ciotka.

– Co? – zapytała nieprzytomnie Ewa.

– Kiedy... to się stało? – Właściwie chciała powiedzieć „umarła”, ale postanowiła ominąć to słowo. Bała się trochę lawiny żałoby, jaka na nią spadnie, gdy tylko do matki dotrze, że jej siostra nie żyje.

– Przed chwilą.

Przed chwilą widziała ciotkę. Stała na pomoście w kostiumie kąpielowym w różowe paski. Odwróciła głowę i roześmiana popatrzyła na nią, a potem wskoczyła do jeziora. Asia wbiegła do wody, ale kiedy chłód dotarł do kolan i na udach pokazała się gęsia skórka, zatrzymała się. Lustrowała wzrokiem powierzchnię jeziora, czekając, aż ciocia się wynurzy, jednak nic takiego się nie stało. Woda była nieporuszona, zamknęła się nad Anną jak muchołówka.

– Przyjedziesz? – zapytała żałośnie mama, a kiedy Asia powiedziała, że wsiądzie do najbliższego pociągu, odetchnęła z ulgą.

Mila zapłakała głośno w salonie i Joanna odruchowo zerwała się z łóżka. Michał chodził po pokoju, kołysząc małą na rękach. Na blacie stał parujący kubek, ekspres wciąż wypluwał z siebie krople kawy, a na drewnianej desce leżały dwie kromki chleba posmarowane masłem.

– Zrób sobie kanapki do pociągu – powiedział, podchodząc do niej i ostrożnie ją obejmując. – Wezmę wolne i zostanę z Milą, a jeśli dłużej to potrwa, poproszę ojca, by z nią posiedział. Nie musisz się spieszyć – dodał miękko, a ona w tej samej chwili skasowała z pamięci ostatnie kłótnie. Przyłgnęła do niego i wczepiła się palcami w świeżo wyprasowaną koszulę, na którą zdążyła już skapnąć ślina dziecka.

Na dworze padało, gdy z małym plecakiem biegła na przystanek. Nieobecny wzrokiem przyglądała się wsiadającym do tramwaju ludziom, którzy myśleli już o tym, co ich czeka w pracy, i robili plany na wieczór, na kolejny tydzień, na miesiąc. Ona nie potrafiła nawet myśleć o tym, co ją czeka, gdy wysiądzie z pociągu w Gdyni. W przeciwieństwie do matki od razu zdała sobie sprawę z tego, że ciotka nie żyje. Przyjęła to do wiadomości, zaakceptowała informację o śmierci i teraz próbowała się z nią oswoić. Było zupełnie inaczej niż wtedy, gdy zmarł tata. Być może właśnie dlatego, że miała ciotkę, która im pomogła, zajęła się pogrzebem, wybrała ubranie do trumny, zorganizowała stypę, a potem siedziała z nimi przy stole w kuchni i płakała, oglądając stare zdjęcia. Mówiła do siostry: „A pamiętasz, jak Andrzej pojechał do...” albo „Andrzej był naprawdę świetny w opowiadaniu anegdot. Nikt mu nie dorównywał”, albo „Zobaczysz, będzie lepiej. Nie wiem, czy jutro, czy za tydzień, ale będzie lepiej”.

Kto teraz wypowie te wszystkie kwestie? Joanna wiedziała, że zanim dojedzie do Gdyni, musi wejść w rolę swojej ciotki, musi zająć się matką. Po raz pierwszy sześciogodzinna podróż upłynęła jej tak szybko. Nawet nie zauważyła Poznania ani Bydgoszczy. Dopiero kiedy z trzeszczących głośników popłynął głos konduktora, że zbliżają się do stacji Gdańsk Główny, drgnęła i przytomniej popatrzyła przez okno. Zobaczyła domy na Oruni i zamknięty przejazd kolejowy, za którym czekała już kolejka aut, a potem zielony pagórek Bastionu Świętej Gertrudy. Wtedy załapała ją panika. Zgięła się wpół na siedzeniu, nie mogła oddychać. Siedząca obok kobieta zerknęła na nią z niepokojem i szybko przesiadła się do sąsiedniego przedziału. Asia zmusiła się do tego, by wziąć głęboki oddech. Udało się za trzecim razem. Uświadomiła sobie, że to, co ją męczy od porannego telefonu matki, to nie sama śmierć cioci, tylko ich ostatnie spotkanie. Widziały się wtedy w Gdyni, w mieszkaniu matki. Joanna przyjechała z Michałem i półroczną córką na weekend. Ania kazała jej mówić do siebie po imieniu, powiedziała, że jest za stara na ciotkę. Wystarczyło, że siostra została babcią, sama nie chciała się tak czuć. Rozpromieniła się cała, gdy wzięła na ręce maleńką Milę, a jednak Asia miała wrażenie, że coś jest nie tak. Ciotka zachowywała się, jakby coś jej siedziało na duszy i bardzo starała się to ukryć. Za

bardzo. Jakby coś ją uwierało, męczyło, coś, czego nie chciała, a może nie potrafiła z siebie wyrzucić. W domu niespecjalnie dało się rozmawiać. Płacz małej, roztkliwianie się babci i wesoły głos Michała dumnego z bycia ojcem na pokaz nie pozwalał na spokojne rozmowy. Joanna zaproponowała spotkanie w tej samej kawiarni, w której kiedyś widziały się tuż przed decyzją o wyjeździe do Wrocławia.

– Obawiam się, że już jej nie ma. – Ciotka westchnęła i otworzyła usta, jakby chciała coś jeszcze dodać.

Asia popatrzyła na nią wyczekująco.

– Wiesz co, pomyślę o jakimś miejscu i umówimy się, dobrze? – rzuciła po chwili Ania.

Milczała przez trzy dni, na esemesy siostrzenicy odpowiadała zdawkowo, przekładając termin spotkania, do którego doszło dopiero po trzech miesiącach, a wtedy na rozmowę było już za późno.

Pociąg wytoczył się ze stacji i pomknął w stronę Gdańska Wrzeszcza, a Joanna zaczęła odliczać czas. Dokładnie osiemnaście minut później wysiadła na stacji Gdynia Główna i ze spokojem przytuliła zapłakaną matkę, która stała na peronie w deszczu jak zagubione dziecko.

– Chodźmy do domu – powiedziała Joanna. – Napijemy się czegoś ciepłego, a potem wszystkim się zajmujemy.

Ewa potulnie pokiwała głową. Tym razem nie spierała się z córką, nie wyrażała swojej opinii o jej decyzjach, słowach czy sposobie myślenia. To nie była matka, którą Aśka tak dobrze знаła. Miała wrażenie, że ktoś ją podmienił. Z energicznej, przebojowej kobiety, która zawsze narzucała swoje zdanie innym, stała się nagle bezwolnym człowiekiem pozbawionym płci, wieku i jakichkolwiek zainteresowań.

Joanna musiała zatroszczyć się o wszystko. Obdzwonić domy pogrzebowe, znajomych, umówić się na spotkanie z księdzem, który samym spojrzeniem zasugerował, że „co łaska” wynosi nie mniej niż siedemset złotych, i przejrzeć szafę ciotki, żeby znaleźć odpowiedni strój do trumny. Matka przez całą noc siedziała na skraju łóżka i wpatrywała się w puste dłonie, a rano włożyła czarną bluzkę i czarną spódnicę i czekała, aż nadejdzie pora na antydepresanty, które Ania przepisała jej po śmierci Andrzeja. Pora przyjmowania leku odmierzała dni do pogrzebu, a potem do wyjazdu córki.

– Nie przeterminowały się? – spytała Asia, oglądając blister amitryptyliny.

– A czy to ważne? – Matka wzruszyła ramionami.

Nazajutrz po uroczystości na cmentarzu na Srebrzysku pojechały do mieszkania Ani, żeby przejrzeć i posegregować rzeczy. Część z nich mogła się jeszcze przydać, ale resztę trzeba było oddać do Caritasu i przygotować lokal do sprzedaży.

Ewa zwlekała z wyjściem z domu. Najpierw wyraziła chęć na drugą kawę, chociaż nawet nie wypła tej pierwszej. Potem długo szukała w szafie szalika, a w końcu, gdy stały już gotowe w przedpokoju, słabym głosem zaproponowała, by przełożyły to na później. Asia się nie zgodziła. Wiedziała, że im prędzej to zrobią, tym szybciej matka upora się z żałobą po siostrze. Zapięła więc jej płaszcz, podała torebkę i otworzyła przed nią drzwi. Ewa pokiwała głową i posłusznie wyszła z mieszkania. Pozwoliła się zaprowadzić na przystanek trolejbusowy, a potem na kolejkę, która zabrała je do Gdańska Wrzeszcza. Tam wsiadły w autobus na Morenę, gdzie Ania czterdzieści lat wcześniej kupiła sobie niewielkie mieszkanie. Kiedyś rozciągał się stamtąd piękny widok na las, teraz zasłoniły go bloki rosnące jak grzyby po deszczu. Asia podeszła do balkonu i otworzyła okno na oścież. Do pokoju wtargnął zimny, nieprzyjemny wiatr i wygonił ze środka zapach cmentarza, jaki wniosła ze sobą matka. Jej płaszcz przesiąkł wonią chryzantem i dymu. Joanna odwiesiła go na wieszak i wstawiła wodę na kawę. Miała to upiorne wrażenie, że ciotka wyszła tylko na chwilę, że zaraz wróci ze słodkimi bułeczkami z piekarni na końcu ulicy, małymi drożdżówkami na wagę, które zawsze przywoziła na wszystkie uroczystości. Nie umiała piec, zresztą wcale jej do tego nie ciągnęło. Za to w szafce w kuchni trzymała imponującą kolekcję butelek – począwszy od win, a skończywszy na bourbonach. Prezenty od wdzięcznych pacjentów, mawiała, mrugając żartobliwie. Piła dla przyjemności, od czasu do czasu, i w tym tempie nigdy nie zdołałaby osuszyć choć połowy butelek, a jednak nigdy, przynajmniej dopóki żył Andrzej, nie przyniosła ze sobą alkoholu do domu Lesiów. Asia zaproponowała matce kieliszek wiśniówki na rozgrzewkę i poszła do pokoju. Kiedy otworzyła szafę z ubraniami i poczuła zapach perfum ciotki, zebrało jej się na płacz. Powstrzymała jednak łzy, bo w tej samej chwili weszła matka z kieliszkiem w dłoni. Szła ostrożnie, by nie uronić żadnej kropli gęstego cierpko-słodkiego trunku. Postawiła go na stole i wzięła do ręki brązowy kapelusz.

– Kupiliśmy go razem jakieś dwa, może trzy lata temu – odezwała się cicho. – Namawiałam ją, by wzięła czerwony. Zawsze dobrze wyglądała w tym kolorze, ale się uparła. Powiedziała, że jest za stara na czerwień, a przecież jest tylko rok ode mnie starsza. – Przelknęła ślinę i odłożyła kapelusz na półkę. – To znaczy była.

– Zawsze ci tego zazdrościłam. – Asia przejechała palcami po sukienkach i bluzkach w stonowanych barwach wiszących równo na wieszakach. Ciotka Ania wybierała

takie kolory ze względów czysto pragmatycznych. Dla pacjentów musiała zlewać się z tłem, być bezpiecznym punktem na ścianie, o którą można się oprzeć. Dlatego zawsze nosiła nijakie fryzury i niczym niewyróżniające się stroje. Nawet jej perfumy pachniały swojsko, zwyczajnie.

– Czego? – Matka podniosła do ust kieliszek i umoczyła wargi w wiśniówce.

– Że przez cały ten czas miałaś siostrę – odparła i gwałtownie się odwróciła, gdy szkło rozprysło się na podłodze.

Ewa stała ze zwieszoną głową, jej ramiona drżały, a z gardła wydobywał się szloch małego opuszczonego dziecka. Była tak bezbronna, tak naga w swojej rozpacz, że Asia mocno ją przytuliła i zabrała z powrotem do domu. Przez tydzień ją karmiła, myła, robiła zakupy i sprzątała w mieszkaniu. Wyciągała na spacer, puszczała filmy, z których żadna z nich niczego nie pamiętała. Tak poradziła sobie z żałobą. Kiedy wracała do Wrocławia, miała wrażenie, że wreszcie nauczyła się żyć ze swoją matką. Przez ten czas nie pokłóciły się ani razu, rozmawiały ze sobą bez przymusu, milczały bez urazy i wreszcie Aśka uwierzyła w ten stan. Niepotrzebnie, bo gdy tylko przyjechała do domu i zadzwoniła do niej, wszystko było znów po staremu.

Czy tego właśnie się bała, jadąc przez mokry, szary Wrocław na dworzec? Że bez względu na to, co usłyszy od matki, wszystko i tak będzie po staremu? Jeśli „po staremu” miało oznaczać czas sprzed tamtego wypadku, sprzed kłamstw Michała, sprzed dziur w pamięci, to niczego nie pragnęła teraz bardziej.

Zasłuchana w monotony rytym deszczu na dachu peronu omal nie przegapiła komunikatu o pociągu. Wtoczył się powoli i zagłuszył słowa płynące z głośników. Kiedy weszła na pierwszy stopień, poczuła, że odrywa się od swojego dotychczasowego życia, tak jak ostrożnie zrywany z rany plaster. Trochę bolało, ale nie mogła się doczekać, co zobaczy pod spodem. Zawahała się i kobieta wsiadająca tuż za nią fuknęła z oburzeniem.

– Proszę się pospieszyć – syknęła, wbijając jej w plecy walizkę.

Asia zrobiła kolejny krok i weszła do środka.

W pociągu było gorąco. Od nagrzanego powietrza zaschło jej w gardle. Poprosiła konduktora, by skręcił trochę ogrzewanie w wagonie, a on spojrzał na nią ze zdziwieniem i wskazał ruchem głowy innym pasażerów. Siedzieli opatuleni szalikami, niektórzy zarzucili sobie kurtki na ramiona. Uśmiechnęła się do niego blado i przez resztę podróży nie odzywała się do nikogo. Wciąż czuła uderzenia



gorąca, atakowały zniecka i oblewały ją potem, który zbierał się tuż nad górną wargą. Ścierała go ukradkiem, żeby nie wzbudzać sensacji, chociaż i tak jej zachowanie nie uszło uwagi współpasażerów. Kiedy wstała, ugięły się pod nią nogi i musiała złapać się siedzenia obok, by nie stracić równowagi.

Szła do łazienki powoli, a wąskie przejście między rzędami foteli falowało przed oczami i dziwnie pięło się pod górę. Nawet jeśli wsiadając do pociągu, łudziła się, że wszystko zostawiła we Wrocławiu, teraz dość boleśnie przypomniawszy sobie o skutkach odstawienia. Spanikowana zajrzała do torebki. Nie była pewna, czy wzięła ze sobą leki, ale wyczuła je pod palcami w kosmetyczce. Starsza pani obrzuciła ją pogardliwym spojrzeniem i nachyliła się do swojego towarzysza, staruszka w wełnianej marynarce w kratkę. Szepnęła mu coś na ucho i mężczyzna podniósł głowę. Popatrzył na Joannę, uśmiechając się przyjaźnie. Odpowiedziała mu skinieniem głowy, a starsza pani westchnęła potępiająco. Joanna wróciła na miejsce i oparła policzek o szybę. Chłód rozlał się przyjemnie po skórze i przeniknął pod spód.

Przymknęła oczy. Monotonny rytm kół natarczywie przywoływał obrazy z tamtej podróży do Gdyni, gdy jechała na pogrzeb Ani. Wtedy coś się skończyło, zamknął się jeden z najważniejszych etapów w jej życiu, teraz być może otworzy się nowy. Sen przyszedł niespodziewanie. Wyczuła go sekundę tuż przed tym, jak noga ześlizgnęła jej się z krawężnika i ciało przeszył dreszcz. Zdążyła jeszcze pomyśleć, że zazwyczaj spada z wysokiego piętra lub tonie w wodzie, bo takie obrazy podsuwał jej umysł, zanim zaczynała śnić, a potem już stała na pomoście.

Przed nią rozciągała się spokojna tafla jeziora. Czarne burzowe chmury odbijały się w nieruchomej wodzie. Było cicho. Żadnych cykad, perkozów szeleszczących w trzcinach, kaczek muskających pióra. Jakby ktoś wyłączył dźwięk. Coś mignęło między chmurami. Zadarła głowę. Niebo ciemniało z każdą sekundą, chmury kotłowały się nad nią, zwierły szyki. Na powierzchni jeziora wciąż jednak panował spokój i całkowity bezruch. I wtedy zdała sobie sprawę, że w wodzie wcale nie odbija się niebo, że to, na co patrzy, jest przelewającą się leniwie ciemnością. Znowu coś mignęło. Uklękła na skraju pomostu i nachyliła się. Coś różowego, jakby pasek od kostiumu.

– Ciociu? – szepnęła.

Tuż przed nią wynurzyła się czyjaś ręka i złapała ją za gardło. Krzyknęła. Chciała się cofnąć, ale nie mogła. Ręka trzymała mocno i wciągała ją pod powierzchnię. Asia broniła się, wczepiała palcami w deski pomostu, drzazgi haratały jej skórę, wbijały się pod paznokcie. Zimna woda zaczęła wdzierać się do nosa, do ust, do uszu, zalewała

oczy. Ostatkiem sił uniosła głowę i zaczerpnęła powietrza. A potem zanurzyła się w ciemności.

– Proszę pani?

Przed nią stał mężczyzna w marynarce w kratkę i poklepywał ją po ramieniu.

– Proszę pani, wszystko w porządku? – Sucha sękata dłoń ześlizgnęła się na jej rękę i zatrzymała się tam na dłużej. Dopiero kiedy Asia poczuła rozlewające się na skórze ciepło, kiwnęła powoli głową, a potem dodała szeptem:

– Tak, dziękuję. I przepraszam.

Obraz pojawił się ledwie na chwilę, mignął przed oczami i zniknął. Zdążyła tylko zarejestrować książeczkę do nabożeństwa w czarnej oprawie i różaniec z wyślizganymi koralikami. Ten mężczyzna wkładał je do trumny, w której leżała jego towarzyszka podróży. Joanna potrząsnęła głową i spojrzała na niego niepewnie. W ciemnobrązowych oczach z dwiema jasnymi plamkami odbijał się uśmiech, jaki mu posłała. Trochę niezręczny, niewyraźny, ale życzliwy.

– Nie ma za co – powiedział. – Niech pani na siebie uważa.

Tym razem matki nie było na peronie. Czekala na nią w domu. Trolejbus utknął w gigantycznym korku na Morskiej, gdy tylko minęła przystanek Gdynia Stocznia. Ludzie nie zwrócili na to uwagi, gapili się bezmyślnie w ekrany smartfonów, rozmawiali przyciszonymi głosami. Jakaś dziewczyna malowała sobie paznokcie, siedzący obok chłopak trzymał buteleczkę z lakierem.

– Tylko nie upuść – mruknęła, kładąc pierwszą warstwę czarnego lakieru.

– No coś ty!

Joanna zabębniła palcami w szybę i westchnęła. Pewnie szybciej by było, gdyby poszła pieszo, tylko że padało i wiatr szarpał nagimi gałęziami drzew stojących wzdłuż ulicy.

– Remontują. Nic nie poradzisz – odezwała się staruszka w chustce na głowie i pokazała trzęsącym się palcem na okno. – To już z rok będzie, a końca nie widać. Trzeba się w cierpliwość uzbroić. Nietutejsza, hę?

Aśka uśmiechnęła się. Otworzyła usta, by odpowiedzieć, że właśnie nie, że zna to miejsce na wylot, że mieszkała tu przez siedem lat, i to w czasach, gdy na Morskiej nie było korków, ale zamknęła je z powrotem. Przecież była nietutejsza, wszędzie była nietutejsza. Aż tak to widać?

Staruszka skinęła brodą na walizkę i Joanna zaśmiała się cicho.

– Wracam do domu – odparła, a kobieta pokiwała ze zrozumieniem głową.

Trolejbus zawarczał, przejechał dwa metry i znów się zatrzymał. Za oknem widziała nieruchome dźwigi portowe i potężną suwnicę, na której dawniej był napis „Stocznia Gdynia S.A.”. Tylko ona wciąż stała w tym miejscu, a cała reszta wyglądała już zupełnie inaczej niż to, co pamiętała z dzieciństwa. Zniknęły stare magazyny z kundlami obszczekującymi przechodniów zza płotu, budynek mleczarni i piekarnia Kwaśniaka, w której mama kupowała jagodzianki w drodze z pracy. Pachniało tam świeżo pieczonym chlebem. Jeden z piekarzy w białym poplamionym fartuchu narzuconym na podkoszulek wnosił z zaplecza długą deskę z równo ułożonym rzędem bochenków. Aśka była tam kilka razy. Lubiła to miejsce, tak samo jak brązową chrupiącą skórkę chleba, chociaż latem w piekarni roilo się od os. Teraz po obu stronach Morskiej ciągnęły się nowe sklepy, świeciły neony, a wielkie żółte M górowało nad wszystkim.

Trzydzieści minut później wysiadła w Chyloni, zegnając się ze staruszką w chustce na głowie. Kółka walizki terkotały na nierównym chodniku, echo odbijało się między blokami i wracało do niej ze zdwojoną siłą. Szła jak pod ostrzałem, aż wreszcie chwyciła walizkę i uniosła ją. W ciszy, jaka nagle zapadła, rozległo się szczekanie psa. Zadarła głowę i spojrzała w okna na trzecim piętrze. Matka stała nieruchomo. Czekąca. Objęła ją sztywno, kiedy otworzyła szeroko drzwi i wpuściła córkę do środka.

– Jak podróż? – spytała, idąc już do kuchni i wstawiając wodę na herbatę. – Zjesz coś? Napijesz się czegoś?

Spędziły godzinę, rozmawiając o zupełnie nieistotnych rzeczach. Dokładnie godzinę. Joanna patrzyła na zegarek, zastanawiając się, kiedy wreszcie zaczną. Siedziały przy stole, ona pod oknem, matka twarzą do niej. Między nimi stał talerz z jagodziankami i dwa kubki zimnej herbaty. Asia upiła łyk i skrzywiła się.

– Niedobra? – Matka spróbowała swojej i szybko odstawiła kubek. – Zaparzyłam nam czystek zamiast herbaty. Poczekaj, zrobię nową. – Wstała i podeszła do zlewu. Z kranu kapały pojedyncze krople. Ewa zapaliła gaz pod czajnikiem i dokręciła kurek z zimną wodą. Ostatnia kropla zawisa tuż przy wylocie. Zadygotała, ale nie spadła.

Nadszedł czas.

– Mamo, wtedy, jak byliśmy u ciebie, coś się wydarzyło, prawda? – Joanna wpatrywała się w plecy krzątającej się matki. Znieruchomiały. – Na klifie – dodała.

Ewa odwróciła się do niej. W jej oczach odbijało się popołudniowe szare światło sączące się zza okna.

– Nie, kochanie, nic się nie stało. Nie wtedy.

Czajnik zagwizdał. Zalała herbatę i postawiła kubki na stole. Dokładnie w tym samym miejscu, w którym stały wcześniej.

– To wydarzyło się dawno temu – powiedziała cicho.

Aśka patrzyła na nią, nic nie rozumiejąc.

– Ale co?

– Coś... strasznego. – Matka urwała i zaczerpnęła powietrza, jakby zamierzała przepłynąć całą długość basenu pod wodą. – Pamiętasz, jak tu zamieszkaliśmy?

– Tak, miałam dwanaście lat. To było tuż po wypadku w szkolnej szatni. Przeżyłam załamanie i wylądowałam na oddziale u cici. – Spokojny głos córki nie pasował do drżenia w głosie matki.

– A pamiętasz, co było wcześniej?

– Wcześniej? Masz na myśli przed przeprowadzką czy przed tymi... incydentami?

Niefortunne słowo, ale żadne inne nie przyszło jej do głowy. Odkąd zaczęła brać leki, przestały rozmawiać o przeszłości, rękawiczkach i widzeniach, tak jakby postanowiły odciąć się od tego wszystkiego.

Ewa znów wzięła głęboki oddech. Pokiwała wolno głową. Czyli chodziło o to drugie.

– Pamiętam zerówkę – odpowiedziała Asia po dłuższej chwili. – I pielęgniarkę, i to, co zobaczyłam, gdy mnie dotknęła. – Przymknęła oczy, żeby przywołać tamten obraz. – Dziewczynkę w wodzie pod pomostem, dziurawą łódkę i...

– Miałyście takie same kostiumy – przerwała mama. Mówiła bardzo cicho, niemal szeptem. Obejmowała dłońmi kubek. Na powierzchni herbaty pojawiły się drobne zmarszczki. – Jednocześnie, w różowe paseczki. Ty miałaś pierwsza i tak jej się spodobał, że chciała tylko taki. Nie dało się was w nich odróżnić, kiedy stałyście tyłem. Dopiero gdy przysuwałyście się do siebie, widać było różnicę. Ty byłaś wyższa.

Joanna wpatrywała się w nią w milczeniu. O czym ona mówi? Przecież nic takiego nigdy się...

– To samo było z butami. Pamiętasz, jak kupiłam ci w sklepie w Przywidzu czerwone buciki na sprzączki, takie z tycim obcasem?

Pokiwała głową, jednak matka nie zwróciła na to uwagi. W ogóle na nią nie patrzyła. Wzrok miała wbity w herbatę, na powierzchni której od samego środka rozchodziły się kręgi, jakby wpadł tam kamień. Albo łąza.

– Zakochałaś się w nich. Wieczorem nie chciałaś ich zdjąć, musiałam zrobić to za ciebie, kiedy już zasnąłaś. A ona urządziła mi wtedy awanturę o te buty. Dlaczego kupiłam je tylko tobie, przecież jest już tak duża jak ty i też zasłużyła na takie sandałki... Tak właśnie o nich mówiła: sandałki.

Asi zrobiło się sucho w ustach. Znów zaczęły drżeć jej dłonie, więc wsunęła je pod uda.

– O kim ty mówisz?

Usta Ewy poruszyły się bezgłośnie, jakby bała się złamać nakaz milczenia, jakby chciała go obejść, zniszczyć święte przymierze. Zdradzić.

Patrzyła na wargi matki układające się w dwa słowa. Zupełnie do siebie niepasujące, niewłaściwe.

„Twoja siostra”.

Pot zebrał się nad jej górną wargą. Musiała go zetrzeć, bo irytujące krople łaskotały ją i drażniły. Wyciągnęła prawą dłoń. Drżała jeszcze bardziej, nienaturalnie.

Matka nie podnosiła wzroku. Coś się z nią działo. Jeszcze nigdy nie widziała jej w tym stanie. Zachowywała się tak, jakby traciła rozum.

– Mamo? – odezwała się miękko, łagodnie i Ewa wreszcie drgnęła. Popatrzyła na nią z ociąganiem. W jej spojrzeniu było coś niedobrego, co skojarzyło się Asi z czarnym, zasnutym chmurami niebem. Kiedy znów się odezwała, w chropawym głosie brzmiała gorycz.

– Twoja siostra miała na imię Ania, po cioci. Dzielił was tylko rok, tak jak nas. Chodziła za tobą jak cień, naśladowała cię, powtarzała twoje ruchy i słowa. Podkradała ci ubrania z szafy, a potem żądała, bym kupowała wam takie same. Chciała być jak ty, chciała być tobą.

Kiedy kropla zwisająca z kranu nagle się oderwała i wpadła do pustego zlewu, Asia aż podskoczyła. Zerwała się z krzesła, by sprawdzić, skąd ten huk, ale matka chwyciła ją za rękę i zmusiła, by usiadła z powrotem.

– To się wydarzyło latem. Ty miałaś sześć lat, Ania pięć. Nasz dom stał na łące nad jeziorem. Włożyłyście swoje kostiumy. Gdy spytałam, dokąd idziecie, powiedziałaś, że chcecie się poopalać. Wiedziałaś, że nie wolno wam zbliżać się do wody. Wiedziałaś. – Głos matki przybrał na sile. Mówiła coraz pewniej, coraz mocniej, jakby przebiła się już przez mur i poczuła wolność. Nic nie mogło jej powstrzymać. – Była niedziela. Wróciłam z kościoła i musiałam się przebrać.

Palce matki zaciskały się boleśnie na jej przegubie. Joanna napięła mięśnie ręki,

żeby się oswobodzić, gdy nagle przypomniała sobie niedzielną sukienkę, zieloną w białe grochy, i pantofle ze spiczastym noskiem w tym samym kolorze co torebka. Kremowym. Patrzyła na cieliste pończochy i podwinięty z jednej strony brzeg sukienki. Usłyszała roześmiany głos mamy, kiedy pytała, dokąd się wybierają. „Opalać się – odpowiedziała. – Idziemy się opalać”. Na dźwięk słowa „idziemy” przeszył ją dreszcz.

– Weszłam do środka. Zniknęłyście mi z oczu, a potem... potem...

Ewa wessała powietrze i znieruchomiała. Przypominała teraz posąg, zimny, kamienny i zupełnie obojętny. Jak ktoś nieżywy, pomyślała Asia.

– O czym ty mówisz? – zapytała głucho. – Przecież ja nie miałam...

Kiedy mama weszła do środka, chwyciła Anię za rękę i szepnęła: „Biegniemy. Tylko cicho”. Kostiumy w różowe paski nagrzane od słońca pachniały gumą do żucia. Źdźbła trawy kłuły w stopy przez dziurki w czerwonych bucikach. Było gorąco, a cykady zagłuszały ich kroki. W trzcinie zaszeleściło i na środek jeziora wypłynęła kaczka. Wbiegły na pomost i kucnęły na samym końcu, tam gdzie nie widać już było dna. W ciemnej od mułu wodzie pluskały się rybki. Ich pomarańczowy kolor błyskał między wodorostami, kiedy zbliżały się do powierzchni, i niknął, kiedy wracały w głąb jeziora. Pachniało mokrym drewnem i butwiejącymi liśćmi. Słońce odbijało się w wodzie. Musiała zmrużyć oczy. Ania wstała i pokazała na coś ręką. To musiała być stara łódź poprzedniego gospodarza. Podobno zatonała gdzieś tutaj, niedaleko pomostu. Podeszła bliżej. I jeszcze bliżej. Asia otworzyła usta, żeby krzyknąć „Uważaj”, ale nie zdążyła.

– Mamo? – Joanna patrzyła szeroko otwartymi oczami na matkę. Czowała, jak rozszerzają się ciemne źrenice, jak zaczyna brakować jej tlenu.

Ania zsunęła się z pomostu. Czarna woda połknęła ją i zamknęła się. Było cicho. Tylko cykady zagłuszały przyspieszony oddech Asi.

– Szukałam was – odezwała się stara zmęczona kobieta siedząca naprzeciwko. – I tam cię znalazłam. Na pomoście. Kucłaś na samym skraju. I patrzyłaś w wodę. A kiedy zapytałam, gdzie jest Ania, milczałaś. I wciąż patrzyłaś w wodę. Nie od razu zrozumiałam. – Potrząsnęła głową i śmiertelnie znużonym głosem dodała: – To nie jest coś, co można zrozumieć.

Mama jęknęła i opadła na kolana. Zatrzeszczały deski, gdy nachyliła się i włożyła do wody rękę. Szukała, desperacko próbowała złapać, schwycić, natrafić na znajomy kształt, ale palce zaczeptały się tylko o wodorosty. A potem spojrzała na Asię. „Coś ty

zrobiła?” – rzuciła i zeskoczyła z pomostu. Woda wchłonęła ją miękko. Bluzka i cienka spódnica przywarły do ciała, włosy unosiły się przez chwilę na powierzchni, zanim zanurzyła się cała. Miotła się, krzyczała, spienione bąble powietrza uciekały do góry. W trzcinach coś zaszeleściło i przestraszona rodzina perkozów wyprysnęła na środek jeziora. Kiedy uspokojone ptaki się zatrzymały, zapadła kompletna cisza. Nawet cykady zamilkły. I mama też.

– Zamówiliśmy dla niej białą trumienkę. – Ewa poluzowała palce zaciśnięte na przegubie Joanny i powoli je rozprostowała. Na skórze odznaczyły się blade pręgi. – Była taka maleńka. Po mszy tata wziął ją na ręce i zaniósł na cmentarz. Mężczyźni ze wsi chcieli mu pomóc, ale nie dał. Pochowaliśmy ją tam, przy samym murze kościoła. I próbowaliśmy dalej żyć, tylko że z tobą coś się stało. Przestałaś się odzywać, jeść i pić. Kładliśmy cię wieczorem do łóżka, a ty uparcie wychodziłaś z domu i szłaś na pomost. Nie od razu się zorientowaliśmy, to Ania, twoja ciocia, cię tam znalazła. My nie mogliśmy... Nie mogliśmy... – Zacięła się, jakby znów natrafiła na przeszkodę, której nie potrafiła pokonać. Mówienie o śmierci córki postarzyło ją o dziesięć lat, gdyby musiała jeszcze wrócić do otchłani żałoby, umarłaby. – Nie było z tobą żadnego kontaktu. Odcięłaś się, tak powiedziała Ania. Wzięła cię do Gdańska na jakiś czas, żebyśmy... – Szukała odpowiedniego słowa.

Żebyście nie musieli na mnie patrzeć, dokończyła za nią w myślach Joanna.

– ...mogli do siebie dojść – ciągnęła Ewa. – Mówiła, że ci przejdzie. Że musisz się uporać z traumą, że zadzwoni, gdy ci się poprawi. Zadzwoniła po miesiącu. Powiedziała, że zapomniałaś.

– O tym, że zabiłam siostrę? – zapytała Joanna, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że jedyna odpowiedź, na jaką czeka, to ta, że ma tak nie mówić. Nigdy! Przecież nie zabiła siostry, przecież to był tylko wypadek! Nieszczęśliwy wypadek.

– Nie, że w ogóle zapomniałaś o siostrze – odparła gorzko mama. – Zachowywałaś się tak, jakby ona nigdy nie istniała. Znowu zaczęłaś się odzywać, jeść i pić, interesować się światem. Tęskniłaś za nami. Ania uznała, że kiedy już twoja psychika upora się z traumą, wszystko sobie przypomnisz. Potrzebowałaś tylko bezpiecznego miejsca, by sobie z tym poradzić. Dla nas było jeszcze za wcześnie, więc zrobiła ci przedłużone wakacje. I dała nam miesiąc.

– Miesiąc? Na co?

Ewa ostrożnie upiła łyk herbaty, jakby parzyła ją w usta, chociaż kubek od dawna był już zimny. Podsunęła jej talerz z jagodziankami, a gdy Asia powtórzyła pytanie,

odparła z ociąganiem:

– Na to, żebyśmy stworzyli ci takie bezpieczne miejsce. Z dała od wspomnień o twojej siostrze. Przeprowadziliśmy się do innej miejscowości. Zmieniliśmy pracę. Usunęliśmy z albumu wszystkie zdjęcia, na których była Ania. Schowaliśmy wszystkie jej ubrania, zabawki, rysunki i ulubione rzeczy, nawet te, które należały do ciebie. Pozbyliśmy się z domu wszystkiego, co by mogło ci ją przypomnieć.

Monotonny głos zlepił słowa, tak że zlały się w jeden niewyraźny szum, który narastał w głowie Joanny. Widziała, jak usta matki poruszają się, formują wyrazy i wypuszczają je z siebie, ale słyszała tylko ogłuszający dźwięk. Skuliła się i zakryła uszy dłońmi. Przepona ścisnęła się boleśnie i nagle z żołądka podeszła do gardła fala gorzkich torsji. Ledwo zdążyła dobiec do łazienki. Wstrząsana wymiotami, jak przez mgłę słyszała, że matka wciąż siedzi w kuchni i mówi. Opowiada dalej historię, którą dawno temu wspólnie wymazali z jej życia. Historię dwóch sióstr, z których jedna zabiła drugą. Historię zduszonych oskarżeń, głębokiej urazy, ukrytego bólu i cierpienia, które rosło w ciemności przez lata, pęczniało, zamieniając się w zimną, czystą nienawiść. Zakazaną nienawiść, bo przecież nie można nienawidzić dziecka, które się kocha, prawda?

Zostawiła ją przy kuchennym stole przed talerzem z nietkniętymi jagodziankami. Musiała wyjść z domu, nie mogła tam oddychać. Rzuciła z przedpokoju, że idzie się przejść, ale matka nie zareagowała. Położyła głowę na dłoniach i jedynie podnoszące się i opadające wraz z oddechem plecy świadczyły o tym, że jeszcze żyje. Tliła się w niej już tylko resztką siły, bo całą swoją energię włożyła w słowa, których od tak dawna nie wypowiadała. Nie sądziła, że będą ją kosztować aż tyle wysiłku. Czekala przez trzydzieści pięć lat, by wygrzebać je z głębokości stu dwudziestu centymetrów. Sto dwadzieścia centymetrów pod powierzchnią ziemi, tam gdzie zakopali swoje dziecko. W białej trumience nie znalazła już jednak niczego prócz słów...

Nie usłyszała, jak za Joanną zamknęły się drzwi.

Zbiegła po schodach. Nogi same ją niosły. Nawet nie zauważyła, jak dotarła na przystanek. Szum, ten uporczywy irytujący dźwięk wciąż wibrował w uszach. Nasilił się, gdy pomyślała o ojcu i jego picciu. Co takiego powiedziała o nim ciocia? Że każdy ma swoje demony? Nie miała racji, to nie był jego demon, tylko sposób na zagłuszenie demonów ujadających gniewnie gdzieś na dnie duszy, gdzie pogrzebał swoje dziecko. Czy gdyby nie wybrały się wtedy na pomost, tata nie zapiłby się na śmierć? Czy wystarczyłoby wyciągnąć siostrę z wody, by matka przestała ją obwiniać? A gdyby



pobiegła po pomoc, jej życie byłoby zwyczajne, jak każdego innego człowieka? Nie byłoby ani obrazów zniecka pojawiających się przed oczami, ani cudownego dziecka, przeprowadzek, prochów, detoksu, Michała, ani... Mileny? Wsiadła do pierwszego lepszego trolejbusu i dopiero na końcowym przystanku zorientowała się, że jest w Orłowie. Wróciła tam, gdzie wszystko się zaczęło.

Ulicę prowadzącą nad molo pokonała niemal biegiem. Dławił ją płacz, ale nie chciała płakać przy ludziach, którzy wpatrywali się w nią z oświetlonych okien domów. O tej porze życie w Orłowie zamierało już z wolna, tylko psiarze wracali z popołudniowej przebieżki, mijając ją zresztą bez słowa, gdy skulona pędziła przed siebie, byle szybciej.

Zobaczyła blask lamp oblizujących białe deski molo, była już blisko. Ominęła knajpę i kilka łodzi wyciągniętych na brzeg. Dopiero tam poczuła się na tyle bezpiecznie, że zwolniła. Zeszła na plażę. Fale wyłaniały się z ciemności i łapczywie obmywały molo, a potem kąsały piasek. Stała twarzą w twarz z czarnym morzem. Mlaskało cicho, cmokało pieszczotliwie, pędziło ku niej z narastającym szumem, a potem, w ostatniej chwili, rozmyślało się i cofało. Joanna zrobiła krok w stronę wody. I kolejny. Wiatr miotał wściekle ostrymi ziarenkami piasku, siekł ją nimi po twarzy i dłoniach, wsypywał się do butów. Plaża poruszała się, oddychała ciężko jak olbrzymie cielsko wieloryba. Joanna stała już tak blisko wody, że następna fala obmyła czubki jej butów. Czarne morze mruczało zachęcająco. „Oddaj mi to, z czym przyszłaś. Wezmę wszystko. Wchłonę wszystko. Wszystkie twoje historie, i te, które dobrze pamiętasz, i te, o których zapomniałaś, to, co się wydarzyło, i to, co mogło się wydarzyć. Wezmę wszystko”.

Kucnęła i wyciągnęła dłoń. Lodowata czarna woda podeszła do niej ostrożnie, czujnie, na sprężystych łapach i obwąchała jej palce. Asia zagłębiła je w mokrym piasku. Czują, jak wchodzi pod paznokcie. Kiedyś uwielbiała tu przyjeżdżać z matką. Morze było zupełnie inne niż jeziora. One wszystkie wyglądały tak samo, dało się je opłynąć łódką czy kajakiem, były oswojone, nie gryzły. A morze nie miało końca, czasem nawet nie miało horyzontu, po prostu płynnie przechodziło w niebo. Przypomniła sobie tamten dzień na plaży z mamą i ciocią. One rozmawiały na kocu, zniżając głos do szeptu, gdy do nich podchodziła, mówiły: „Idź się bawić”. Skakała więc przez fale, budowała zamki z piasku, drewnianym patyczkiem jadła lody odwijane ze srebrnego papierka. Ile wtedy było warte jej życie? Tyle co życie siostry? Mniej? A może więcej? A ile warte były zdjęcia, zabawki, sukienki i gumki do włosów małej Ani? Pewnie tyle, ile rzeczy Mili. I to wszystko wchłonęło czarne morze.

Joanna wzięła garść piasku i z furją cisnęła go przed siebie, prosto w ciemność. Kiedy się obejrzała, nie zobaczyła swoich śladów. I dobrze, przecież nie zamierzała już po nich wracać. Szybkim krokiem ruszyła ku ścieżce prowadzącej na urwisko. W dłoni czuła zmarzniętą dłoń Mili, słyszała poganiający je głos Michała. Oddychała płytko, nierówno, wspinając się pod górę. Pulsowało jej w uszach. Spocona dotarła na klif i wystawiła twarz do wiatru. Po prawej stronie w oddali widać było światła Sopotu i oświetlone moło wbite głęboko w morze, jeszcze dalej Brzeźno i wejście do portu. Po lewej rozciągała się Gdynia, to nowe błyszczące miasto ze szpanerskimi jachtami i drogimi restauracjami na plaży, które miały odciągnąć uwagę turystów od odrapanych kontenerów w porcie i zgiełku stoczni. Ona znajdowała się dokładnie pośrodku, na wprost czarnego morza. Obejrzała się. Tutaj musiał stać wtedy Michał, kiedy ona z Milą schowały się między drzewami, a potem... Zamarła. Spośród obrazów padającego śniegu, kucającej za krzakiem Mili, zaczerwienionych od wiatru policzków, termosu z herbatą, pnia wyrzuconego przez morze na brzeg i zielonkawych sieci rybackich nagle wyłonił się czyjś głos. Stłumiony krzyk, coś pomiędzy zaskoczeniem a strachem. I to nie był krzyk Michała. Joanna słyszała go wyraźnie. Krótki, urwany, jakby niedokończony. A potem zobaczyła czerwoną rękawiczkę z jednym palcem.

Poczuła, jak lodowaty strach ściska jej piersi i zabiera oddech. Zgięła się wpół. Matka nie miała racji. Coś się wtedy tutaj stało. Tego dnia, gdy przyszli tu z Milą, coś się stało. Coś strasznego.

Kiedy wyjmowała z kieszeni telefon, ręka tak jej drżała, że prawie go upuściła. Śliski od potu palec zostawiał mokre ślady na ekranie. Weszła do sieci i wystukała „klif wypadek listopad”. Nie musiała wpisywać roku. Wszystkie wyniki dotyczyły tego samego – śmiertelnego wypadku na orłowskiej plaży.

Nikt nie widział, jak spadła.

Leżała na boku. Z połamanymi rękami i nogami, ze zmiażdżoną twarzą.

Krew roztopiła cieniutką warstwę śniegu i wsiąkła w piasek.

Nim przyjechały policja i pogotowie, wokół ciała rozlała się ciemna plama. Miała rozszarpaną kurtkę i tylko jedną rękawiczkę. Druga została na górze. Nie wiadomo, jak ośmioletnia Ola wspięła się sama na klif. Poszła z mamą i psem na spacer po plaży. Zniknęła matce z oczu gdzieś w okolicy moła. Matka szukała jej, wołała, ale wiatr zagłuszał słowa. Pies szalał na piasku, ujadał na fale i gonił mewy. A potem podniósł łeb. Nastawił uszy. I popędził pod klif.

– O Boże – wyszeptała Joanna zbieleiałymi ze strachu wargami. – O Boże! – jęknęła głośno i osunęła się na kolana. – O Boże! O Boże! – zawodziła, kołysząc się.

Gdzieś wysoko nad jej głową kołowały mewy z szeroko rozpostartymi skrzydłami. Nie walczyły z wiatrem, nie stawiały oporu. Unosiły się swobodnie tak długo, dopóki nie wchłonął ich mrok.

Telefon wypadł z jej dłoni i zanim zgasł ekran, było to jedyne światełko wyłaniające się z czarnego morza.

– Asiu, to ty?

Głos był tak słaby, że ledwo usłyszała. Skrzywiła się. Miała nadzieję, że już śpi. To wyznanie musiało matkę sporo kosztować, może nawet więcej niż ją. Delikatnie przekręciła klucz w zamku i cicho zamknęła za sobą drzwi. Nierozpakowana walizka stała w przedpokoju. Wystarczyło po nią sięgnąć i obrócić się na pięcie.

– Asiu?

Wstrzymała oddech.

– Tak, mam, to ja – odparła po chwili.

Matka stanęła w progu kuchni i oparła się o futrynę. Przypominała teraz staruszkę z trolejbusu, była taka maleńka, pokurczona. Jakby od ich ostatniej rozmowy minęły całe lata, a nie godziny.

– Bałam się, że nie wrócisz.

Wcale nie wróciła, po prostu przyszła po walizkę. Tamta kobieta miała rację – Joanna była nietutejsza. I tutaj, w Gdyni, i tam, we Wrocławiu. Znała te miasta na wylot, potrafiła się po nich poruszać własnymi ścieżkami, tylko że ktoś wymazał z mapy całe kwartały, wygumkował ulice, a to, czego nie dało się usunąć, zalał czarną farbą. I nagle okazało się, że już nie jest stąd.

– Zostałam tylko ja – odezwała się matka. Jej głos brzmiał spokojnie, jakby wszystko przemyślała i podjęła decyzję. – Ojciec i ciocia nie żyją, mogłam zachować to w tajemnicy do końca. I zrobiłabym to dla ciebie. Zostawiłabym tę historię pogrzebaną głęboko pod ziemią, gdyby nie...

– Gdyby nie co? – Zabrzmiało to bardziej wyzywająco, niż się spodziewała, ale matka nie dała po sobie poznać, że to zauważyła.

– Gdyby nie Mila – westchnęła i podeszła do krzesła. – Usiądź, proszę. Wysłuchaj mnie do końca, a potem zrobisz, co zechcesz.

Joanna zawahała się. Zrobiła krok w stronę walizki, minęła ją i weszła do kuchni.

– Kiedy mówiłam Ani, że spodziewasz się córki, płakałam z radości, a ona tylko smutno na mnie popatrzyła – zaczęła Ewa, gdy Asia usiadła naprzeciwko niej. – Nie wiedziałam, o co jej chodzi, dlaczego nie cieszy się twoim szczęściem, naszym szczęściem, bo przecież nie sądziłam, że z tymi lekarstwami kiedykolwiek zdecydujesz się na dziecko. Powiedziała mi wtedy coś, co mnie zmroziło. Że za pięć lat twoja córka będzie w wieku, w którym twoja siostra miała wypadek. Widzisz, nie myślałam o tym w ten sposób. Ja chyba po prostu tak bardzo wyparłam z pamięci jej twarz, głos i śmiech, że zostawiłam tę część historii za sobą. Liczyłaś się tylko ty, twoje zdrowie, twoje życie, a potem twoja córka. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że... W każdym razie przyjechaliście na Święta Wielkanocne i wtedy zauważyłam, że coś się zmieniło. Stałaś się bardziej nerwowa. Coraz częściej zdarzały ci się ataki, prawda? Pytałam o to Michała, ale nie był zbyt wylewny. Wiedział, że nie chcesz, bym rozmawiała z nim o tym, a sama unikałaś tych tematów jak ognia. Mili mi powiedziała. A latem, gdy byłyście tu we dwie, usłyszałam wieczorem, jak śpiewasz jej kołysankę. I serce mi stanęło. Wiesz dlaczego? Bo to była ulubiona kołysanka Ani, codziennie śpiewałam ją wam do snu. „Był sobie król, był sobie paż i była też królowa...” – zanuciła cicho. – Ostatni raz zaśpiewałam ci to w dniu pogrzebu. Zachowywałaś się tak, jakbyś zaczęła przypominać sobie pewne rzeczy, jakby Mili je z ciebie wyciągała.

„Żyli wśród mórz, nie znali burz, rzecz najzupełniej pewna”.

A więc to nie ona śpiewała te słowa Mili, tylko sama słuchała ich co wieczór przed snem. Przymknęła na chwilę oczy i zobaczyła plecy swojej siostry w piżamce w różowe słonie. Dotknęła jednego z nich palcem wskazującym i zapytała szeptem: „Śpisz?”. Spała.

– Ania miała cymbalki, prawda? – spytała cicho.

– To były właściwie twoje cymbalki, ale oddałaś je siostrze. Uwielbiała na nich grać. – Kąciki ust Ewy drgnęły, jakby zamierzały się podnieść w uśmiechu, ale znów opadły, tylko w spojrzeniu pojawił się odrobinę cieplejszy ton. – Wymyślała melodie i tak długo uderzała pałką, aż udało jej się je odtworzyć. Schowaliśmy te cymbalki razem z innymi rzeczami do kartonów i ukryliśmy przed tobą. Przeprowadzały się z nami z miejsca na miejsce, aż w końcu pewnego razu zniknęły. Wróciłam do ostatniego domu, przetrząsnęłam strych i piwnicę, ale ich nie znalazłam. Może zginęły wcześniej, a ja dopiero wtedy to zauważyłam? W pewien sposób tak było łatwiej, bo sama zaczęłam wątpić w to, że ona kiedykolwiek istniała. Andrzej nigdy nie zwątpił

i dlatego miał trudniej niż ja. – Ewa wyciągnęła rękę i położyła ją ostrożnie na dłoni córki. Czekala, aż ta ją cofnie, ale Asia tego nie zrobiła. – Jeśli chcesz, wszystko ci opowiem. Każdy szczegół, od kiedy po raz pierwszy ją poczułam. Wszystko. Jeśli tylko chcesz.

Chciała. Słuchała opowieści matki, chociaż wciąż nie potrafiła przypomnieć sobie twarzy małej Ani, bo na jej miejsce uporczywie wskakiwała Mila. To z piżamy w słonie, kostiumu w różowe paski, czerwonych sandałków i cymbałków powoli wyłaniał się obraz siostry. Siedziały w kuchni do późna i rozmawiały tak długo, aż Joannie zaczęło kręcić się w głowie ze zmęczenia. Była wyczerpana i sama już nie wiedziała, czy organizm reaguje tak na zbyt późno dostarczoną mu tabletkę, czy też na te wszystkie historie, które odzyskał nagle po trzydziestu pięciu latach. Patrzyła na błyszczące oczy matki, gdy ta opowiadała o pierwszych świętach z dwiema córkami. Była tuż po porodzie i panicznie bała się, że znów dopadnie ją depresja, tak jak po urodzeniu Asi. Nawet jeśli przez rok starała się o tym zapomnieć, ciało wciąż pamiętało poczucie bezbrzeżnego smutku, osuwania się w przepaść, powolnego umierania. Andrzej też się tego bał. Wyczuleni na najdelikatniejsze nawet sygnały, czekali w napięciu, ale nic takiego się nie wydarzyło. Ulżyło jej wtedy, chociaż jako matka powinna była wiedzieć, że ten strach już nigdy nie odpuści.

– Wiesz, o co mi chodzi? – Ewa popatrzyła na córkę, a ta wolno pokiwała głową. Tak, znała ten gorzki smak lęku, od kiedy pojawiła się Mila.

Ewa chciała coś jeszcze dodać, gdy zadzwoniła jej komórka.

– To Michał – powiedziała ze zdziwieniem, zerkając na wyświetlacz. – O tej porze? Coś się stało?

– Pewnie nie mógł się do mnie dodzwonić – odparła spokojnie Joanna. – Miałam ściszony telefon. Nie. – Położyła dłoń na komórce, zanim matka wcisnęła zieloną słuchawkę. – Nie odbieraj, proszę. Później ci wytłumaczę, dobrze? Teraz padam z nóg. Muszę się położyć.

W swoim dawnym pokoju z niezbyt wygodną wersalką i książkami z dzieciństwa, które wciąż stały na półkach i czekały, aż Mila do nich dorośnie, sprawdziła, ile razy do niej dzwonił. Piętnaście.

– Asia? Gdzie ty jesteś?! – zawołał spanikowany, gdy oddzwoniła. – Boże, nawet nie wiesz, jak się o ciebie martwiłem! Wracam z pracy, a ciebie nie ma. Mieszkanie całe wywrócone do góry nogami i bałem się, że...

– Michał – przerwała mu cichym i opanowanym głosem. – Wiem, co zrobiłeś.

W telefonie zapadła cisza.

Kółka walizki terkotały na nierównych płytkach chodnikowych, gdy szła na przystanek. Przed blokiem odwróciła się jeszcze i spojrzała w górę. Matka w oknie przypominała stąd małą dziewczynkę. Obie równocześnie uniosły dłoń na pożegnanie. Być może pewne historie nie mają ani początku, ani końca, być może wpada się od razu w sam ich środek, rozpaczliwie próbując pozlepiać różne wątki i stworzyć z nich spójną opowieść. Być może to właśnie próbowała teraz zrobić Joanna, bo zamiast pójść na poranny pociąg z Gdyni Głównej, wsiadła do SKM-ki. Kiedy zapytała matkę o adres, ta w pierwszej chwili zaniemówiła. A potem zapisała go na karteczce i podała jej bez słowa. Uśmiechnęła się tylko ciepło.

Wysiadła na gdańskiej Zaspie i dezorientowana rozejrzała się po pustym peronie. Wreszcie ruszyła niepewnie w stronę schodów prowadzących na wiadukt. Dopiero na górze przypomniała sobie widok na blokowisko zbudowane na dawnym pasie startowym. Boczne ściany budynków zdobiły teraz ogromne barwne murale, tam, gdzie dawniej rozciągały się łąki, stały nowe domy. Pewnie już nie takie nowe, sądząc po śladach zacieków na elewacji, a na wielkim wybetonowanym placu, na którym, jeśli dobrze pamiętała, dało się niegdyś kupić dosłownie wszystko, i to o każdej porze dnia czy nocy, było teraz pełno... śniegu? Spojrzała zdziwiona na białą nieruchomą połąć i poszła w tamtym kierunku. To nie był śnieg. Wielkie stado mew przycupnęło spokojnie na dawnym targowisku, nastroszyło pióra i zastygło w bezruchu. Ptaki nie ruszyły się nawet, gdy weszła pomiędzy nie. Śledziły ją tylko wzrokiem, małe czarne oczy taksowały ją uważnymi spojrzeniami. Przeszła między nimi powoli, żeby ich nie wystraszyć, chociaż żaden z ptaków nawet nie drgnął.

Gdy dotarła na drugą stronę, odwróciła się, by jeszcze raz spojrzeć na morze białych milczących mew, a potem położyła dłoń na furtce i mocno pchnęła. Trzy niewielkie schodki prowadziły do ciężkich drzwi. Z trudem je otworzyła i jeszcze zanim weszła do środka, uderzył ją zapach detergentu, gumowych podkładów i mokrych pieluch. Dom z ogródkiem na tyłach, otoczony siatką, sprawiał dość przygnębiające wrażenie wśród w miarę nowych, choć już nie do końca białych bloków oraz ożywionych muralami majestatycznych dziesięciopiętrowców. Wyglądał jak z poprzedniej epoki, kiedy jeszcze na ryneczku sprzedawano jaja, rajtki i ryby. Małe okna wpuszczały do środka niewiele światła, a ciemnozielone tapety w rachityczne żółte kwiatki pochłaniały nikły blask otaczający zamontowane na ścianie plafony.

Na parterze mieściły się gabinet dyrektorki i kuchnia połączona z pokojem socjalnym dla pracowników. Joanna zajrzała tam, ale nikogo nie zobaczyła. Postawiła walizkę we wnęce pod schodami i ruszyła na górę. Schody trzeszczały, kroki tłumił budy albo po prostu brudny dywan. Zresztą i tak kończył się na półpiętrze, bezlitośnie ucięty w połowie i zabezpieczony taśmą, by nikt się o niego nie potknął. Dalej szła już po błyszczących drewnianych schodach. Ktoś niedawno musiał je umyć, bo intensywnie pachniały kwiatowym płynem. Długi korytarz rozwidlał się w połowie i odsłaniał widok na dwa pokoje. Nie wiedziała, gdzie szukać babki, więc szła powoli, przykładając ucho do zamkniętych drzwi po obu stronach korytarza. Było ich w sumie sześć – cztery pokoje po bokach i dwa na końcu, a do tego spora łazienka z szerokimi przesuwными drzwiami.

Niezbyt duży ten dom, pomyślała, przyglądając się obrazkom wiszącym na ścianach. Z każdego uśmiechały się szeroko bezzębne niemowlęta.

– Dzieci zawsze dobrze działają na naszych lokatorów. – Za jej plecami ktoś się nagle odezwał. Joanna odwróciła się i zobaczyła niską krągłą kobietę w zielonym uniformie. – Nawet ci agresywni łagodnieją i przynajmniej można ich umyć bez tego. – Kobieta podniosła dłoń w niebieskiej rękawiczce i pokazała fioletowy siniec pod okiem. – Wypadek przy pracy. – Zaśmiała się. – Kogo pani szuka?

– Babki – odparła odruchowo, po czym zmieszana dodała: – To znaczy Stanisławy Leś.

– A, Stasia leży w ostatnim pokoju po lewej. Tylko niech pani uważa na staruszkę na fotelu. Misia jest niegroźna, ale lubi zniecka chwytać przechodzącego obok człowieka. Można się przestraszyć.

Joanna pokiwała głową i ruszyła w tamtą stronę pod ostrzałem spojrzeń uśmiechających się dzieci.

– Dzień dobry – powiedziała w progu.

Nikt się nie odezwał. Pod ścianami po obu stronach pokoju stały po trzy łóżka, a naprzeciwko drzwi, tuż pod oknem, okrągły stolik i dwa fotele. W jednym z nich siedziała Misia i patrzyła na nią rozmytym wzrokiem. Spod swetra wystawał kawałek paska, który prowadził tuż pod piersiami i zniknął za oparciem. Do niej musiało należeć pierwsze łóżko po prawej stronie, bo pozostałe były zajęte. Leżały na nich siwe, pomarszczone kobiety. Albo wysuszone na wiór, o rękach tak cienkich, że wystarczyłoby mocniej zacisnąć na nich dłoń, by je złamać, albo nabrzmięte, spuchnięte, jakby ktoś napompował je powietrzem. Zwłaszcza ta najbliższa drzwi,

z olbrzymim podgardlem rozlewającym się na poduszce. Oddychała ciężko, a przerwy pomiędzy wznoszeniem się i opadaniem kołdry na rozdętym brzuchu zdawały się coraz bardziej wydłużać, jakby to sam oddech pęczniał i przybierał na wadze.

Babka leżała na samym końcu. Schudła, od kiedy Joanna widziała ją po raz ostatni, ale poza tym prawie w ogóle się nie zmieniła. Miała tę samą twarz i to samo nieobecne spojrzenie. Joanna stanęła nad jej łóżkiem.

– Zamieniłyśmy się rolami, co? – mruknęła. – Kiedyś to ty przychodziłaś do mnie.

Właściwie cieszyło ją, że babka w ogóle nie reaguje. Gdyby był z nią jakikolwiek kontakt, mogłaby zapytać wnuczkę, czemu do niej przyszła, a ona nie umiałaby odpowiedzieć. Zastanawiała się nad tym od rana, od kiedy otworzyła oczy i ujrzała nad sobą bąble na suficie, pozostałość po zalaniu przez sąsiadów, i wciąż nie wiedziała, dlaczego postanowiła tu wreszcie przyjechać. Być może miało to jakiś związek ze starszym mężczyzną w marynarce w kratkę, którego spotkała w pociągu do Gdyni. Śnił jej się tej nocy. We śnie dzwonił na pogotowie, mówił zdenerwowanym głosem, że żona, że źle się czuje, że nie oddycha, a potem siedział na szpitalnym korytarzu zalany ostrym bladym światłem. Miał łokcie oparte na kolanach i głowę schowaną w dłoniach. Obok na krześle leżała książeczka do nabożeństwa i różaniec z wyslizganymi koralikami.

Kiedy się obudziła, była pewna, że mężczyzna jest w jej pokoju. Czują jego obecność i odruchowo dotknęła tego miejsca na ręce, w którym on poprzedniego dnia położył swoją dłoń. Dopiero po chwili dotarło do niej, że musiało to mieć coś wspólnego z obrazami z dzieciństwa, z tym wszystkim, co widziała, zanim zaczęła brać leki. Te same, których dawkę teraz sobie zmniejszyła. To mógł być oczywiście zbieg okoliczności, przecież nic się nie zdarzyło, gdy wzięła mamę za rękę, ale i tak korciło ją, by spróbować tego samego z babką. Skoro zapełniała sobie od nowa przeszłość, chciała wiedzieć więcej. Wszystko. Nachyliła się nad łóżkiem i ostrożnie wyciągnęła dłoń. Kiedy palce dotknęły skóry babki, Asia mogłaby przysiąc, że twarz staruszki wykrzywiła się. Poza tym nie zobaczyła niczego. Zrezygnowana cofnęła się o krok i nagle ktoś mocno chwycił ją za rękę. Nawet nie zdążyła się odwrócić. Jej głowa wypełniła się wrzaskiem, potwornym ochryplym krzykiem, od którego pękały bębenki. Było w nim tyle bólu i wściekłości, tyle rozpacz i błagania, żalostnego, skomlącego błagania o śmierć. Nie mogła oddychać, otworzyła usta, by krzyknąć, zawołać o pomoc, gdy nagle wszystko minęło. Odetchnęła głęboko i z przerażeniem popatrzyła na Misię siedzącą potulnie w fotelu. Jej oczy nie wyrażały nic, tylko pustkę. O tym, co w niej siedziało, wiedziała tylko Misia, a teraz i ona. Oderwała od niej



wzrok i popatrzyła na monstrualnie grubą kobietę. Mamrotała coś cicho pod nosem. Joanna podeszła bliżej i wyciągnęła dłoń, ale zawahała się, zanim położyła ją na obrzmiałym przedramieniu. Coś mówiło jej, że nie powinna tego robić, bo usłyszy ten sam wrzask. Odwróciła się nagle w stronę babki, która leżała bez ruchu, doskonale nieobecna, zawieszona między światami, jakby sama była oddzielającą je zasłoną.

– To ty – powiedziała Joanna. – To przez ciebie tak krzyczą, prawda?

W pokoju panowała cisza przerywana jedynie niezrozumiałym monologiem otyłej kobiety i głębokimi westchnieniami jej sąsiadki, wysuszonej staruszki o żółtej cerze. Babce drgnęły kąciki ust. Wyglądała, jakby z trudem powstrzymywała śmiech. Joanna potrząsnęła głową i wyszła z pokoju. Z ostatniego łóżka, tuż przy stoliku i fotelu z przywiązaną kobietą, śledziło ją bacznie czyjeś spojrzenie. Oczy babki znów zrobiły się niebieskie i wpatrywały się w plecy wnuczki tak intensywnie, jakby chciała ją zatrzymać.

Joanna stanęła w progu z irracjonalnym przeczuciem, że powinna jeszcze zostać, ale nagle przestraszyła się, że ten „dar”, „przekleństwo” czy „zaburzenie”, jakkolwiek to zwać, nie zaczęło się wcale po wypadku, tylko znacznie wcześniej. Że odziedziczyła je po niej, po babce, i że skończy tak samo jak ona. Wybiegła stamtąd, nie żegnając się nawet z pielęgniarką, która wychodziła właśnie z łazienki ze zwiniętą pieluchą w rękę. Kiedy trzasnęła furtką, rozszczękał się jakiś kundel i nagle wszystkie mewy poderwały się do lotu. Ciężkie białe skrzydła uniosły się w powietrze, a ich furkot odbił się echem między blokami. Ptaki zatoczyły koło nad głową Joanny i poleciały w stronę morza.

Nawet z daleka słyszała ich przenikliwy donośny krzyk.

Jej miejsce było już zajęte. Siedział na nim chłopak z czapką wciśniętą na czoło, ze słuchawek dobiegała głośna rytmiczna muzyka. Usiadła obok, pod oknem, i patrzyła na przesuający się krajobraz. Zanim pociąg zatrzymał się w Malborku, spała już twardym, głębokim snem.

Ciemne, tak ciemne, że aż czarne morze oddychało spokojnie, wznosząc się i opadając w rytm jej oddechu. Stała na plaży. Za plecami miała księżyc. Olbrzymi, pękaty, świecił bladym zimnym blaskiem i wyławiał ją z ciemności niczym latarnia morska zbliżający się do nabrzeża statek. Na mokrym piasku widziała swój cień. Fale zabierały go ze sobą, a on wciąż uparcie powracał. Nie chciał jej zostawić. Drgnął, kiedy podniosła głowę i spojrzała w stronę horyzontu. Na cienkiej linii pomiędzy

czarną stężoną wodą a pochmurnym niebem coś falowało. Zmrużyła oczy. Mewa.

Oblany księżycowym światłem ptak wyglądał jak lustrzany zajaczek, który rósł, pęczniał i pochłaniał coraz więcej nieba. Zaczęło sypać. Białe pióra, miękkie, puchate, i te sztywne z lotek, ciemnoszare, z czarnymi końcówkami, wirowały w powietrzu, unosiły się na wietrze i z wolna opadały na wodę i plażę, osiadały na jej głowie oraz ramionach, łaskotały.

Kiedy podniosła jedno z nich, ujrzała przed sobą babkę.

Trzepała na podwórku poduszki, z których leciało pierze i wpadało przez otwarte drzwi do domu. Przy stole siedział mężczyzna. Jej oczy błyszczały, gdy na niego patrzyła. Uśmiechnęła się, kładąc dłoń na pękatym brzuchu, a potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Zerwał się wiatr, trzasnęły drzwi i zanim na podwórku zrobiło się całkiem ciemno, zanim wąska smuga światła została wessana do środka, twarz kobiety wykrzywiła się w grymasie bólu. Babka zadrżała i kucnęła na gołej ziemi, a potem gwałtownym ruchem sięgnęła pod spódnicę. Kolejny skurcz, kolejna fala bólu. W wyciągniętej ręce głową w dół bezwładnie zwisał zakrwawiony ptak. Joanna wstrzymała oddech, morze także znieruchomiało. Nagle ptak zatrzepotał skrzydłami, wyrwał się i wzbił w powietrze. Czerwone od krwi pióra błyszczały w blasku księżyca, gdy zatoczył koło i zaczął pikować. Prosto na nią. Zareagowała o sekundę za późno. Rzuciła się do ucieczki, gdy przenikliwy pisk przeciął powietrze, odbił się od wody i pomknął w jej stronę.

O sekundę za późno. Tylko tyle zapamiętała z tego snu, gdy za Poznaniem obudził ją konduktor i poprosił o bilet.

We Wrocławiu przestało padać, ale lodowaty wiatr rozwiewał śmieci rozrzucone wokół dworca. W kałużach odbijały się zniekształcone twarze ludzi czekających na zielone światło przed przejściem. Wciąż jeszcze było szarawo, dzień nie odpuszczał, choć lampy uliczne już zaczynały wpompowywać w miasto brudnopomarańczowy blask. Nie miała siły na podróż tramwajem. Myśl o tłoczących się w nim ludziach i czyimś dotyku przyprawiła ją o dreszcz. Wsiadła do taksówki i po piętnastu minutach stała już przed blokiem pogrążonym w popołudniowej ciszy. Zza muru zoo dochodziły odgłosy ptaków i słońi. Tutejsi mieszkańcy jeszcze nie zdążyli wrócić z pracy. Ci, którzy nie musieli pracować, odsypiali całonocne imprezy, a reszta stała pewnie w korku w centrum miasta. Znała ich wszystkich, to było naprawdę niewielkie osiedle.

Kiedy weszła do mieszkania, Michał zerwał się z krzesła i podbiegł do niej. Jego

twarz, blada, z sińcami od niewyspania i drżącymi kącikami ust, mignęła jej przez ułamek sekundy, a potem na chwilę znikła, gdy Asia odwróciła się, by zamknąć za sobą drzwi.

Nie poszedł do pracy. Pewnie siedział tu przez całą noc i czekał. Wystarczyłoby wyciągnąć do niego rękę. Nie musiałyby odcedzać jego słów z kłamstw, wyławiać półprawd i przemilczeń, po prostu by zobaczyła. To, co wydarzyło się na klifie, i wszystko inne. Ona jednak chciała usłyszeć, chciała patrzeć mu w twarz, kiedy będzie sprzedawał swoją wersję historii, wyjaśniał, tłumaczył, bronił się. Przecież oni wszyscy to robili – matka, ojciec, ciotka Ania i on. Każde z nich na swój sposób broniło się przed nią, tak jak ludzie bronią się przed swoimi demonami, prawda? Im mogła to wybaczyć, jemu nie.

Weszła do salonu, rzuciła płaszcz na sofę. Zapaliła lampkę w kuchni i ze smutnym uśmiechem spojrzała na rozbebeszony kredens. Wszystko wyglądało dokładnie tak jak wtedy, gdy stąd wychodziła. Przynajmniej to się nie zmieniło.

– Gdzie... Gdzie byłeś? – zapytał tak cicho, że musiała domyśleć się, co właściwie powiedział.

– W Gdyni. Na klifie – dodała, a on jęknął i schował twarz w dłoniach. Przypominał teraz dziecko przekonane, że wystarczy zasłonić oczy, by zniknąć.

Nalała wody i postawiła czajnik na gazie. Do dwóch kubków nasypała po łyżeczce czarnej mocnej herbaty. Powinna unikać używek, ale jeszcze w Gdyni podjęła decyzję, że całkiem zrezygnuje z leków. Zrobi to oczywiście stopniowo, żeby ograniczyć skutki odstawienia, w myślach już rozłożyła ten proces na kolejne tygodnie. Plan wyglądał rozsądnie, a matka zobowiązała się pomóc. Skoro nadszedł czas na łatanie dziur w pamięci i wskrzeszanie historii, musiała zacząć od nowa. Musiała się przekonać, co będzie, gdy po dwudziestu dziewięciu latach odstawi leki.

– Asia, ja... – Zrobił krok w jej stronę, a ona położyła dłoń na rączce czajnika i powiedziała spokojnie:

– Nie podchodź.

Momentalnie się zatrzymał, a potem ugięły się pod nim nogi i osunął się na podłogę. Ominęła go, wydając z lodówki mleko. Spojrzała na niego pytająco, a gdy nie odpowiedział, wzruszyła ramionami i dołała kapkę mleka do obu kubków. Jeden postawiła obok niego. Chwycił go zachłannie i trzymał blisko siebie, jakby jej gest miał oznaczać coś więcej niż tylko zaparzenie herbaty. Patrzył błagalnie, w milczeniu. Śledził wzrokiem każdy jej ruch, czekając, aż pozwoli mu wszystko wytłumaczyć.

– Teraz możesz zacząć – powiedziała, opierając się o blat, na którym nie tak dawno temu uprawiali seks.

W pierwszej chwili pomyślał z nadzieją, że właśnie o to jej chodzi, że chce, by znów się kochali i wszystko inne zostawili za sobą. Żeby już do tego nie wracali, nigdy. Co było, minęło. Przecież tak bardzo się kochają, są rodziną, mają dziecko i...

A jednak nie. Skrzyżowała ramiona na piersiach i spojrzała mu prosto w oczy, chłodno i wyczekująco.

– Asia, to nie tak, jak myślisz – wyszeptał.

– A skąd wiesz, co myślę?

Ten rzeczowy zimny ton wywołał w nim dreszcz. Nagle zdał sobie sprawę, że tak naprawdę nie wie. Nie wie już, co ona myśli ani kim jest. Przeraziło go to. Cofnął się odruchowo i oparł plecami o otwarte na oścież drzwi kredensu. Skrzypnęły.

– Ja nic nie zrobiłem, to był wypadek – zaczął, wpatrując się w podłogę. – Myślałem, że to Miła do mnie biegnie, więc odwróciłem się gwałtownie i... To nie była ona. Przestraszyła się i spadła. Noga jej się obsunęła. To nie ja, nie ja – powtórzył gorączkowo, zaciskając pięści. – A ty się dziwnie zachowywałaś, gdy przyszłyście z Miłą. Patrzyłaś na mnie tak, jakbym... Nie chciałem tam dłużej zostać. Wyjechaliśmy i gdyby nie ta cholerna sarna... Przecież nawet aż tak mocno nami nie zarzuciło, nie wiem, jakim cudem walnęłaś głową o szybę. A kiedy odzyskiwałaś przytomność, zaczęłaś coś mówić o klifie i o tamtym dziecku. Bełkotałaś o krwi, o tym, że zabiłem... Spanikowałem. Bałem się, że wszystko popłączesz i wyjdzie na to, że ja... Byłem przerażony, nie wiedziałem, co robić, więc zadzwoniłem do mamy. Kazała mi się uspokoić i przywieźć Miłę. A kiedy usłyszała o amnezji, powiedziała, żebym zwiększył ci dawki, bo dzięki temu nasza wyprawa do Gdyni i cała reszta po prostu zatrze się w twojej pamięci, zgubi między innymi fałszywymi obrazami, jakby to nigdy się nie wydarzyło.

Te słowa okazały się znacznie lżejsze, niż sądził. Kiedy wypowiadał je po raz pierwszy, były tak ciężkie i twarde, że z trudem przechodziły mu przez gardło. Wypluwał je z siebie, zanosząc się płaczem, ukryty w pustej szpitalnej łazience, skąd zadzwonił do matki. Nie zrozumiała go, nie od razu. Zdania się rwały, rozsypane wyrazy plątały, a jego łkania odbijały się echem od wykafelkowanych ścian. Zofia potrzebowała kilku przeraźliwie długich sekund, by poskładać te słowa w opowieść. Osobno nie znaczyły nic, nic ważnego, ale połączone zyskały przerażającą moc. Taką, która w jednej chwili zniszczyła całe ich życie. Syknęła na niego i zamilkł posłusznie.

– Przestań – powiedziała. – Nic się nie stało. To nie była twoja wina. To tylko wypadek, a wypadki ciągle się zdarzają i nie masz na to wpływu. Za to masz wpływ na przyszłość, twoją i twojej rodziny. Zależy ci na niej, prawda?

Oczywiście, że zależało. Kochał tę swoją Joannę jak ostatni głupiec. Kochał ją, chociaż matka od początku mu to odradzała, a potem pojawiła się Miła i było już zbyt późno, by cokolwiek zmienić. Teraz ich życie mogła zmienić tylko Joanna, dlatego musieli ją przed tym powstrzymać.

– Ja nie chciałem, nie chciałem cię oszukiwać. Bałem się, że się uzależnisz, naprawdę! – Podniósł głowę i popatrzył na nią rozpaczliwie. – Te leki nie działały na ciebie za dobrze, spałaś całe dnie, byłaś otumaniona, ledwo kojarzyłaś, co się dzieje. Mówiłem mamie, że musimy przestać, że tak nie wolno. Ale mama... – Urwał i dokończył już szeptem: – Powiedziała, że to jeszcze zbyt wcześnie, że jeśli sobie przypomnisz, ja... – Wzdrygnął się. – Pójdę siedzieć. Zniszczę to, co razem zbudowaliśmy, naszą rodzinę, całe nasze życie, chociaż to nie była nawet moja wina. Więc zostawiłem u nich Milę, schowałem telefon i twój komputer, żebyś nie mogła oglądać zdjęć z tamtego dnia, gdy poszliśmy na klif. Usunąłem wszystko, co mogłoby ci o tym przypomnieć.

– I trułeś mnie dalej.

– Nie, nieprawda! – wybuchnął Michał. – Przecież to nie była trucizna! To twoje leki, te same, które bierzesz albo brałaś wcześniej. Jak mogłaś pomyśleć, że cię truję?! Ja zrobiłem to dla ciebie, dla nas!

– Dla mnie? – spytała cicho. – Otumaniałeś mnie prochami, odciąłeś od świata i zamknąłeś w tym mieszkaniu, zabrałeś mi córkę, okłamywałeś mnie. Jesteś pewien, że robiłeś to dla mnie?

Z każdym jej słowem garbił się coraz bardziej, jakby ktoś powoli wysysał z niego siły aż do ostatniej kropli.

– Ale wiesz, co jest jeszcze gorsze? Że ta dziewczynka miała na imię Ola. Wspięła się na górę, żeby zrobić mamie niespodziankę. Ola, zaledwie trzy lata starsza od twojej córki. W porządku, nie zabiłeś jej, sama spadła, to był wypadek. Tylko że prokuratura postawiła zarzuty matce, a ona próbowała popełnić samobójstwo. I od miesiąca jest na oddziale zamkniętym w Srebrzysku. Wiedziałaś o tym? – zapytała. – Na pewno to sprawdzałeś. Przecież nie dawało ci to spokoju, prawda? Gryzło cię, kąsało od środka. Musiałeś wiedzieć, co się z nią stało. I to wszystko, co wydarzyło się od chwili, gdy Ola już spadła, to wszystko... – Wyprostowała się i wysyczała: – To

wszystko jest tylko twoją winą.

Nigdy przedtem nie widziała, by płakał. Kilka razy był blisko, nawet bardzo, choćby po narodzinach Mili. Wziął ją z rąk pielęgniarki, ostrożnie, jakby się bał, że zmiąddzy zawiniętego w kocyk noworodka, a w jego oczach zaszklily się łzy. Zaszklily, ale nie popłynęły. I wtedy, gdy Zofia miała zawał. Odebrał telefon od ojca, zbladł i w ciągu tych kilku sekund, zanim wybiegł z mieszkania, Asia pomyślała, że zaraz wybuchnie płaczem. Pewnie wybuchł, tylko schowany już w samochodzie.

Nieraz zastanawiała się, czy tak go wychowywano, czy taką przyjął rolę, wiążąc się z pacjentką matki. „Będę się tobą opiekował – szepnął, kiedy stało się jasne, że będą razem. – Będę cię wspierał. Zawsze będziesz mogła na mnie liczyć”.

I owszem, mogła, ale wszystko ma swój początek i swój koniec. Ich historia także.

Michałowi zaczęła drzeć broda. Trzęsa się tak bardzo, że z jego twarzą nagle coś się stało. Jakby to nie była twarz, tylko kartka, którą zmiął w rękę i rzucił na podłogę. Sztywny papier próbował odzyskać dawny kształt, walczył, nieświadom, że nie da się tego odwrócić, bo nawet wyprostowany i wygładzony nie będzie już tym, czym był. Nigdy. A potem się poddał. Michał płakał jak dziecko, miał zaciśnięte oczy i szeroko otwarte usta.

I to ją właśnie zdumiało – to, że na widok płaczącego Michała nie poczuła nic. Nic oprócz rozczarowania.

– Masz czas do jutra, żeby ochłonąć i wszystko sobie poukładać – powiedziała spokojnie. – Jeśli do wieczora nie zgłosisz się na policję, ja ich powiadomię. Możesz sobie darować tę część o podtruwaniu żony, wystarczy, że skupisz się na tym, co wydarzyło się na klifie. I na tym, jak uciekłeś z miejsca wypadku i zatuszowałeś całą sprawę.

Michał chciał się podnieść, oparł się dłońmi o podłogę, ale jego ciało było zbyt ciężkie, a on zbyt słaby. Teraz to on potrzebował wsparcia, to on potrzebował opieki i kogoś, na kogo zawsze może liczyć. Na szczęście miał jeszcze matkę.

– A co z Milą? – wyszlochał i nagle uczeplił się tego słowa. Dodało mu sił. Otarł oczy wierzchem dłoni i wziął głęboki oddech. – Co z naszym dzieckiem? Co jej powiesz? Że tatuś jest w więzieniu? Asia, tak długo budowaliśmy nasze życie. Czemu chcesz zniszczyć naszą przyszłość?

Zmiękla. Zobaczył to w jej spojrzeniu. Nagle straciło ostre kontury.

– Kochanie – odezwała się po chwili – naszej przyszłości już nie ma. Przestała istnieć, gdy zniszczyłeś przeszłość. Tam, na klifie, i tutaj, w naszym mieszkaniu.

Rozejrzyj się, napatrz się, żebyś dobrze je zapamiętał. Bo jego też już nie ma.

Wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami, kiedy wolno podeszła do sofy i sięgnęła po płaszcz, a potem ze stolika wzięła jego kluczyki i telefon.

– A, i gdybyś jednak się wahał, czy pójść na policję, weź pod uwagę jedno. Mogę powiedzieć naszej córce wiele rzeczy. Jest w takim wieku, że zapamięta niektóre z nich, a o innych całkiem zapomni. Po prostu znikną z jej pamięci. Jak sądzisz, będzie pamiętała o tobie?

Zabrała walizkę, tę samą, z którą pojechała do Gdyni. Niczego więcej nie potrzebowała. Zerknęła na Michała i szybko włożyła rękę za szafkę z butami. Pod palcami poczuła wtyczkę telefonu. Siłowała się z nią przez chwilę, aż wreszcie udało się lekko ją wysunąć. Teraz mogła już wyjść. Za plecami usłyszała szloch. Bezradny, żalony płacz. Ucichł, kiedy zamknęła za sobą drzwi.

Na schodach spotkała Piotrka. Szedł w górę, czepiając się poręczy.

– Cześć!

Ze zdziwieniem podniósł głowę i przez chwilę przyglądał jej się niepewnie. Taksował ją wzrokiem, tak jak taksuje się nieznajomych, którzy niespodziewanie uśmiechają się do ciebie na ulicy.

– Dzisiaj możesz imprezować do woli – powiedziała i pokazała mu walizkę. – Wyjeżdżam.

Na twarzy sąsiada pojawił się cień rozpoznania. Pojawił się i znikł. Wiedział, że ta kobieta mieszka na tyle blisko niego, by słyszeć, co robi za ścianą, tylko wciąż nie był pewien gdzie.

– Aha – mruknął i tylko po to, by ukryć własną niepewność, bo przecież nie z ciekawości, dodał: – A kiedy wracasz?

Joanna uśmiechnęła się szeroko i wtedy wreszcie ją poznał. Ulżyło mu. Już zaczynał się bać, że po tej mieszance, którą łyknął, na dobre odkleił się od rzeczywistości.

– Nigdy – odparła, wyminęła go i wyszła z klatki.

Stał tak jeszcze przez chwilę, próbując coś z tego zrozumieć, a potem wzruszył ramionami i powlókł się na górę.

Wrzuciła walizkę do bagażnika i usiadła za kierownicą. Była dużo niższa od Michała, musiała najpierw przysunąć fotel i poprawić lusterka. Zrobiło jej się gorąco. Rozpięła kurtkę i otworzyła okno. Lodowate powietrze wpadło do środka i oblizało spocone

czoło. Wolą te nagle uderzenia ciepła niż migreny, szybciej sobie z nimi radziła.

Ciotka byłaby ze mnie dumna, pomyślała z ironią. Tyle lat na prochach, a tu zaledwie kilka punktów z jej długiej listy. Ciekawe tylko, jak długo jeszcze będą mnie nękać.

Rok albo i dłużej. Tak powiedziała Anna, kiedy ostatni raz wypuszczała ją z oddziału. Tylko że teraz nie było ani detoksu, ani ciotki Ani, ani tamtej Aśki. Wszystko się zmieniło.

Obejrzała się za siebie. Osiedle wyglądało na wymarłe, jedynie ich sąsiedzi próbowali zawiesić świąteczne lampki na balkonie. Ona, opatulona swetrem, stała w uchylonych drzwiach balkonowych i z grymasem niezadowolenia pokazywała mu coś palcem, a on, w rozpiętej kurtce i czapce naciągniętej na uszy, wspinał się właśnie na krzesło, by dosięgnąć haczyka na ścianie. Miotał się bezradnie z tym sznurkiem lampek, aż Joannie zrobiło się go żal. Kiedy dotarł do plastikowego ptaka, zawahał się, po czym dwa razy owinął go girlandą światełek i schował się za balustradą. Sekundę później balkon rozbłysnął, a sokół wyglądał teraz jak tancerka hula. Podeksycytowana sąsiadka zaczęła klaskać i wpuściła do środka zmarzniętego męża, rozchylając poły swetra, pod którym nic na sobie nie miała. Najwyraźniej dzieci nie było w domu.

– Bawcie się dobrze – mruknęła i przekręciła kluczyk w stacyjce.

Na przednim siedzeniu pasażera zabuczał telefon Michała. Zerknęła. Dzwoniła jego matka. Pewnie chciała sprawdzić, czy synowa wróciła i co tak naprawdę miała na myśli, mówiąc, że wie, co zrobił. Sama jej to powie, za... – spojrzała na zegarek: dochodziła siedemnasta – ...za jakieś dwie i pół godziny, góra trzy. Zanim wydobędzie się z Wrocławia, minie co najmniej czterdzieści minut, a potem będzie już z górki.

Gdy wyjeżdżała z osiedla, zaczęło sypać. Pierwsze płatki nieśmiało wirowały na wietrze, wpadały na szybę i natychmiast ginęły bez śladu. Jak jej wspomnienia z dzieciństwa, siostra, wypadek nad jeziorem, a potem ten na klifie i cały ostatni miesiąc. Im bardziej oddalała się od miasta, tym więcej było śniegu. Zacinał z taką furją, że musiała włączyć wycieraczki, by cokolwiek widzieć. Skupiła się na światłach aut jadących z naprzeciwka. Wyłaniały się z zamieci, mijaly ją i po chwili znów znikaly. Zza ściany śniegu nie widziała nawet drzew gęsto rosnących wzdłuż ulicy. Zwolniła, gdy tylko skręciła w stronę Lipian. Jechała tak wolno, że szarżujący na wąskiej drodze kierowca żółtego opla nie powstrzymał się i zatrafił, choć omal nie wpakował się przy tym w zaspę śniegu na poboczu. Pewnie wygrażał jej teraz we wstecznym lusterku i rzucił kilkoma kurwami, ale miała to gdzieś.



Nie obchodziło jej nic poza domem, w którym czekała na nią Mila. I starcie z Zofią. Tego akurat była pewna. Przynajmniej ją zaskoczy, zaatakuje pierwsza i zyska przewagę. Za ostatnimi zabudowaniami przejaśniło się na tyle, że w oddali ujrzała światła w oknach domu stojącego pod lasem. Płatki znów leniwie wirowały w powietrzu, a zza chmur wyrzwał księżyc. Zostawiła samochód na poboczu i ostatnie kroki pokonała już pieszo. Zrobiło się cicho, słyszała jedynie śnieg osuwający się miękko pod butami. Biały puch migotał w blasku księżyca, gdy szła powoli w stronę wysokiego żywopłotu. Jej oddech zamieniał się w obłoczek pary i rozpływał w powietrzu. Nadchodziła mroźna noc, a wraz z nią szansa, że ta cicha, miękka biel zachowa się przynajmniej do rana. Nagle nad bramą zapaliło się światło. Ktoś wyszedł z domu.

Joanna przystanęła i obejrzała się szybko za siebie, jakby szukała drogi ucieczki. Na widok swoich śladów uśmiechnęła się w duchu. Dobrze – tym razem zamierzała po nich wrócić, i to nie sama. Zerknęła znów na furtkę, ale ta nawet nie drgnęła. Za to na zasypanym dziedzińcu przed wjazdem do domu podskakiwała mała postać ubrana w kurtkę i czapkę. Śnieg wokół niej był zdeptany, a koło żywopłotu, poza zasięgiem czujnika światła, stał bałwan. Dziewczynka dostrzegła ją, uniosła rękę i pomachała.

– Mila!

Joanna zaczęła biec. Biegła najszybciej, jak potrafiła. Mila nie ruszyła się z miejsca, ale pozwoliła się mocno przytulić matce, kiedy ta padła przed nią na kolana i otoczyła ją ramionami. Dziecko przyłgnęło do niej, wciskając zimny nos w szyję, dokładnie pomiędzy kurtką a szalikiem.

– Zmarzłaś, kochanie – wyszeptała Asia, nie wypuszczając jej z objęć. – Czemu nie jesteś w środku?

– Bo czekałam na ciebie, mamusiu – odparła Mila z szerokim uśmiechem.

– Czekałaś na mnie? Koteczku ty mój! – Odsunęła się od córki i dotknęła dłonią jej policzka. – Jesteś zimna jak lód. To twój bałwanek?

Dziewczynka pokiwała głową i rozpromieniła się, gdy usłyszała, że to najpiękniejszy bałwan na świecie.

– Zrobiłam go dla ciebie – oznajmiła i pociągnęła ją za rękę. – Chodź do domu. Dziadek wstawił wodę na herbatę i upiekł dla ciebie ciasto marchewkowe.

Joanna zeszywniała.

– Dla mnie? To dziadkowie wiedzieli, że przyjadę? Skąd?

Mila roześmiała się i zmarszczyła nosek.

– Bo im o tym powiedziałam – odparła takim tonem, jakby to było coś oczywistego.

Asię przeszedł dreszcz. Położyła dłonie na ramionach córki i popatrzyła na nią uważnie. Lęk zaczął trzepotać w jej sercu jak ptak w za ciasnej klatce.

Nie, tylko nie to, pomyślała z przerażeniem. Proszę, tylko nie to.

– Widziałam cię. – Mała odchyliła głowę i wyciągnęła język, na który spadł płatek śniegu.

– Kiedy, kochanie? – Głos Joanny niebezpiecznie zadrżał. Wstrzymała oddech, gdy Miła przysunęła się do niej, nachyliła do ucha i wyszeptała:

– Kiedy dotknęłam babci Zosi. Mamusiu, masz płatek śniegu na nosie! – Wybuchła śmiechem, zakręciła się w kółko i w podskokach dobiegła do furtki. – Chodź do domu! – zawołała, po czym zniknęła w środku.

Joanna przez chwilę jeszcze klęczała, patrząc na ślady córki, które powoli zasypywał coraz gęściej padający śnieg. Wstała, otrzepała się z białego puchu i ruszyła za Milą. Kiedy położyła dłoń na kłamce, usłyszała dochodzący z oddali pojedynczy krzyk mewy. Ptak unosił się wysoko nad domem, zataczał coraz większe kręgi, aż wreszcie zniknął w śnieżnej zamieci.

## PODZIĘKOWANIA

Jest kilka osób, którym chciałabym podziękować za pomoc przy powstawaniu tej książki. Kasia Janusik jako pierwsza usłyszała o pomysle i jako pierwsza przeczytała tę powieść. Przyjaciółka i redaktorka w jednym to rewelacyjny zestaw – Kasiu, dziękuję!

Karina Fułek czuwała nad tym, bym nie wprowadziła nikogo w błąd w zakresie uzależnienia od benzodiazepin.

Każda z Auterek i każdy z Autorów, z którymi pracuję jako redaktorka, zostawili tu swój ślad, choć nawet o tym nie wiedzą. Wiele się od nich nauczyłam i wciąż się uczę.

I właśnie za to DZIĘKUJĘ.

Osobne podziękowania należą się Monice Mielke i całemu zespołowi Wielkiej Litery – za to, że uwierzyli w *Czarne morze*.

Karolina Macios

# Spis treści

CZARNE MORZE

Podziękowania

Karta redakcyjna

Projekt okładki  
*Mariusz Banachowicz*

Zdjęcie na okładce  
*Alexander McFeron/Unsplash*

Weryfikacja merytoryczna  
*Karina Fulek*

Redakcja  
*Karolina Felberg*

Korekta  
*Teresa Zielińska*  
*Monika Pruska*


Cytat ze *Świata według Garpa* Johna Irvinga  
w przekładzie Zofii Uhrynowskiej-Hanasz

Copyright © by Karolina Macios, 2020  
Copyright © Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2020

ISBN 978-83-8032-447-3



Wielka Litera Sp. z o.o.  
ul. Kosiarzy 37/53  
02-953 Warszawa

Odwiedź  
nas na 

### **POBIERZ NA TELEFON APLIKACJĘ WIELKA LITERA AR**

Aplikacja WielkaLitera wykorzystuje technologię rozszerzonej rzeczywistości (AR) i umożliwia odtwarzanie wideo, audio oraz e-booków, a także przekierowuje na wybrane strony www. Aplikacja WielkaLitera jest dostępna w wersjach na [Android](#) oraz [iOS](#). Pobierz ją za darmo i zobacz więcej.



Konwersja: [eLitera s.c.](#)